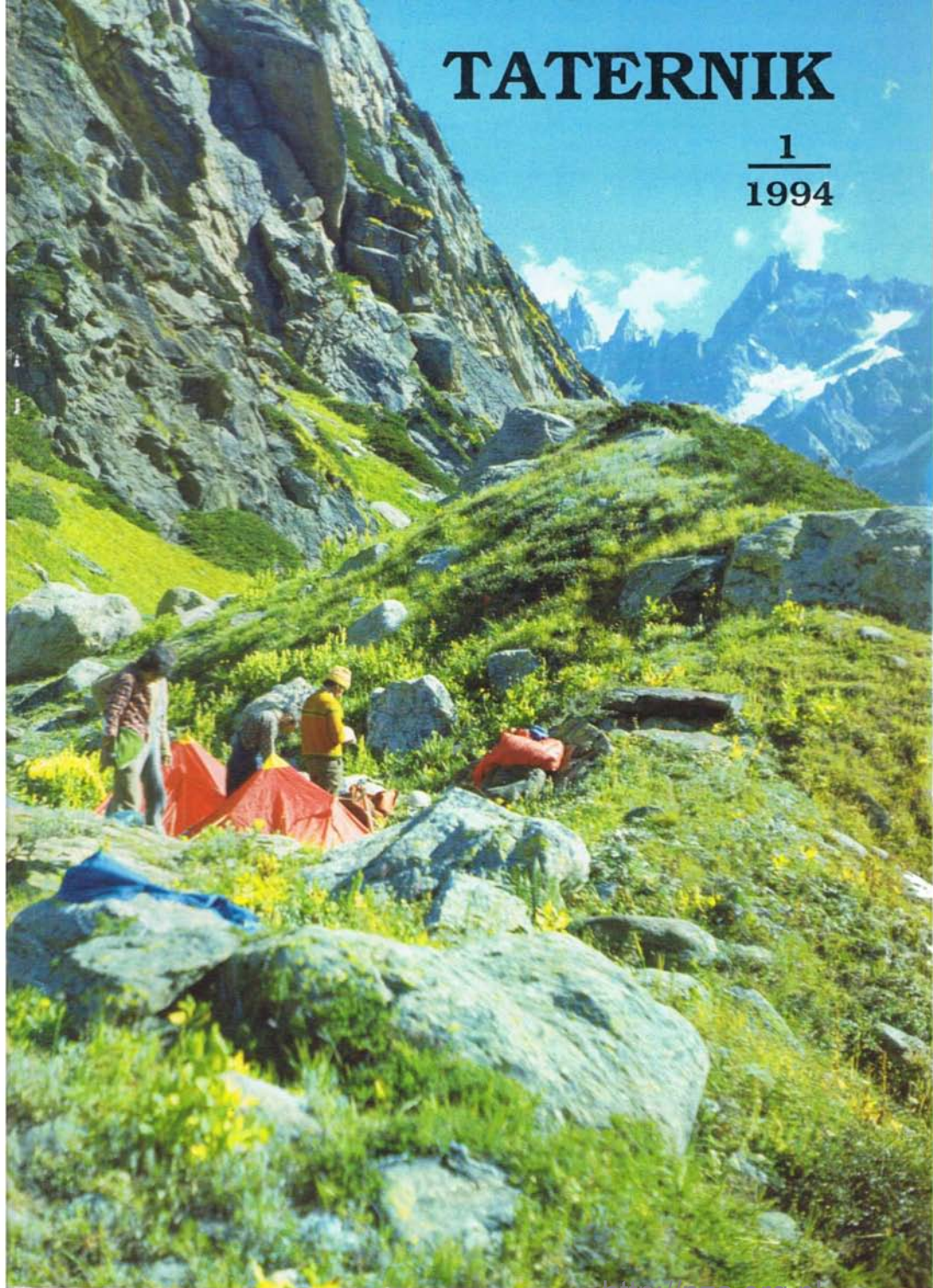
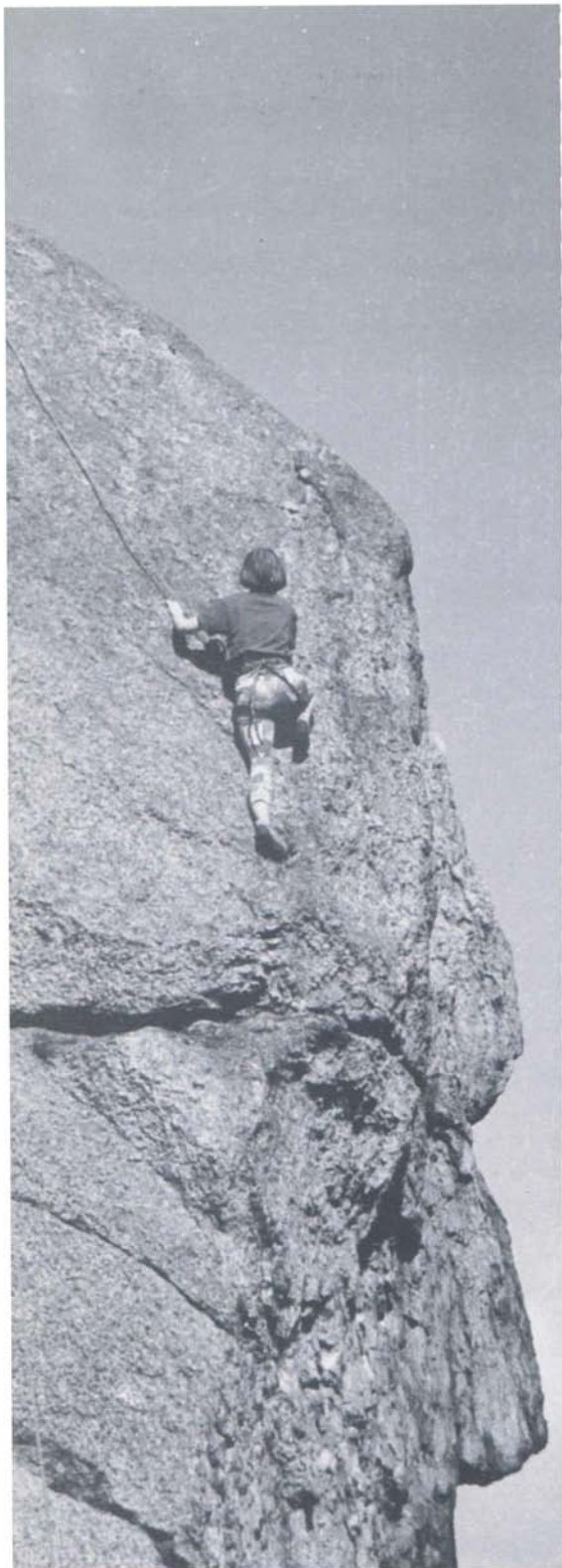


# TATERNIK

1  
1994





## Spis treści

|                                                                          |    |
|--------------------------------------------------------------------------|----|
| Z perspektywy XX lat - wywiad<br>z Andrzejem Paczkowskim (A. Kłos) . .   | 1  |
| Sprawozdanie z centralnego wyjazdu<br>zimowego PZA (J. Fluder) .....     | 5  |
| Arch Wall (J. Gołąb) .....                                               | 6  |
| Na jednej nodze po trudnej drodze<br>(Z. Krośkiewicz) .....              | 9  |
| Na wschód Śladami Wojtki<br>(P. Pustelnik) .....                         | 11 |
| Bieg po Koronę Himalajów<br>(A. Skłodowski) . . . . .                    | 15 |
| Czym fotografować (J. P. Pelech) .....                                   | 16 |
| Kotwice skalne (M. Pokszan) .....                                        | 21 |
| Zapomniane drogi (K. Łoziński) .....                                     | 25 |
| Spitowanie (M. Tertelis) .....                                           | 31 |
| Trzy razy w Dolinie Buczynowej<br>(A. Potoczek) .....                    | 34 |
| Ściągą zdobywcy (A. Kłos) .....                                          | 36 |
| Góry dla Górali (B. S.) .....                                            | 37 |
| Wartości dodatkowe .....                                                 | 38 |
| Wieści z gór .....                                                       | 40 |
| Wieści z jaskiń .....                                                    | 49 |
| Co nowego w Tatrach .....                                                | 60 |
| Nowe drogi w Tatrach .....                                               | 62 |
| Akademickie Mistrzostwa Polski we<br>Wspinaczce Sportowej (B. Stano) ... | 63 |
| Wieści organizacyjne .....                                               | 65 |
| Listy .....                                                              | 68 |

Zdjęcie na okładce: W Dolinie Kijaj (Himalaje,  
Kashmir), fot. K. Łoziński

Zdjęcie obok : W Sokolikach, fot. A. Kłos  
Na I stronie wkładki barwnej: Cho Oyu,  
fot. P. Pustelnik

Na rozkładówce: Pod szczytem Koh-e Awul  
(Hindukusz), fot. K. Łoziński  
Za rozkładówką: Shisha Pangma,  
fot. P. Pustelnik



## Z perspektywy XX lat



Andrzej Paczkowski od 20 lat jest prezesem Polskiego Związku Alpinizmu. Od momentu powstania związku, do dzisiaj. Był prezesem kiedy polski alpinizm zdobywał światowe laury. Teraz, kiedy osiągnięcia są dużo skromniejsze, również z woli wyborców, pozostaje szefem PZA. Zanotowana 13 kwietnia rozmowa, to nie tylko opowieść o roli organizacji zrzeszającej prawie wszystkich w kraju wspinaczy. To również osobiste refleksje, wspomnienia i spojrzenie na czas przeszły i teraźniejszy ludzi związanych z górami i wspinaniem.

*- Zanim zostałeś prezesem, miałeś za sobą spory staż wspinaczkowy. Jakie były jego początki?*

- Zaczynałem mało atrakcyjnie, choć wtedy tak nie myślałem. Jeszcze przed maturą próbowałem swoich sił w Tatrach. Z kolegą Tomkiem Łubieńskim wdarłem się na Giewont Żlebem Kirkora. Jako asekuracji używaliśmy pasków od spodni. W roku 1955, po maturze, wspinalem się na Mnicha z Piotrem Ławarowiczem. Nie byłem na kursie dla początkujących, bo takich wtedy było mało. Jedyne kursy jakie przeszedłem, to kurs instruktorski. Podczas tego pierwszego sezonu używałem już liny. Robiliśmy właściwie przejścia turystyczno-wspinaczkowe, ale już wchodziłem w środowisko. Następnego lata upłynęło mi pod znakiem dróg Świerza w otoczeniu Morskiego Oka. Ale przeszedłem

również Kant Mnicha. Wspinałem się bez stałego partnera. Najczęściej z Tomkiem Kreczmarem i Januszem Rębiejowskim. Preferowaliśmy drogi w skali IV - V. Zimą zacząłem się wspinać z Adamem Szurkiem, zrobiliśmy filar Kopy Spadowej i parę innych standardów. Obracałem się w kręgu ścisłej czołówki. Miało to ogromne znaczenie w towarzyskiej hierarchii taternickiej. W tamtym okresie liczyło się tylko Morskie Oko. No, oczywiście, zawsze była Słowacja, ale wspinacze z Hali Gąsienicowej traktowano jako pośledniejszy gatunek. Moja działalność wspinaczkowa i ogólna aktywność została w środowisku doceniona. Szybko zyskałem prawo do mieszkania w Kurniku. A tam też awansowałem ze Stajni na Pięterko. Ale zawdzięczałem to raczej uznaniu w kręgu towarzyskim niż wyczynom. W każdym razie byłem w topie.

*- Czy stało się coś co wstrzymało twój pęd do wspinaczkowego sukcesu, do taternickich ekstremów?*

- W roku 1959, 14 lipca, na samym początku sezonu, miałem wypadek, który ostudził moje zapędy. Po nim gaz uleciał, i miałem

łem trzy tygodnie przerwy. Mój partner Adam Szurek wspinał się dalej i odskoczył na inny poziom. Feralnego dnia poszliśmy na Żabiego Mnicha na Filar Orłowski. Poleciałem około 20 metrów. Szurek asekurował mnie przez skalny ząb i wyhamował upadek, ale miałem złamany mostek i siedem szwów. Tak się skończyło moje wspinanie, które miało ambicje wyczynowe. Zresztą nie miałem chyba nigdy temperamentu ekstremalisty.

- Rok 1959 to również początek twojej kariery w Zarządzie Głównym Klubu Wysokogórskiego.

- Różne formy działalności społecznej rozpocząłem bardzo wcześnie. Byłem aktywny w życiu towarzyskim ówczesnej czołówki, ale nie mając zapędów wyczynowych, po wypadku jeszcze się one zmniejszyły, miałem do wyboru albo opuścić Kurnik i mieszkać w namiocie, albo robić coś innego co zostanie zauważone. Zacząłem więc pisać. Pierwszy raz w 1957 roku zamieściłem w "Taterniku" nekrolog Tomka Kreczmara. Potem zacząłem robić przeglądy sezonów, bo całe miesiące spędzałem w Tatrach i wszystko działo się na moich oczach.

W roku 1959 kierownictwo Klubu Wysokogórskiego postanowiło odmłodzić zarząd. Do ZG KW wybrano mnie jednocześnie z Józkiem Nyką. Miałem wtedy 21 lat. I od tamtej pory byłem cały czas w zarządzie KW, potem PZA.

- Ale nadal się wspinałeś?

- Tak, ale mniej wyczynowo. Zostałem instruktorem, uważano mnie za dobrego w tym fachu, specjalizowałem się w topografii. Najintensywniej pracowałem jako instruktor w latach 1960-1966. Ale szkoliłem jeszcze pod koniec lat 70-tych. Cały czas dużo pisałem, ale powoli przekształcałem się w działacza. Pomógł w tym drugi wypadek.

W 1964 roku trwała wojna o Kazalnicę. W Morskim Oku siedziała czołówka wspinaczkowa. Był Czesław Momatiuk, jako lider jednego z zespołów atakujących "Zerwę". 20 lipca obchodził imieniny, które wyprawił wspólnie z Czesławem Łapińskim. Z Hali Gąsienicowej, gdzie byliśmy instruktorami, wybraliśmy się na tą uroczystość wspólnie z Andrzejem Nowackim. A 23 lipca uświadomiliśmy się z kursem na przejsie Płytą Lerskiego

i Grani Kościelców. Obudziliśmy się rano o 4.30 i z pękającymi głowami ruszyliśmy przez Szpiglasową i Zawrat. W Zawratowym Żlebie leżał śnieg. Postanowiliśmy po nim zjechać. Z kamieniami w rękach, starym sposobem. Na twardym śniegu trochę mnie poniosło, wyhamowałem tym kamieniem, ale wybiłem bark prawej ręki. Jakoś mi to z powrotem wskoczyło. Zrobiłem sobie temblak z pętli i poszedłem do kursantów. Na początku Grani Kościelców, na "Szafie", robiono poprzedniego dnia otwór pod hak goprowski. Skala pokryta była granitowym pyłem. Uznałem, że to za trudny odcinek dla kursu i przeprowadziłem go sam. Kursantom kazałem się odwrócić i przelazłem czepiając się zębami i na kolanach. Następnego dnia w szpitalu opieprzyli mnie zdrowo. Zwichnięcie mam nawykowe i bark boli mnie z przerwami od 30 lat.

Później dalej się jeszcze wspinałem. Poza Tatrami byłem w Altaju, w Dolomitach, ale chodziłem już z mniejszym zapalem. Byłem kiedyś zimą na Mięguszwieckim z Jurkiem Michalskim. Zamachnąłem się czekaniem i ręka mi została wygięta w tył. Na dodatek, mając osłabioną prawą rękę, zerwałem kiedyś wiązadła w lewej. To wszystko bardzo pomogło mi w przekształceniu się w działacza.

Ale w Tatrach siedziałem kiedy tylko mogłem. Po skończeniu studiów, kiedy byłem doktorantem, przez pierwsze trzy lata spędziłem całe sezony. W końcu skoncentrowałem się na pracy i w roku 1965 obroniłem doktorat. Rok później się ożeniłem.

- A jak to się stało, że zostałeś prezesem Polskiego Związku Alpinizmu?

- Przed rokiem 1974 w Polsce działało kilkanaście terenowych Kół Klubu Wysokogórskiego, którego zarząd był w Warszawie. Koła nie miały osobowości prawnej, a alpinizm rozwijał się bardzo intensywnie. Jakościowo i ilościowo. Brak prawnych podstaw działania bardzo przeszkadzał. Również w otrzymywaniu dotacji. Bo wtedy nie brakowało, jak dziś, pieniędzy na alpinizm. Należało znaleźć nową formułę działania. Byłem jednym z inicjatorów reorganizacji. PZA powstał jako federacja klubów, na prawach związku sportowego. Powołały go trzy organizacje:



KW. Zarząd Główny PTTK i Zrzeszenie Studentów Polskich. ZSP dlatego, że działała w nim Federacja Akademickich Klubów Alpinistycznych. Członkami związku stały się: Kluby Wysokogórskie, Polski Klub Górski i Akademickie Kluby Alpinistyczne (zrzeszone również w FAKA). Wybrano mnie prezesem PZA i tak przez kolejne kadencje pozostało do dziś.

- *Czy nigdy nie naszła cię chęć by odejść?*

- Chciałem odejść parę razy, ale na przykład po największych naszych górskich sukcesach, ale tak naprawdę nie ma chętnych do tej pracy. Nie daje ona dziś wielu korzyści. Kiedyś, kiedy Zarząd dysponował większymi pieniędzmi i pomagał usuwać przeszkody w zdobywaniu paszportów, wiz, czy biletów, było inaczej. Tworzono listy rankingowe, toczono boje o wyjazdy, dotacje.

- *A dzisiaj?*

- Związek jest federacją i ma parę zadań do zrealizowania. Myślę o: bazie tatrzańskiej, instruktorach, kursach wspinaczkowych czy "Taterniku". Zawsze jest to możliwość otrzymania pieniędzy z funduszu centralnego. Składamy programy w Urzędzie Kultury Fizycznej i Turystyki i część z nich jest realizowana. Niektóre wyjazdy nadal są dofinansowywane. Dzisiaj mamy około 1 miliarda dotacji, 40% stanowią koszty stałe, ale 600 milionów złotych trafia do wspinaczy w różnych formach. To niewiele, ale zawsze coś.

- *Są tacy, którzy pytają się - po co istnieje PZA? W podtekście jest próba negocjowania potrzeby istnienia związku.*

- Gdyby dziś zlikwidować centralną organizację reprezentującą ruch wspinaczkowy pojawiłyby się problemy z pobytem w Tatrach. Czy TPN chętnie wynajęłoby obozowiska klubom? Podobnie z "Betlejemką". Być może TPN wolałby oddać te obiekty w dzierżawę góralom? Park jest monopolistą, to przecież na ich wyraźne żądanie wprowadziliśmy kartę taternika. PZA umożliwia istnienie bazy tatrzańskiej, zapewnia szkolenie dzięki kadrze instruktorów i ośrodkowi jakim jest COS "Betlejemka", która stanowi wzorzec szkolenia dla całego kraju. Rozmawiamy również z przedstawicielami parków narodowych w skałkach. Powstało już pierwsze obozowisko w Podlesicach,

pewnie będzie ich więcej.

PZA reprezentuje środowisko również wobec władz. Ma być uchwałą o kulturze fizycznej, gdzie uprawianie alpinizmu będzie regulowane odrębnymi przepisami. Ktoś je musi stworzyć, bo stare są nieaktualne. Dopóki istnieje państwo, władza lubi mieć jednego partnera do rozmów. Na całym świecie istnieją takie centrale, nawet w Wielkiej Brytanii. I też zajmują się bazą, szkoleniem i reprezentacją.

Dzisiaj, aby legalna wyprawa wyruszyła w góry: Nepalu, Pakistanu, Chin i Indii, potrzebna jest rekomendacja organizacji narodowej. Nawet poważne zawody wspinaczkowe nie mogą się obejść bez organizacji zrzeszonej w UIAA, której PZA jest członkiem. Zarząd zatwierdza reprezentację na takie zawody.

- *Wątpliwości w potrzebę istnienia PZA, czy nawet pomysły jego likwidacji powstają głównie w środowiskach skałkowo-ściankowych. Wiele było dyskusji o wydzieleniu się tej grupy wspinaczy, podobnie jak w swoim czasie zrobili to speleolodzy.*

- Pomysł jest stary. Nie jestem osobiście zwolennikiem takiego podziału. Myślę, że współdziałanie jest korzystne dla wszystkich. Ale jeśli będzie taka inicjatywa, nie widzę przeszkód. Tylko na podział potrzeba pieniędzy. W kraju istnieje jeden tylko klub wspinaczki sportowej - krakowska "Korona", a ludzi na ściankach widzimy w wielu miejscach. PZA ich na razie reprezentuje. Mówi się rzeczywiście o podziale, ale na tym się kończy. Może będzie on aktualny wtedy, kiedy powstanie jakaś Unia Wspinaczki Sportowej? Na razie ruch ściankowy i skałkowy rozwija się w Polsce dość ospale. Rozdrobnienie nie sprzyja tej działalności, która na pewno nie jest na poziomie międzynarodowym. Brakuje lidera, aby tym pokierował. Są talenty, ale nie ma sukcesów. Takich prawdziwych i długotrwałych, jak choćby miejsca Polaków w czołówkach list rankingowych. Nie ma mocnej ekipy, która osiąga sukcesy i ciągnie za sobą innych. Za granicą ciągle widzą nas przez pryzmat sukcesów himalajskich i paru wielkich nazwisk z tej dziedziny. We wspinaczkę sportową nie jesteśmy dla szerszych kręgów.

- *Czego brakuje dzisiaj polskim wspinaczom: himalaistom, taternikom, skałkowcom i sportowcom?*

- Sukcesu. Wspinacze sportowi jeszcze go naprawdę nie mieli (poza Renatą Piszczek). A alpinistom też tego brakuje, aby zamazać poczucie klęski i niemożności. Aby sobie przypomnieli, że nadal stać ich na przynależność do światowej czołówki.

Rozmawiał  
Andrzej Kłos

## Andrzej Paczkowski

Prof. dr hab. Naukowiec, alpinista, literat. Urodził się 1 października 1938 r. w Krasnymstawie. Po wojnie mieszkał i i wychowywał się w Warszawie. W r. 1960 ukończył studia na UW (Wydział Historii), studia doktoranckie odbył w PAN, uzyskując w r. 1966 tytuł doktora nauk historycznych. Habilitację uzyskał w r. 1975. W latach 1966-74 był starszym asystentem i adiunktem w PAN, 1975-80 adiunktem w Bibliotece Narodowej. W 1980 roku wrócił do Instytutu Historii PAN jako pracownik naukowy. Obecnie współkieruje Instytutem Studiów Politycznych PAN.

Równoległy tok działalności Andrzeja Paczkowskiego stanowiły sporty wysokogórskie i praca organizacyjna z nimi związana. Wspinał się od r. 1957, najpierw w Tatrach, później w Alpach lodowcowych (od 1963) i w Dołomitach (od 1973). Wyjeżdżał na wyprawy, m.in. w Altaj Mongolski (1975) i w Pamiar (1977). W skład Zarządu Głównego Klubu Wysokogórskiego wszedł w grudniu 1960 roku. Pełnił m. in. obowiązki szefa Komisji Sprzętowej i przez szereg lat Komisji Sportowej. Był jednym ze strategów chlubnej polskiej ekspansji w górach najwyższych: Hindukusz, Karakorum, Himalajach, nierzadko w opozycji do konserwatywnych i nie wierzących w sukcesy prezesów. W roku 1974 współuczestniczył w przekształceniu Klubu Wysokogórskiego w Polski Związek Alpinizmu. Walny Zjazd wybrał go pierwszym prezesem Związku, którym pozostaje do dzisiaj - nieprzerwanie przez 20 lat. Tak długi okres sprawowania funkcji prezesa jest czymś

niezwykłym nie tylko w skali polskiego sportu.

Również praca popularyzatorska i publicystyczna Andrzeja Paczkowskiego szła w dwóch kierunkach: z jednej strony był wątek naukowy, z drugiej - tematyka górską i alpinistyczną. Ogłosił dziesiątki artykułów naukowych i popularnych, od kilku lat jest częstym komentatorem TVP w zakresie historii najnowszej, a niekiedy i spraw górskich. A oto wybór jego publikacji książkowych:

"Zakopane i okolice" (przewodnik, 1969, szereg wydań);

"Prasa polityczna ruchu ludowego 1918-1939" (1970);

"Sygnały z gór" (współautor, 1972);

"Ostatni atak na Kunyang Chhish" (współautor, 1972);

"Czwarta władza - prasa dawniej i dziś" (1973);

"Prasa polonijna w latach 1870-1939" (1978);

"Prasa polska 1918-1939" (1980);

"Siedem wielkich gór" (1981);

"Karakorum. Polskie wyprawy alpinistyczne" (1986, współautor);

"Mount Everest" (1986, współautor);

"Zdobycie władzy 1945-1947" (1993);

"Stanisław Mikołajczyk" (1993);

Wielkie utrudnienie zarówno w pracy naukowej jak i organizacyjno-sportowej stanowiła przed rokiem 1989 niezależność poglądów politycznych Andrzeja Paczkowskiego i jego ogólnie znana działalność dysydencka. Z jej powodu został przesunięty do pracy w Bibliotece Narodowej i aż do 53 roku życia musiał czekać na tytuł profesorski. Jako opozycjonista był stale obserwowany przez władze bezpieczeństwa, resort sportu wyrażał poufne sugestie, aby pozbawić go prezesury. Całymi latami odmawiano mu paszportu, a nieliczne wyjazdy zagraniczne wiązały się z szykanami na granicach. Ze swej strony Andrzej Paczkowski nie szedł na żadne kompromisy, a postanowienia Zarządu PZA, by przy różnych okazjach wystąpić o odznaczenia państwowe dla niego - zdecydowanie odrzucał. W latach ekspansji Solidarności był jej oddanym działaczem - także później w podziemiu stanu wojennego, kiedy redagował serie wydawnicze i konspiracyjne czasopisma.

Buon lavoro! J.N.



# SPRAWOZDANIE Z CENTRALNEGO WYJAZDU ZIMOWEGO PZA

Celem tegorocznego zimowego wyjazdu PZA w dniach 15.02. - 16.03.1994 były góry Norwegii, a w nich najtrudniejsza ściana tego kraju i jedna z najważniejszych w Europie - Trollveggen.

Z kraju wyjechali: Andrzej Dutkiewicz, Jacek Fluder (kierownik), Zbigniew Krośkiewicz i Stanisław Piecuch.

W planie mieliśmy zrobienie pierwszych zimowych przejść drogi Arch Wall i ewentualnie Drogi Norweskiej. Droga Arch Wall poprowadzona w 1972 roku w ciągu 21 dni i wyceniona przez zdobywców na VI+. A5 doczekała się tylko jednego powtórzenia w 1989, po którym trudności zweryfikowano na VII-. A4+. Jest to niewątpliwie najtrudniejsza droga na całej ścianie i w całej Norwegii, a być może, co twierdzą norwescy dziennikarze, także w Europie. Tak więc cel mieliśmy trudny i ambitny, wiedzieliśmy też, że polski zimowy obóz centralny w 1987 "urobił" w ciągu wielu dni jedynie cztery wyciągi drogi. Już po przybyciu na miejsce i po dokładnej lustracji ściany stwierdziliśmy, iż nasz pięcioosobowy zespół należy podzielić i spróbować zaatakować jednocześnie obydwa zimowe problemy Trollveggen. I tak: J. Fluder, J. Gołąb i S. Piecuch za cel obrali Arch Wall, natomiast duet A. Dutkiewicz - Z. Krośkiewicz Drogę Norweską z 1966 roku wycenioną na VI. A3. Dnia 26 lutego zespół na Arch Wall zaporęczył pierwsze trzy wyciągi. Ostatni z nich dał nam przedsmak tego, co nas czeka wyżej. Prowadzący J. Gołąb wbił na nim 16 jedynek, kilka skyhooków i rurpów. 28 lutego weszliśmy w ścianę z zamiarem ostatecznego ataku zabierając ze sobą trzy podwójne liny i żywność na 10 dni wspinania. Po pięciu dniach, pomimo silnego wiatru i dokuczliwego mrozu doszliśmy do dobrej półki w środku ściany, mając już za sobą 15 bardzo trudnych wyciągów i cztery niewygodne biwaki na siedząco na małych półkach. Nad półką zaczynała się najbardziej stroma część ściany

zamknięta okapem - tzw. "Lustro", teren właściwie cały czas przewieszony, z wiszącymi stanowiskami. Pokonanie "Lustra" zajęło nam kilka dni - na noc zjeżdżaliśmy na półkę. Na dodatek pogoda popsuła się definitywnie i dalej aż do szczytu wspinaliśmy się w padającym śniegu i syjących pyłówkach. Zdarzył się nawet dzień, gdy w ogóle nie dało się ruszyć z półki. Ostatecznie grań szczytową osiągnęliśmy około 15.<sup>00</sup> dwunastego dnia wspinaczki pokonując 38 wyciągów, z których na 20 posługiwaliśmy się wyrafinowanymi metodami techniki hakowej, a pozostałe to bardzo trudna wspinaczka klasyczna.

Natomiast zespół na Drodze Norweskiej po zaporęczeniu 26 lutego dolnego fragmentu ściany, wszedł w drogę 28 lutego, by w dobrym tempie po dwóch dniach osiągnąć wielką półkę wspólną z drogą prowadzącą Filarem. Z półki idąc dalej Filarem zespół osiągnął grań szczytową następnego dnia. I tutaj warto przypomnieć, że na tej samej drodze podczas próby przejścia zimowego w 1978 polski zespół po 3 dniach wspinania i wcześniejszym poręczeniu doszedł zaledwie do 1/3 ściany. Tak więc szybka trzydniowa wspinaczka na Drodze Norweskiej zespołu Krośkiewicz-Dutkiewicz jest dużym osiągnięciem, choć nieco przyćmionym przez przejście Arch Wall.

Dokonanie dwóch pierwszych przejść zimowych na największym przewieszonym urwisku Europy to niewątpliwie wielki sukces polskiego alpinizmu. Wielki także na skalę europejską i szczególnie cenny, gdyż udowodnił, iż po wielu latach braku znaczących osiągnięć alpejskich Polacy znowu potrafią nawiązać do najlepszych przejść w Europie. Można mieć nadzieję, że nasze sukcesy w zimowym "big wall climbing" zwiększą zainteresowanie tą trudną konkurencją i zachęcą innych do zmierzenia się z prawdziwie wielkimi ścianami.

Jacek Fluder

# Arch Wall

**28.02.** - Zaczyna się. Przez tyle dni o tym marzyłem, a teraz najchętniej rozwalilibym ten warczący budzik. Jak zwykle przed wielką drogą czuję lekkie napięcie. Jest trzecia w nocy, na zewnątrz straszny mróz, wiatr, a tu w "huttcie" tak miło... Odwagi dodaje mi myśl, że są tu Stasiu i Jacek, świetni partnerzy i znakomici profesjonalści. A więc "nie ma to tamto - do łożu", niech się sypią iskry i huczy prawdziwe rzemiosło w całej dolinie. Samochodem jedziemy na parking a stamtąd forsownie podchodzimy pod ścianę. Smętnie przygnieceni zdrowymi worami docieramy po trzech godzinach marszu pod wejście w Arch Wall. Wiszą tu już nasze, sięgające trzeciego stanowiska liny, które powiesiliśmy dwa dni temu. Teraz idziemy na całość, jesteśmy spakowani na 10 dni. Bez większych emocji wchodzimy w drogę, która na tym odcinku biegnie zupełnie pionową, gładką ścianą. Gdy "małpując" mijam wyciąg A4+, na którym tak się nabałem dwa dni temu, mam ochotę gorzko splunąć, powstrzymuję się w ostatniej chwili. Sam nie wiem dlaczego wtedy nie spadłem, początek wyciągu nie był nawet trudny, potem trawers pod okapem i przez jego krawędź na dwóch jedynkach i copperheadzie. Dalej był zupełnie gładki odcinek 30 metrów na jedynkach, rurkach i skyhookach. Sama końcówka w pionowej zgnilej skale, na hakach, które niczego nie mogły gwarantować. Na samą myśl o tym horrorze, serce z klaty chce mi wyskoczyć. Wreszcie koniec poręczówki, teraz kolej na Jacka. W "chorej" skale robi do zmroku dwa długie wyciągi do małej półeczki. Z trudem udaje się nam na niej usiąść, a nogi trzymamy na Stasiu, który poniżej zawisł w "gnieździe".

**1.03.** - Wstajemy wcześnie, dziś pracę zaczyna Stasiu, już na dzień dobry ma wyciąg A3+, na którym trochę lata. W ciągu



Trollveggen - z lewej Arch Wall, z prawej Droga Norweska

dnia coś niedobrego dzieje się z pogodą, jest zimno, wieje lodowaty wiatr, pyłówki zupełnie zwariowały, pędzą w dół, a potem jak pomyłone wracają do góry z taką siłą, że końce naszych lin szybują gdzieś wysoko nad nami poplątane niemiłosiernie. Zrobiło się ciemno, na biwak musimy się rozdzielić. Stasiu zawisa w swym "gnieździe" a my zjeżdżamy 30 metrów niżej i spędzamy noc siedząc na małym gzymsie skalnym. Nogę zwisają za krawędź, którą po pewnym czasie coraz dotkliwiej czujemy pod udami, nad ranem ból staje się nie do zniesienia.

**2.03.** - W nocy logistycznej E. Drumond wspominał, iż wyciągów hakowych raczej nie da się przejść klasycznie i odwrotnie klasy-



cznych nie da się zrobić hakowo. Do wieczora robiliśmy dwa wyciągi V+ i VI po wymytej, wypłukanej skale opisane jako "bad protection". Wspinam się hakowo, o klasyce nie ma mowy, ściana jest tu wciąż bardzo stroma. I na tę noc musimy się rozdzielić. Staś zostaje na górnym stanowisku. Jacek i ja okupujemy małą półeczkę 60 metrów niżej, gdzie oczywiście tradycyjnie tylko siedzimy.

**3.03.** - Dwoma wyciągami docieramy do wygodnej półki "House of Heen". Jacek robi jeszcze nieprzyjemny trawers z obniżeniem i pokonuje szóstkowy pasaż w zupełnie pionowej skale, pokrytej cienkim kruchym lodem. Robi ten kawałek klasycznie na działach i w wielkim stylu. Wieczorem zjeżdżamy do Stasia, który przygotował platformę i rozstawił nasz ścianowy namiot. Mimo, iż tylko siedzimy, biwak jest wygodny i wreszcie jesteśmy wszyscy razem.

**4.03.** - Jednym wyciągiem łączymy się z drogą francuską, a kolejnym osiągamy wielkie odstrzelone półki, na których zostają i przygotowują biwak. Chłopcy idą dalej, droga zmieniła tu swój charakter, zrobiło się bardziej ludzko. Wreszcie są dobre szczeliny, które pozwalają Stasiowi rozwinąć bardzo duże tempo. Tuż przed zapadnięciem zmroku pod ścianą pojawiają się małe sylwetki, coś krzyczą i my krzyczymy, lecz i tak nic z tego nie rozumiemy. Jak się później okazało, byli to Zbyszek i Duduś. Po skończeniu drogi poszli ściągnąć swoje poręczówki i poinformowali nas, że pogoda ma się zepsuć.

**5.03.** - Poranek wstaje smutny, mglisty. Po krótkim wyciągu rozstajemy się z drogą francuską i prostym systemem szczelin, które droga ta wykorzystuje, robimy dwa skomplikowane wahadła. To drugie, "Big Swing" trzydziestometrowe, jest połączone z delikatnym wspinaniem. Tracimy sporo "na wysokości" i ładujemy w zupełnie gładkiej polaci ściany nazwanej "Troll Mirror". Kolejny wyciąg, A4+, 5b, wydaje się nie do przejścia. Drumont zrobił go na skyhookach wbijając na 38 metrach tylko dwa haki. Dwa metry na prawo wypatruję cienką smugę pęknięcia. Wspinaczka jest ryzykowna. Dwanaście jedynek, które nam zostały okazuje się zbyt małą ilością, muszę je wyciągnąć spod siebie. Teren jest lekko przewieszony i kruchy, na

domiar złego zaczyna wiać wiatr i sypie śniegiem. Na biwak zjeżdżamy na odstrzelone półki. Przez całą noc pada śnieg. Napiera na namiot przysgniatając nas swym ciężarem. Śpiwory zupełnie nam przemakają.

**6.03.** - Wychodzimy bardzo późno. Rano był jeszcze gęsty śnieg, teraz trochę się przeciera, może zrobi się ładna pogoda? Jacek kończy na skyhookach wyciąg A4+, a z pogodą znowu coraz gorzej. Zaczyna wiać i sypać, ściana oblepia się coraz grubszą warstwą szadzi. Skomplikowanym wyciągiem A2 docieramy do stanowiska pod Archem. Jest to upiorne miejsce, wisimy w ławeczkach pod ogromnym dachem, osiemset metrów nad podstawą ściany i nie mamy żadnego pewnego haka. Zrobiło się ciemno, gdzieś w dole huczą lawiny. Śnieg napiera ze wszystkich stron. Nasze Goreteksy skuto lodem, z trudnością się poruszamy. Z trudem w fatalnych wirach pyłowych zjeżdżamy po naszych poręczówkach do namiotiku, gdzie lekko przerażony Staś wita nas gorącą kolacją. Noc spokojnie mija na nieustannym otrzepywaniu namiotu ze śniegu, który coraz skuteczniej nas osacza.

**7.03.** - Dopiero w południe Staś i Jacek zaczynają kolejny wyciąg. Przechodzą na



Od lewej Jacek Fluiter, Janusz Gólab, Zbigniew Krośkiewicz, Stanisław Pietuch, Andrzej Dutkiewicz.

małą półeczkę, lecz z uwagi na złą pogodę raz jeszcze biwakujemy na odstrzelonych półkach. Wieczorem postanawiamy zwinąć jutro biwak i przenieść się wyżej. Całą noc pada ciężki, mokry śnieg, jesteśmy zupełnie przemoczeni, nawet już nie podejmujemy walki z wilgocią i wodą.

**8.03.** - Niestety dziewiąty dzień w ścianie jest zupełnie stracony, sypie prawie bez przerwy. Tego dnia nie wychodzimy na wspinanie w ogóle. Zapas żywności, jaki wzięliśmy ze sobą, już prawie zjedliśmy. Zostało parę zupek, resztki herbaty i trochę słodczy. Już nie mamy na czym oszczędzać.

**9.03.** - Biwak zwinięty, a i pogoda się poprawiła, spoza ciężkich burzowych chmur wychodzą błękity, będzie O.K. Grzecznie małpujemy 250 m po naszych sznurach, w większości oczywiście w powietrzu. Przechodząc przez Archa przeżywam horror na zasznionych linach. Przestają mi działać małpy, kilka razy niebezpiecznie obsuwam się w dół stanowiska. Wyżej teren nieznan. Znowu powolna wspinaczka A2 przez całkiem spory okapik, potem zalane lodem płyty - klasyczne VI. Biwak zakładamy na obszernej, lecz stromej flance lodowej, gdzie tylko siedzimy. Biwak jest ciężki, spiwory zupełnie zamazły. W ogóle zapanowały jakieś arktyczne mrozy, marzną nam palce u nóg. W nocy zaczyna znowu sypać śnieg, z trudem odkopujemy się spod kolejnych lawin pyłowych, wszystko pokrywa się warstwą lodu.

**10.03.** - Nad ranem troszkę się wyjaśniło, decydujemy się na zrzućnię części sprzętu. Do szczytu Trollveggen zostało nam około 800 metrów, liczymy na to, że dzisiaj wyjdziemy ze ściany. Zostawiamy tylko część sprzętu do wspinaczki, palnik i płachty biwakowe. Pogoda gwałtownie się psuje, tak złego dnia jeszcze nie było. Jacek, który dzisiaj prowadzi, daje z siebie wszystko, robi wyciąg za wyciągiem, a w pewnym momencie odpada. Wygląda to tak jak gdyby wiatr oderwał go od ściany. O zmroku jesteśmy tuż pod wierzchołkiem, z tego miejsca powinni być dwa łatwe wyciągi na szczyt. Zapadają ciemności, nadal wieje i sypie i pogoda się poprawia. Jacek robi trawers w lewo, potem łoi w zupełnej lufie jakąś rysę od czasu do czasu podhaczając. Po dziewię-



Jacek Fluider

ciu metrach zakłada stanowisko na małej półeczce. Dalej jest ścianka i teren znów się kładzie, tyle widać. Jacek wbija dwie słabe jedyńki, próbuje przejść próg, po chwili wali się w dół, spada na półkę, traci równowagę i leci jeszcze niżej. Ze stanowiska wypada jeden hak, czuję że spadam za Jackiem. Wreszcie szarpnięcie, już spokojne, już po wszystkim. Wiszę za krawędzią półki. Jacek pięć metrów niżej zwija się z bólu, mocno stłukł sobie żebra. Na dziś koniec zabawy, kibujemy. Tej nocy marzną nam palce u nóg, śnieg zasypuje nas całkowicie, śpimy jak psy husky.

**11.03.** - Dziś kolej na Stasia, rano troszkę marudzi, że jest zmęczony, po chwili przełamuje się i zaczyna prowadzić. Nad ranem przestało prószyć śniegiem, za to wiatr zupełnie oszalał, obraca nami jak chce. W południe po dwunastu dniach wspinaczki wreszcie wychodzimy ze ściany. Jesteśmy zdrowo zmęczeni, lecz nie jest to koniec naszej przygody. Zejście w doliny jest bardzo długie, przez rozległe zasypane śniegiem góry, zimą zupełnie odludne. Wieczorem w huraganowym wietrze docieramy do przełęczy Trollstigen, gdzie raz jeszcze biwakujemy.

**12.03.** - Po pięciu godzinach zejścia w połowie doliny Isterdal spotykamy Zbyszka i Dudusia, którzy wyszli nam naprzeciw. Byli bardzo zaniepokojeni o nas, trudno się dziwić. Chłopcy też swoje przeżyli czekając na nas, a tak to w ogóle miło jest jak ktoś na kogoś czeka. W ogóle tu na dole jest miło. Norwedzy mówią, że Arch Wall jest najtrudniejszą drogą w Europie, ale chyba nie, bo przecież nie było aż tak strasznie.



# Na jednej nodze po trudnej drodze

Gdy pierwszy raz w 1990 r. znalazłem się pod Trollveggenem, uległem przedziwnemu złudzeniu. Z parkingu znajdującego się naprzeciwko ściany obserwowałem coś raczej pociągłego i dziwnie krótkiego. W każdym razie na pewno nie najwyższą pionową ścianę Europy. Szybko jednak okazało się, że jestem w błędzie. Z parkingu, który wydawał się być blisko ściany podchodziliśmy 2,5 godziny. Góra rosła i rosła, a moja żona Joasia powiedziała, że na tej ścianie na pewno nie będzie się wspinała. Przesadnie nie nalegałem. Następnego dnia drogą zejściową podeszliśmy na szczyt. Kamień rzucony w dół ani razu nie uderzył w ścianę, to ostatecznie rozwiało wszelkie moje wątpliwości dotyczące jej nastromienia.

Zimą 1994 podchodzę pod ścianę w innym towarzystwie, jest nas pięciu - sami faceci. Z min i cicho wymienianych uwag wnioskuję, że ściana udziela nam pierwszej lekcji pokory. 26 lutego idziemy z Dudusiem zaporęczować trzy pierwsze hakowe wyciągi Drogi Norweskiej. W trakcie wspinania korzystamy z dużej ilości sprzętu pozostawionego przez poprzedników. Nasz szczególnie podziw budzi stalowy bong o wymiarach 10x25 z dużym stalowym karabinkiem. Jest mocno zardzewiały, ale siedzi pewnie. Zakładam z niego stanowisko. Trzy wyciągi robimy szybko, zostawiamy sprzęt i do domu. Pogoda bardzo się pogorszyła, wieje zimny wschodni wiatr strącając naszą drogą pyłówki. Temperatura ok. 10 - 15 °C.

Następnego dnia pakujemy wory. Planujemy sześć dni wspinania. W nocy z niedzieli na poniedziałek nie śpię. Łyknąłem nawet jakiegoś ziółka na sen, ale nic to nie dało. Z odgłosów dochodzących z pozostałych łóżek wnioskuję, że nie czuwać sam. Wychodzimy

o 4.30. Wiatr utworzył na szczytach pióropusze, a pyłówki wałęsają jedna za drugą. W dodatku od końca poręczówek zniknęły stare haki. Droga kluczy, nie jest ewidentna, dużo trawersów. Nie da się ciągnąć plecaków, trzeba się z nimi wspinać. Biwak powinniśmy mieć w "Orlim Gnieździe", ale gdzie ono jest. Występują pewne różnice zdań. Na szczęście, gdy ja prowadzę następny wyciąg, Duduś rozpoczyna kopanie w przyklejonym do ściany stożku śnieżnym. To chyba tu. Później, już razem, wygrzebujemy jamę tak dużą, że rozwieszamy w niej płachtę. Komfort. Jedyny zgrzyt tego wieczora to dziwne zachowanie mojego ulubionego palnika Colemana. Bardzo długo nie dał się rozgrzać i buchał żółtym płomieniem. Następnego dnia rano zaraz po rozpaleniu Coleman gaśnie. Wypalił prawie połowę benzyny, którą zabraliśmy, a tu przed nami jeszcze pięć dni wspinania! Mało brakowało a zakończylibyśmy wycieczkę w tym miejscu (zresztą tak jak poprzednicy). Na szczęście Duduś wymyślił, że drogę możemy skończyć Filarzem co nam zajmie maksymalnie trzy dni. Przy oszczędnym gotowaniu paliwa powinno wystarczyć. Następnego dnia, po emocjonującej wspinaczce po szóstkowych płytach, osiągamy Filarz. Tym razem biwak jest wygodny. Pogoda systematycznie się pogarsza. Na Filarze wzmógł się wiatr, a na niebie pojawiły się chmury zwiastujące załamanie pogody. Następnego dnia widzimy chłopców na ich biwaku. Staś dynda samotnie w płachetce, a Jaś i Jacek są niżej w krzywo rozstawionym namiocie. Oni są niżej, ale widzimy się dobrze. Coś tam krzyczymy, machamy rękami na pożegnanie i w drogę.

Po Filarze wspinamy się bardzo szybko. Droga jest znacznie łatwiejsza technicznie i orientacyjnie. Co jakiś czas pokazują się

stałe haki. Późną nocą osiągamy szczyt. Wiatr w porywach jest huraganowy. W takich warunkach zejście jest upiorne i nie bez przygód. Zajmuje nam osiem godzin. O 6 rano jesteśmy na dole w naszej chatce. Ulga potworna. Spełniamy parę szybkich toastów za Nas i za Nich i spać.

Budzi mnie błysk flesza i szarpanie za nogę. Wstawaj - mówi Duduś - trzeba pojechać pod ścianę. Jest 11 rano. Koło południa jesteśmy na parkingu, ale nie widać absolutnie nic. Wieczorem jesteśmy drugi raz. Efekt ten sam. Człowiek, od którego wynajęliśmy domek, gdy dowiedział się o tym co robimy w Norwegii, stara się być bardzo uprzejmy i pomocny. Zaraz po naszym powrocie z wspinania obniżył cenę najmu o 1/3. Następnie przychodził do nas z prognozą pogody. Zapowiedziane jest ocieplenie i deszcz. Następnego dnia po powrocie ruszamy zdjąć nasze poręcze. Przy okazji nawiązujemy kontakt z Chłopcami. Nie wiemy czy słyszą naszą wiadomość o deszczu, bo my z ich krzyków rozróżniamy tylko ...4....5... dni. Cały następny dzień leje. W ścianie nic nie widać. Czytamy zapamiętałe wszystko, co mamy i obżeramy się potwornie. Odkrywamy lody Krokant, tanie jak barszcz i pyszne tak, że każdy z nas zjada dwukilogramowe pudełko!

Jesteśmy pewni, że Chłopcy zjadą. Rano patrol pod ścianę, pogoda okropna, lecz oni się wspinają!

Widzimy ich na 18 stanowisku. Na parkingu poznajemy wielu ludzi, którzy tak jak my wpadają popatrzeć co się dzieje. Poznajemy tam też Kjetila Svanemyra, dawnego partnera Christiana Doseta, z którym zrobił wiele dróg. Kjetil zabiera nas do farmy Fiva. Tam poznajemy panią, która ma w domu teleskop wycelowany w Arch Wall. Od tego dnia nie musimy stać na wietrze z głowami zadartymi do góry. Teraz gdy, jest dobra widoczność, możemy doskonale zaobserwować każdy ruch w ścianie siedząc w fotelu. Ósmego dnia ich działalności widzimy, jak Stasio pokonuje Arch. Powiało optymizmem. Teraz jesteśmy już pewni, że szybko skończą i pojedziemy do Polski. Mamy już dość czekania. Pogoda nie pozwala nam na dole na nic. Możemy tylko jeść lody, czytać i czekać. Następnego dnia zachowanie zespołu wpra-

wia nas w zupełne osłupienie. Widzimy dwóch ludzi, którzy pośpiesznie wskakują do namiotu. Jest 12 w południe, a pogoda może nawet lepsza niż dnia poprzedniego. Do wieczora nic się nie dzieje. Nie wiemy co myśleć, scenariusze rozwijają się same, głównie te najgorsze. Na pociechę kupujemy następne lody, w końcu to Dzień Kobiet. Na szczęście następnego dnia w ścianie olbrzymi skok. Są na 32 wyciągu, do szczytu brakuje im tylko 6 w łatwym terenie. Następnego dnia dupowa. Ściany nie widać. Nie wiemy czy chłopcy skończyli drogę, ale na wszelki wypadek idziemy im naprzeciw. Czekamy do późna w nocy. Nazajutrz razem z Kjetilem idę na nartach na Trollstigen, przełęcz na którą Chłopcy muszą zejść i z której można zejść w głąb wiszącej doliny. Żywego ducha. Na przełęczy wytrzymujemy tylko pół godziny, jesteśmy lekko ubrani, a wiatr jest tak silny, że błyskawicznie można się odmrozić. Wracamy. Mam już okropne przecucia. Kontaktujemy się z policją. Chcemy na nich wymóc lot helikoptera. Tłumaczę, że dwa dni na pokonanie sześciu wyciągów to dość dużo, że mogą nie mieć jedzenia, picia, że po dwunastu dniach wspinania muszą być po prostu wykończeni i mogą pałać jakieś głupstwo. Ale tego dnia policja jest tylko w stanie lustrować ścianę i ... jej podstawę olbrzymim teleskopem. Pusto. Umawiamy się na spotkanie o 8 rano następnego dnia. Jeżeli zespół nie zejdzie to miejscowy Komendant zadzwoni do Okręgowego, ten do Wojewódzkiego, a ten do Ministra Spraw Wewnętrznych. Jeśli Minister podejmie szybko decyzję to tą samą drogą, tylko w odwrotnym kierunku, decyzja będzie po dwóch godzinach, a helikopter przyleci z Trondheim w ciągu 40 minut. Moja cierpliwość wisi na włosku. Tłumaczę, że w Chamonix taki patrol to błahostka, rutynowa kontrola ściany wielokrotnie uratowała ludziom życie, że tam dzieje się to szybko. A oni na to, że trzeba czekać do 8 rano!!! Rano oczywiście pod ścianę - nic, na drodze zejścia - nic. Wreszcie też już zaniepokojony policjant podejmuje decyzję i jedzie załatwić śmigło. Dwadzieścia minut później przez lornetkę dostrzegamy na drodze zejściowej trzy idące postacie. Dwie godziny potem już razem jedziemy po lody. Im też smakują.



# Na wschód śladami Wojtka

W dniach od 1 września do 11 października 1993 roku działała międzynarodowa wyprawa kierowana przez Krzysztofa Wielickiego. W skład wyprawy wchodził także: Piotr Pustelnik, Mariusz Sprutta, Zbigniew Terlikowski, Joao Garcia (Portugalia) i Marco Bianchi (Włochy). Celem wyprawy były dwa tybetańskie ośmiotysięczniki: Cho Oyu (8202 m) i Shisha Pangma (8013 m). Działając z bazy na wys. 5700 m, po przejściu południowo-wschodniego filara, na wierzchołku Cho Oyu stanęli: 18 września - Marco Bianchi i Krzysztof Wielicki, zaś 24 września - Joao Garcia i Piotr Pustelnik. 26 września wyprawa opuściła bazę udając się pod południowo-zachodnią ścianę Shisha Pangma. Działając w alpejskim stylu, po przejściu drogi jugosłowiańskiej, 6 października na wierzchołku stanęli Marco Bianchi i Piotr Pustelnik. 8 października po przejściu nowej drogi na prawo od drogi angielskiej, na wierzchołku Shisha Pangma stanął samotnie Krzysztof Wielicki. 11 października wyprawa wróciła szczęśliwie do Kathmandu.

## Coś w rodzaju wstępu

Wojtek Kurtyka miał rację. Chętni do wejścia, oczywiście szybkiego, na dwa tybetańskie ośmiotysięczniki Cho Oyu i Shisha Pangma się znaleźli. Ja też dałem się łatwo przekonać do tego pomysłu. Przebiegając kolejną rundę ciemnymi ulicami Łodzi, błąkałem się w myślach po bezkresnych równinach Tybetu wsłuchany w dźwięk dzwonek jaków i łopot chorągwi modlitewnych. "Tomek na tropach yeti", tajemniczy Don Pedro



Smuga, notoryczny alkoholik bosman Nowicki. Ot, takie młodzieńcze fascynacje. We mnie oprócz pewnej iluminacji jaką przeżywałem myśląc o kolejnej górze ośmiotysięcznej, dojrzywała także fascynacja Tybetem, choć wiedziałem, że na tej wyprawie niewiele go zobaczę. Propozycję Krzysztofa Wielickiego udziału w wyprawie przyjąłem z godnością i zadowoleniem, jak to się mówi językiem dyplomatów. Ostateczne rozwiązanie kwestii kosztów zajęło mi parę miesięcy i obliczalną dopiero w niebie porcję nerwów. Teraz już tylko w góry.

## Biegi czyli akcja w górach

Powitałem Kathmandu po ośmiu latach nieobecności. Zmieniło się i nie zmieniło. Zmieniły się ceny, usługi, ale nie zmienili się

ludzie, nie zmieniła się atmosfera na ulicach. Ten sam brudny, tandetny, ale jakże przyjazny Thamel. Zjeżdżamy się powoli. Najpierw Krzysztof, Krowa (Zbyszek Terlikowski - informacja dla młodszego pokolenia) i ja. Czekają już Brandolini czyli Joao Garcia z Portugalii. Za parę dni dojeżdżają poznanicy tzn. Mariusz Sprutta i Przemek Dębowski wraz z czwórką trekkerów. Na końcu Marco Bianchi z Mediolanu (nie z Włoch, ale z Mediolanu). Cała szóstka w komplecie.

Organizacja takiego przedsięwzięcia jest prosta. Bierze się jako kierownika kogoś takiego jak Krzysztof i już jest po zawodach. Jego nadenergetyczność i niechęć do leżenia do góry brzuchem powoduje, że już po paru dniach jesteśmy gotowi do drogi. Ja, choć w 110% się zgadzałem z szefem, to gdzieś w głębokich pokładach mojego jestestwa tkwiła chęć pozostania jeszcze trochę w tej scenerii, by nawdychać się, naczuć i napatrzeć się Nepalu. Nic to, jeszcze się napatrzę, a teraz w górę. Jedziemy na wschód śladami Wojtka Kurtyki. Był tu ze Szwajcarami parę lat temu. Uległem jego fascynacji. Jednak czuję, że dostaniemy w kość. Szybko i wysoko, nie wiem czy wtedy byłem pewien tego co robię. Ale siedząc w autobusie do Kodari (przejście graniczne) dodawałem sobie odwagi wspominając te kilometry połknięte nocą po Łodzi. Patrzyłem na moich towarzyszy... niedoli. Wszyscy oprócz Krzysia mieli niewyraźne miny. Może Marco nie miał, ale on już był w tym roku na ośmiu tysiącach, wszedł na Broad Peak w Karakorum. Ale jedziemy, nie takie rzeczy "żeśmy ze szwagrem robili po pijanemu".

Chwile grozy przeżyłem zanim jeszcze dotarliśmy w okolice gór. Na drodze niczyjej, za granicą z Nepalem, a przed Chinami, odbywały się sceny rodem z rajdu Camela. Zerwane nawierzchnie, głazy na drodze, wrak ciężarówki w przepaści i wielogodzinne wyciąganie samochodu z kolein to tylko próbka testu naszej wytrzymałości nerwowej. Potem krótka powtórka z historii. Spotykamy turystów o wyglądzie żywca z Woodstock. It has never rained in southern California.

Od 1 września jesteśmy w Chinach. Znać przejście graniczne w Zangmu. Tu kłania się socjalizm i organizacja z Tibetan Mount-

aineering Association. Socjalizm zostaje chwilowo na granicy, wkraczamy do Tybetu. Porządny autobus, sympatyczny oficer łącznikowy, ale bagażu pilnujemy. Pierwszy nocleg w Nyalam. Życie i umrzeć w Nyalam jak powiedział chyba nieco zszokowany Marco. Marco, Marco, świat jest duży, a ty myślisz ciągle jak mediolańczyk. Rzeczywiście, kontrasty duże nawet dla nas przywykłych do Wschodu. Gdyby chciało parafrazować Krasickiego, to powiedziałbym: partkomów cztery ułomki, dyskoteek dziewięć i gdzieś gdzieś domki. A także antena satelitarna na poczęcie i łączność z całym światem. Dalej droga wiedzie do Tingri (ok. 4200 m n.p.m.) i do tzw. bazy chińskiej (4700 m n.p.m.). Tam skończą się wyczyny samochodowe i trzeba będzie piechotą.

## Cho Oyu

Siedzę w samochodzie z Krową. Jak w "Czterech pancernych". Zakurzona, odrapana, ledwie jadąca ciężarówka. Chiński kapral Wichura. W środku tłucze się bagaż. Koreańczycy i my. Po drodze widok na północną stronę masywu Mount Everestu. Tak, to jest góra gór. Od wtedy do teraz mam ten obraz przed oczami. Za chwilę baza chińska. Stare, zniszczone budynki, kilkanaście namiotów wypraw. Wiatr i kurz. Po rozładunku wpadamy w panikę. Brakuje bagażu Brandoliniego. Jak to się stało, przecież pilnowaliśmy. Pierwszy raz zbiera się we mnie adrenalina. Co dalej? Następnego dnia przyjeżdżają pozostali. Jest też Brandolini wraz ze swoim worem. No to po sprawie. Nie dochodziliśmy, co i jak. Krzysztof goni z przeładunkiem na jaki, bo chce wyjść do góry. I wychodzimy. Trekkers idą wolno, potem wolniej, a w końcu najcięższy zostaje wyraźnie z tyłu. Zostaje z nim, jestem bowiem na etacie lekarza wyprawy. Tadeusz był wychłodzony i zmęczony szybkim zdobywaniem wysokości, ale noc dzielnie wytrzymał. Rano dnia następnego trekkerzy rozsądnie decydują i wracają do Chińskiej Bazy. Towarzyszy im Mariusz i Przemek. Ja samotnie gonię peleton. Nie pierwszy raz jestem sam w górach ale teraz czuję bliskość Cho Oyu całym sobą. Jeszcze jej nie widzę ale jest na wyciągnięcie ręki. Ostatnie metry przed bazą czuję wyraźnie.



Wysokość jakby nie było 5600 m. Baza jest tuż, tuż. Morena, śnieg, kamienie. Strasznie ponuro. Boże, przyjdzie nam tu spędzić kilka tygodni. Monsun się przedłużył w Nepalu, jest dużo śniegu i codziennie pada. W bazie jest istna wieża Babel. Obok nas Amerykanie z wyprawy Tree Peaks Expedition. I like my coffee, like my woman, hot and black.

Już w kraju wybraliśmy filar polski, drogę zakopiańczyków z 1986 roku. Piękna formacja i będziemy tam sami. Reszta wypraw "rzeźbi" na drodze normalnej. A tam kruszyzna, usypiska kamieni luźno związanych z podłożem i śnieg po przysłowiowe jaja. Zaczynamy zgodnie z dewizą Krzysia: "Press on regardless". Najpierw obóz przejściowy u stóp filara, dwa dni później obóz I. W międzyczasie wraca do bazy Mariusz. Znany z legendarnej orientacji w terenie, zwiedził wszystkie doliny w tym rejonie. Na szczęście bez konsekwencji. Teraz grozi nam poręczowanie "Szarej Turni". Krowa zna ten teren i mamy całe 500 m lin poręczowych. Miałem stracha, ale okazało się, że nie jest tak strasznie. Kiedy wyszedłem na grań powyżej "Szarej Turni" to okazało się, że dalej jest ona wąska i bardzo eksponowana. A liny poręczowe już się skończyły. Jutro przyjdą tu Krzysztof i Marco. Pociągną dalej do dwójki. My schodzimy. Najbliższe dni będą decydujące. W bazie czeka Nick Cienski z kolegą i gwiazdą kobiecego amerykańskiego ski extreme. Chce (ona, nie Nick) zjechać z Cho Oyu. Bardzo dobrze, ale trzeba najpierw wejść. Mnie też to męczy. Chcę wejść i nie ukrywam, że teraz po próbie Krzyska będzie na mnie kolej. Kto będzie partnerem. Krowa jest trochę chory, więc Mariusz. Do góry poszedł Joao, ale normalną drogą. Spotkamy się w dwójce. Bon chance. Krzysztof, Ruszyli. Baza niby uśpiona, ale wszyscy w napięciu czekają na kontakt radiowy. Na każdej wyprawie jest tak samo, a jednak zawsze przeżywam to inaczej. Czekanie na sygnał z wierzchołka, lornetka wędrująca z rąk do rąk. Późnym popołudniem się zgłaszają. Weszli, oczywiście weszli i schodzą do dwójki. Baza odżyła. Teraz kolej na nas. Idziemy. W jedynce konfuzja. Okazuje się, że jakiś ... palant zabrał na dół mój czekan. Byczo, ale noc z głowy.

Thukę się w nocy po kamieniach, przy-

plątuje się burza śnieżna. Poziom adrenaliny znowu rośnie. Muszę na marginesie powiedzieć, że lojalność moich kolegów nie miała granic. Trzymali nazwisko tego osobnika od mojego czekana w tajemnicy przede mną bardzo długo. Ale to wtedy nie miało żadnego znaczenia. W dwójce czeka Joao. Jesteśmy w trójkę. Od razu wykluczyłem atak z dwójki na szczyt. Zabiwakujemy w starych namiotach na 7500 m. Przed wyjściem na szczyt jestem trochę zdenerwowany. Joao też trochę wygląda niepewnie, tylko Mariusz emanuje pewnością siebie. Może to pozór, w środku nocy z dwóch małych namiotów wychodzi trzech ludzi, każdy z inną, osobistą pewnie motywacją. Siarczasty mróz. Ślady, oczywiście, zawiane. I gdy już myślałem, że weszliśmy w rytm "oddech, krok, oddech", słyszę krzyk Mariusza. Cierpną mu ręce, musi wracać do namiotu. Zostaliśmy w dwójkę z Joao. Musi się udać, czuję to.

Plateau szczytowe to istne piekło. Płaskie wielokilometrowe płaszczyzny śniegu. Pod wierzchołkiem niespodzianka na granicy zawału serca. Z jamy śnieżnej wylania się skośnooki osobnik i mówi: "cześć" to znaczy "hello", bo mówi po angielsku. Okazuje się że w nocy przed wejściem przeszedł koło nas samotny Japończyk ale mu zabrakło mu siły do wierzchołka i złapał biwak. Teraz jest zmęczony, rezygnuje i schodzi w dół. My idziemy dalej. Brodzimy w głębokim śniegu momentami przewianym, momentami kopnym. Idąc do hipotetycznego wierzchołka. Wreszcie jest. Ściskamy się, ale prawdziwa radość będzie później. Szczyt jest w bazie. To słowa Krzyska. Będę o tym pamiętał do końca wyprawy. Teraz już tylko w dół. Do bazy. Joao śpi w dwójce. Będzie w bazie dzień później. Przychodzę do bazy po północy, w namiocie bazowym polsko-włoski poker. Wreszcie trochę odpoczynku. Ale Krzysztof czuwa. Szybko, w tradycyjnie złej pogodzie pakujemy staff i wracamy do Bazy Chińskiej. Przygoda za Cho Oyu się skończyła. Schodzę w dół moreną popatrując co trochę do tyłu. Zostawiłem tutaj trochę siebie, jak pod każdą górą. Chcę więc utrwalić wizerunek góry, wryć w pamięć. Kocham cię, Cho Oyu.

Teraz dwa dni w Nyalam i do góry pod południowo-zachodnią ścianę Shisha Pan-

gma. Nyalam. Trzy dyskoteki kuszą. Na parkiecie tłok, sierżant tańczy z kapralem. bufetowa z inną bufetową. Nie ma czasu na obserwacje socjologiczne bo logistyka do Shisha Pangma była w pełnym biegu.

## Shisha Pangma

Znowu jaki. ładunki. domarsz. Tym razem sceneria wspaniała, piękna jesień, tylko coś się ze mną dzieje niedobrego. Jestem jakiś ospały, bez motywacji. Bałem się tego już wcześniej, teraz chcę by ten stan trwał jak najkrócej. Joao też nie jest świeży. Krzysztof w normalnej formie. Mariusz tryska energią. Mówi nawet o solowym wejściu. Marco wydaje się być nieco zmęczony. Dochodzimy do bazy. Jest dokładnie tak, jak pisał Wojtek. Pięknie, naprawdę pięknie. Jest nawet jeziorko. Przy okazji, wbrew zapowiedziom, chyba nikt się w nim nie wykąpał. Wychodzimy wszyscy pod ścianę. Pogoda jest nareszcie ustabilizowana. Słońce, bez opadów śniegu, ale zimno. Zdecydowaliśmy, że wychodzimy z Mariuszem i Krową na drogę Słoneńców. Krzysztof i Marco na nową drogę, ale jeszcze nie wiadomo dokładnie gdzie. Joao wraca do Nyalam. Jest chory i zmęczony. I tak będzie czarnym koniem wyprawy. W "moim" zespole zmiany kadrowe. Najpierw wykrusza się Krowa (ma jeden czekan i nie chce ryzykować w trudnej i stromej ścianie). Niech to diabli. Zbyszkowi ten szczyt się należał. Ale trudno, takie jest życie. W nocy niespodziewanie dołącza do nas Marco. Krzysztof zdecydował się na wejście solo. No to let's go climbing. Mariusz idzie dzielnie, ale na ok. 7000 m. dopada go owo tajemnicze cierpienie rąk. Musi wracać. My idziemy uparcie do góry, do grani. Trzy razy nerwowo wychodzę w lewo licząc na łatwiejszy teren. Nic bardziej złudnego. Chyba wystawiłem cierpliwość Marco na poważną próbę. Na grani jesteśmy już w nocy. Rozbijanie namiotu to prawdziwa męka. Pręty namiotowe pękają jak zapalki. Posiłkujemy się sruibami lodowymi. W końcu namiot staje na małej kalinie. Wokół dużo powietrza. Jesteśmy tak zmordowani, że wyjście następnego dnia jest niemożliwe. Odpoczywamy i robimy rekonesans na grani. Następnego nocy wkraczamy na niebezpieczny, z uwagi na la-

winy, trawers do plateau szczytowego. Znowu końcówka wspinania to długie plateau. Idę teraz z motywacją. Naprawdę to czuję. Ta odmiana mnie podnieca. Jestem tak pewien, że się powiedzie, że zaczynam myśleć wspinając się, co będę robił jak zejdziemy. To niebezpieczne uczucie i z trudem koncentruję się na wspinaniu. Pierwszy raz w górach wysokich zaczynam traktować akt wspinania tak instrumentalnie. Nie, tak nie może być. Tu my jesteśmy intruzami i od łaskawości gór zależy, czy pozwolą nam na ten gwałt na sobie. Na wierzchołku przeżywamy z Marco chwile poważnej radości. Teraz już definitywnie w dół. Jeszcze moment refleksji o Wojtku Kurtyce. Dzięki za inspirację. Wojtku, dzięki za realizację Krzysiu. Marco, chodźmy. Tu mała dygresja. Po lawiniastych zboczach spotykamy jeżdżącą na tyłkach trójkę alpinistów. Jest to Chantal Mauidit z dwoma Hiszpanami. W naszym małym namiocie zrobił się ścisk. Na mnie leżeli dwaj Hiszpanie, podczas gdy w drugim kącie Chantal tokowała z Marco. W końcu się wkurzyłem i zarządziłem odwrót. Lecieliśmy w dół na skrzydłach nadziei znalezienia czegoś do picia i jedzenia. Noc, gasnąca czołówka, czyli klasyka opowiadań górskich. W tym samym czasie Krzysztof szedł do góry swoją drogą. Byliśmy myślami z nim. Wszedł. Biwakował w miejscu naszego biwaku, ale pogoda sprzyjała i bez odmożeń wrócił do bazy. Wyszli po niego Krowa i Mariusz. Ładny koleżeński gest. Jeśli jeszcze raz ktoś mi powie, że wspinanie solo to komfort dla tegoż wspinacza to powiem krótko. Nie p...l. Tej nocy, kiedy biwakowałeś na górze, w bazie nie spał chyba nikt. Może kucharz. Ładny mi komfort. OK. Niemcy mówią tak: Ende gut alles gut. Rzeczywiście, bardzo udana wyprawa. Wejścia szczytowe, nowa droga, żadnych przygód. Potem tylko w iście ekspresowym tempie wróciliśmy do Katmandu. KONIEC.

## Coś w rodzaju podsumowania.

Wyjechałem z Warszawy 25 sierpnia. Wróciłem 17 października. Na Cho Oyu byłem 24 września, na Shisha Pangma 6 października. Tempo dość dobre, choć parę razy usłyszałem od Krzysia, że działam w "portugalskim" (?) stylu. Teraz poważnie. Byliśmy dobrym, zgranym zespołem. Może byśmy jeszcze raz pojechali razem?



## Bieg po Koronę Himalajów

Pojęcia "Korony Himalajów" nie stworzyli alpinisci, lecz dziennikarze śledzący wyścig asów wspinaczki wysokościowej o zdobycie wszystkich 14 ośmiotysięcznych szczytów Ziemi, wznoszących się w Himalajach (10) i Karakorum (4). Pierwszym człowiekiem, który dopiął swego i skompletował całą serię owych szczytów był włoski wspinacz Reinhold Messner. W niespełna rok później taki sam wynik ogłosił Jerzy Kukuczka. Z okazji olimpiady zimowej w Calgary obaj oni otrzymali srebrne medale Orderu Olimpijskiego, jednakże Messner swojego nie przyjął stwierdzając, że współzawodnictwo wysokościowe nie ma charakteru sportowego.

Kiedy w połowie lat osiemdziesiątych Messner, podówczas zdobywca 10 ośmiotysięczników, zapowiedział, że zrobi wszystko, aby skompletować całą czternastkę, niewielu sądziło, że jest to realne. Himalaizm zawsze był sportem niebezpiecznym, a wprowadzenie elementu wyścigu czyniło go jeszcze ryzykowniejszym. W dniu 16 października 1986 r. Messner wszedł na Lhotse (8501 m) i ogłosił zwycięstwo: był na wszystkich 14 olbrzymach. Ponieważ pierwszy z nich pokonał w r. 1970 (Nanga Parbat, 8125 m), cała operacja zajęła mu 16 lat. Kukuczka, którego oddech Messner - jak sam wyznał - "czuł na karku" wchodząc na swój 13 i 14 ośmiotysięcznik, potrzebował do skompletowania "Korony Himalajów" niespełna 10 lat (zaczął w r. 1979, od wejścia na Lhotse, skończył 13 października 1987 na Shisha Pangma). Ale Kukuczka nie wchodził na himalajskie olbrzymy znanymi już wcześniej i wydeptanymi drogami, jak w większości uczynił to Messner. Jego założeniem było wejść na te szczyty bądź nowymi drogami, bądź zimą. Nie podważa to w niczym pierwszeństwa Messnera, który był z kolei prekursorem wejść na najwyższe ośmiotysięczniki bez użycia tlenu, np. na Everest w maju 1978 roku.

A jak wygląda dzisiaj sytuacja w wielkim, himalajskim maratonie? Jakie są szanse kolejnych "zawodników"? Trzeba od razu powie-

zieć, że nie wszyscy wspinacze wysokościowi deklarują zamiar skompletowania całej czternastki. Należy do nich Szwajcar Erhard Loretan, który w górach najwyższych poszukuje innych emocji, innych wrażeń. Swoją 11 ośmiotysięcznik, Makalu (8463 m), zdobył on jesienią 1991 roku i nie zabiegał o następne.

Po 10 szczytów ośmiotysięcznych mają w dorobku Szwajcar Marcel Ruedi, Słoweńiec Viki Groselj, Włoch Fausto de Stefani, Polak Krzysztof Wielicki i Francuz Benoit Chamois. Marcel Ruedi przypłacił niestety swój 10 ośmiotysięcznik życiem: 24 września 1986 r. zmarł podczas zejścia z Makalu. Podobną cenę - przy próbie wejścia na dziewiąty szczyt ośmiotysięczny - przyszło zapłacić Wandzie Rutkiewicz. Używając nadal sportowych określeń można powiedzieć, że stawka jest wyrównana, zwłaszcza, iż wszyscy wyżej wymienieni nie znaleźli się na liście przypadkiem, lecz faktycznie należą do elity światowego himalaizmu. Zdaniem specjalistów, na najlepszej pozycji znajduje się Groselj, ponieważ ma w swym wykazie wszystkie najwyższe ośmiotysięczniki, a wśród nich "zaliczony" minionego lata K2 (8611 m), uważany za najtrudniejszy z wszystkich. Brak go innym, jak też takich szczytów, jak Mount Everest, Kangchendzonga czy Makalu. Kilku alpinistów z wymienionej piątki zapowiada, że w przyszłym roku znów wyruszy na jedną lub więcej ekspedycji. Być może któryś z nich zdobędzie "Koronę Himalajów" - jako trzeci.

Przypomnijmy całą wielką czternastkę z obowiązującymi aktualnie wysokościami (H = Himalaje, K = Karakorum):

Mount Everest 8848 m (H), K2 (Chogori) 8611 m (K), Kangchendzonga (Kangchenjunga) 8586 m (H), Lhotse 8501 m (H), Makalu 8463 m (H), Cho Oyu 8201 m (H), Dhaulagiri 8167 m (H), Manaslu 8163 m (H), Nanga Parbat 8125 m (H), Annapurna 8091 m (H), Gasherbrum I (Hidden Peak) 8068 m (K), Broad Peak (Falcon Kangri) 8047 m (K), Gasherbrum II 8035 m (K), Shisha Pangma 8027 m (H)

# Czym fotografować



Fot. P. Sędzikowski

Rynek fotograficzny tak się rozwinął, że w sklepie fotograficznym na Marszałkowskiej można kupić to samo, co w podobnym przy Champs Elyses, za podobną, lub niższą, cenę. Pierwsza rada: kupujmy sprzęt i materiały w Niemczech, Belgii, w USA. Niezależnie: nowy, czy używany. Połowa rzeczy oferowanych w polskich komisach i na giełdach jest kupiona przez zawodowych handlarzy w "second-handach" lub na wyprzedażach Berlina, Wiednia i Londynu. Porządne sklepy dają gwarancję również na sprzęt używany, który ponadto, po nabyciu od poprzedniego właściciela, przechodzi przegląd techniczny. Materiały z kolei w wielu sklepach u nas przechowywane są w sposób sprzeczny z wymogami. Nawet jeżeli mieszczą się w podanym na opakowaniu terminie wywołania, to nie oznacza, że są pełnowartościowe. Jeżeli chcemy kupić więcej materiałów, n.p. na wyprawę, nabywamy jedno opakowanie z serii i testujemy praktycznie. Po sprawdzeniu i zaakceptowaniu kupujemy całą partię, najlepiej ze sporym zapasem. W kioskach i na bazarach filmy kupujemy wyłącznie w najwyższej ostrości.

## Materiały i obróbka

Są równie ważnymi elementami procesu fotograficznego jak aparat, kadrowanie, optyka i naświetlenie. Dostępne na rynku negatywy i slajdy wszystkich czołowych firm świata powodują zawrót głowy. Jednak różnice między wyrobami firm są niewielkie. Wybieramy kierując się przyzwyczajeniem, modą i reklamą: Kodak, Agfa, Fuji, Ilford czy Konica dobrze naświetlone i wywołane w porządnym laboratorium nie sprawią zawodu.

Większość negatywów kolorowych, jakie są obecnie produkowane wywołujemy w procesie C-41, większość slajdów w procesie E-6; oznacza to, że filmy Kodaka możemy zanieść do laboratorium Fuji czy Agfy i odwrotnie. Natomiast odbitki zrobione w innym labora-

torium niż autoryzowane przez daną firmę mogą odbiegać od oczekiwań. Każdy producent w emulsjach swoich filmów stosuje inne barwniki, a papiery do powiększeń są zrównoważone barwnie do "współpracy" z konkretnymi barwnikami w negatywach. Obraz utajony powstający w emulsji fotograficznej od chwili naświetlenia zanika z upływem czasu: naświetlony film oddajemy do wywołania najszybciej jak to możliwe. Najlepiej, jeżeli po wywołaniu pracowni laboratorium potnie go i zapakuje w specjalne "kieszenie" z folii. Wywołany i zapakowany film przechowujemy w ciemnym, suchym i chłodnym miejscu, z dala od środków chemicznych. Nie wyjmujemy go z "kieszeni" bez potrzeby. Dostępne na rynku negatywy barwne występują w czterech podstawowych czułościach: ISO 100/21°, 200/24°, 400/27°, 1600/33°; filmy o najniższej czułości są drobnoziarniste. Sprawdzają się one w zdjęciach plenerowych, łącznie ze świtami i zmierzchami. Jeżeli chcemy wykonywać zdjęcia "w ruchu" w złych warunkach oświetleniowych, musimy użyć czulszych filmów; ISO 400/27°; moim zdaniem to najbardziej uniwersalna czułość. W bardzo złych warunkach możemy zastosować film ISO 1600/33°, mając świadomość dużego ziarna i gorszej rozdzielczości. Nocny marsz przy czołówkach możemy uwiecznić na specjalnej Konice 3200/36° Profesjonal z negatywów czarno-białych. Ten ostatni wywołujemy forsownie w wywoływaczu T Max może osiągnąć czułość ISO 51200/48°, co zadowoli nawet sowę. Uwaga: ultrawysokoczulowe filmy wymagają precyzyjnego naświetlania. Małe niedoświetlenie powoduje wzrost ziarna i spadek kontrastu. Miłośnikom fotografii czarno-białej zbyt leniwym, aby tkwić godzinami w ciemni, rynek oferuje negatyw czarno-biały Ilford XP-2 400; jest to błona przeznaczona do wywołania w procesie C-41. Na papierze barwnym przy neutralnej korekcji mamy monochromatyczne



odbitki o niebieskawym odcieniu. Problemy stwarza niesolidność polskich laboratoriów usługowych, poparta niekompetencją i bezczelnością personelu wciskającego klientom źle skorygowane i naświetlone odbitki jako dobre. Jest rada: poświęćmy pierwszą klatkę każdego filmu i fotografujemy na niej pudełko od niego. Odbierając odbitki zwracamy uwagę na zdjęcie pudełka. Jeżeli kolorystyka odbiega od znanej z natury, mamy prawo zakwestionowania odbitek i dwa wyjścia: zabrać negatyw i nie płacąc za buble poszukać innego laboratorium albo kazać wykonać odbitki jeszcze raz, ale poprawnie.

## **Z czym na zdjęcie**

Jak wspominałem, oferta rynkowa czołowych firm fotograficznych w Polsce nie odbiega od znanej z katalogów. Ponieważ dobór firmy fotochemicznej zależy od gustu i mody w danym środowisku, zajmę się omówieniem sposobów wyboru. Materiały zdjęciowe występują w ofercie większości firm w dwóch, mniej lub bardziej rozdzielonych, grupach. Pierwsza to filmy przeznaczone dla amatorów. Są gorszej jakości niż profesjonalne, ale bardziej uniwersalne w zastosowaniach, tolerancyjne na błędy i niedokładności w obróbce chemicznej, natomiast tolerancja tej grupy materiałów na błędy naświetlania i temperatury barwowej nie jest duża. Materiały profesjonalne lepiej znoszą błędy naświetlania, natomiast wymagają starannejszej obróbki laboratoryjnej. Materiały zawodowe są wyspecjalizowane: inne do zdjęć pejzażowych, inne do portretowych, do reprodukcji obiektów płaskich (np. obrazów) i do fotografii technicznej, do duplikowania negatywów i slajdów, do robienia slajdów z negatywu... gama jest bardzo szeroka. Filmy do zdjęć portretowych mają obniżony kontrast i nasycenie barw: dają delikatniejszy, pastelowy obraz. Są oznaczane jako "Portrait" i jak nazwa wskazuje ich głównym przeznaczeniem jest fotografia portretowa. Ich czułość wynosi zwykle około ISO 160/23°. Do fotografii lotniczej, pejzażowej, do fotografowania architektury i mało kontrastowych faktur służą filmy "High Contrast" (HC) lub "Ultra", o czułości ISO 100/21° - 50/18°.

Filmy Kodaka wymagają lepszych laboratoriów niż produkty pozostałych firm. Nie-

stety, sieć autoryzowanych laboratoriów tej firmy w Polsce nie prezentuje wysokiego poziomu i często usługi są wykonywane nierzetelnie. Jeżeli nie możemy obrabiać filmów w porządnym laboratorium na zachód od Łaby, lepiej zrezygnujemy z Kodaka na rzecz bardziej tolerancyjnych materiałów Agfy lub Fuji. Ta ostatnia oferuje wyjątkowo korzystną relację pomiędzy ceną i jakością. Mimo niskich cen nie warto wkładać do aparatu filmów, których nazwę widzimy po raz pierwszy wtedy, kiedy je kupujemy. Szkoda złamanego grosza.

## **Aparaty**

Nie ma aparatów tanich i dobrych. Nie ma dobrych do każdego zadania. Są kamery uniwersalne: większość produkowanych modeli jest taka. Każdy ma dobre i złe strony, mocne i słabe punkty. Współcześnie występują na rynku aparaty czterech zasadniczych grup konstrukcyjnych: I - Compact: małe, proste w obsłudze, lekkie, najczęściej wysoce zautomatyzowane, działają na zasadzie "naciśnij spust, aparat zrobi resztę". Mają wiele odmian: z zoomem i bez, z automatyką ostrości i Fix-Focusem, z silnikiem do przewijania błony lub z ręcznym naciąganiem. II klasa - Bridge: stadium pośrednie między amatorskimi Compactami a bardziej zawodowymi lustrzankami, aparaty o konstrukcji hybrydowej, posiadające zamontowany na stałe średni zoom (np. 35 - 105 mm) oraz winder - silnik przesuwający film i naciągający migawkę. Niektóre mają układ celowniczy lunetkowy, inne lustrzany. Stosunkowo nowa grupa kamer, której typowymi rezydentami są: Minolta Riva 1051, Fuji FZ 3000, Canon Epoca 135, Ricoh Mirai Zoom 3 z celownikami lunetkowymi oraz Chinon Genesis III, Yashica Samurai Z/ZL, Olympus IS-2000 i 3000 z lustrzanymi, III klasa to lustrzanki małoobrazkowe: aparaty w różnym stopniu zautomatyzowane, umożliwiające wymianę obiektywów i posiadające celownik lustrzany. Ostatnia, IV klasa aparatów, to kamery średnioformatowe oraz profesjonalne, aparaty specjalistyczne: podwodne, stereoskopowe, panoramiczne. Wybór odpowiedniego nie jest łatwy. Trzeba uwzględnić wiele czynników od zasobów finansowych po upodobania.

Fotografowanie w górach stawia sprzętowi bardziej surowe wymagania niż pozostałe gałęzie fotografii. W górach możemy wyodrębnić trzy strefy klimatyczne stwarzające sprzętowi fotograficznemu odmienne wymagania: **Skalki** - warunki pracy nie różnią się od innych dziedzin fotografii sportowej, w zależności od rozmiarów ścian bywają przydatne teleobiektywy ok. 300 mm, bywa przydatny tele-zoom 100-300 mm i szeroki kąt np. 24 mm do dynamicznych kadrów z bliska. Z racji łagodnego klimatu nie musimy aparatu szczególnie dobierać i przystosowywać, z wyjątkiem rejonów pustynnych jak Aures i Hoggar na Saharze, gdzie trzeba się zabezpieczać przed pyłem. Najlepiej zrobimy trzymając aparat w worku foliowym i wyjmując go tylko do robienia zdjęcia. Czołówkę wśród kamer pożądaną do fotografii skałkowej stanowią najlepsze modele czołowych firm: oczywiście lustrzanki małoobrazkowe jak Canon F-1, Contax RTS, Nikon F-3, Pentax LX, Olympus OM-4, Leica R-5 (6, 7), Rollei-flex 3003 z kamer klasycznych albo Canon EOS-1, Nikon F-4, Minolta Dynax 9x1 czy Pentax Z-1 z auto-fokusów. Wszystkie to profesjonalne kamery o mocnej, metalowej konstrukcji używane przez reporterów od Alaski po Patagonię i od Kalifornii po Czulkotkę. Wszystkie wymienione firmy produkują tańsze: nieco prostsze lub mniej odporne (plastikowe) odpowiedniki tych modeli. Niemniej jednak tego rodzaju sprzęt jest drogi. Nawiasem: automatyka ostrości poza skałkami jest nieprzydatna, ponieważ 90% zdjęć w górach wykonujemy nastawiając ostrość na nieskończoność. Góry lodowcowe (**Tatry zimą**) - praca w niskich temperaturach i konieczność noszenia całego sprzętu jako dodatku do szpeju powoduje, że preferujemy modele lekkie i mechaniczne, działające bez baterii, często niesprawnych na mrozie. Zależnie od potrzeb i możliwości wybieramy między dwoma rodzajami sprzętu: wysokiej klasy, mechanicznymi kompaktami, jak Rollei 35, Minox M.D.C. 35 GT-E i 35 ML, czy Cosina C-35 lub elektronicznymi, jak Contax T2, Konica Big Mini, Leica Mini, Rollei Prego, Pentax Espio, Nikon AW 35 czy Minolta Riva Mini o bardzo małych wymiarach i wadze (grubość poniżej 38 mm w stanie złożonym)

z jednej strony a małymi, mechanicznymi lustrzankami jak: Nikon FM-2, Contax S2, Pentax K-1000, Ricoh KR5, Yashica FX-3, Minolta X-700, Olympus OM-3, Rollei-flex 3001 czy Leica RE z drugiej. Są proste w obsłudze, odporne i niezawodne. Prym wiodą wyroby firm Leitz i Nikon oraz Rollei jeśli chodzi o lustrzanki i Rollei, Minox oraz Contax jeżeli chodzi o kompakt. Jeżeli przewidujemy pracę naszego sprzętu w bardzo niskich temperaturach, warto oddać aparat do specjalisty w celu wymiany smaru na grafitowy, nie tężejący na mrozie. Najbardziej odporne na mróz są aparaty Leica serii M - profesjonalne aparaty z celownikiem lunetkowym i wymiennymi obiektywami. Do tej serii aparatów przeznaczony jest najjaśniejszy obiektyw fotograficzny: Leitz Noctilux 1: 1/50 mm. Zabieranie na wspinaczki i wyprawy delikatnych plastikowych caczuszek: kompaktów z zoomem grozi awarią od zniszczenia filmu po zniszczenie aparatu. Ten rodzaj kamer wydaje się łączyć w sobie raczej wady lustrzanek i kompaktów niż ich zalety: zwykle nie są małe ani lekkie, za to skomplikowane, przeładowane elektroniką i bajerami; mało poręczne i zawodne w ciężkich warunkach. Jeżeli fotografujemy lustrzanką, wyposażamy się w komplet obiektywów: przede wszystkim średni zoom rzędu 28 - 80 lub 35 - 105, najlepiej o stałym świetle. Do tego jakiś szeroki kąt w rodzaju 18 lub 20 mm oraz teleobiektyw lub tele-zoom w granicach do 300 mm. Do fotografowania z bazy zespołu kolegów w kopule szczytowej potrzeba supertele 2000 mm. Miłośnicy portretowania pokonanych ścian mogą nabyć shift: obiektyw szerokokątny z możliwością wychylania go z osi optycznej dla skorygowania zbieżności perspektywy np. przy zadartym w górę aparacie. Nie musimy kupować obiektywów firmy, której mamy aparat. Obiektywy firmowe są drogie, a z wyjątkiem najlepszych firm jak Leitz, Nikon czy Canon, często nie najlepsze. Istnieją firmy wyspecjalizowane w produkcji optycznej, jak Tokina, Tamron, Sigma, czy Vivitar lub Kilar oferujące obiektywy wysokiej klasy po korzystnych cenach, przystosowane do wielu typów kamer lub z możliwością przystosowania.

Musimy wypracować sobie taki sposób przechowywania sprzętu w trakcie akcji



górskiej, by był pod ręką, jednocześnie nie zawadzając i nie będąc narażonym na uszkodzenia. Compact trzymamy w wewnętrznej, ale dostępnej z zewnątrz kieszeni kurtki. Lustrzankę z zoomem nosimy w kaburze na pasku przez szyję, dodatkowo przypasaną do tułowia elastyczną taśmą na zaczepy zatrzaskowe. Niektóre firmy m. in. Lowe i Cullman produkują torby na sprzęt fotograficzny, dopasowane do mocowania na plecaku albo w postaci plecaka.

## Pod ziemią

Odmienne problemy spotykają fotografów w jaskiniach. Duża wilgotność, błoto, niska temperatura sprawiają, że musimy pieczołowicie chronić sprzęt za pomocą specjalnych, wodoszczelnych worków. Takie futerały, dopasowane do różnych typów aparatów, dostępne są w zachodnich sklepach górsko-turystycznych m. in. Au Vieux Campeur w Paryżu. Trzeba pamiętać, że takie torby nie nadają się do nurkowania z aparatem. Istnieje kilka modeli kompaktów zabezpieczonych konstrukcyjnie przed wodą: są to aparaty typu weather-proof jak Practica HY 70, Konica OFF ROAD czy Minolta Weathermatic 35 DL - wyłącznie bryzgoszczelne, nie nadające się do nurkowania. Są też aparaty do fotografii podwodnej: Sea & Sea EXP-LORA do płytkich nurkowań w granicach 10 m i aparaty Nikons V-celownikowy, Nikons RS-lustrzanka oraz Sea & Sea Motormarine II przystosowane do nurkowania i obsługi podwodnej, wodoodporne do 100 m, posiadające manipulatory dostosowane do obsługi w rękawicach i obiektywy skorygowane do pracy pod wodą.

## Na plakaty i do albumów

Czasem sytuacja lub ambicje zmuszają nas do wykonania pracy zawodowego fotografa i przygotowania zdjęcia na plakat czy całego ich zestawu do albumu wyprawowego. Musimy spełnić wyższe wymogi techniczne. Ważny jest wybór formatu zdjęć: obowiązuje zasada, iż z materiału kamerowego niskoczułego uzyskujemy poprawne technicznie powiększenie liniowe 14x, z materiału średniczułego 12x, a z wysokoczułego 10x. Plakatu 60x90 cm nie uważa się za wielki. Z wyliczenia wynika, że do osiągnięcia ta-

kiego powiększenia z niskoczułego materiału potrzebny jest format 6x4.5 cm, najmniejszy z grupy średnich formatów. W grę wchodzi następujące aparaty: Mamiya M645, Bronica ETRSI, Pentax 645 oraz kamery na większy format. Większość to jednoobiektywowe lustrzanki z wymiennymi obiektywami i magazynami na taśmę, konstrukcje zbliżone do sztandarowego aparatu tej grupy, kamery Hasselblad. Są duże, ciężkie i drogie. Do wykonania super-postera 80x120 cm musimy obiekt sfotografować w formacie rzędu 6x6 do 6x9 cm czyli użyć jeszcze większego aparatu jak Mamiya RZ67 i RB67, Bronica GS-1 czy SQ-Ai, Pentax 67, Rolleiflex 6006 i 6008, Fuji GX 680 czy któregoś z całej rodziny Hasselbladów. Lekkimi i względnie tanimi aparatami średnioformatowymi są lustrzanki dwuobiektywowe jak Mamiya C 330S z kompletem trzech wymiennych zestawów obiektywów. Z punktu widzenia fotografii para-zawodowej takie konstrukcje jak Pentacon six TL, Exakta 66, Start 66, Flexaret czy Lubitel nie są warte uwagi.

## Błysk, czyli flash

Znaczenie tego typu urządzeń nie maleje mimo wzrostu czułości filmów. Wiele kompaktów ma lampę wbudowaną na stałe, włączającą się automatycznie jeżeli światłomierz wskazuje za niski poziom światła dla naszego filmu. Rozpowszechniły się lampy dedykowane: przystosowane do współpracy z określonym typem aparatu: lampa pobiera automatycznie dane do ustalenia długości trwania błysku z automatyki aparatu, uwzględniając nawet odległość ustawionej ostrości. Pomiar światła przez obiektyw odbywa się najczęściej po naciśnięciu spustu przez fotografa, a nawet po rozpoczęciu naświetlania. Wymiana danych i ustalenia czasu błysku trwa ułamek sekundy, błysk nie przekracza 1/1000 s. Dlatego flesz znakomicie nadaje się do "zamrażania" na zdjęciu przedmiotów w ruchu np. wodospadu. Lampa musi dawać znaczący procent światła ekspozycyjnego. W słoneczne południe takiego efektu nie uzyskamy. Silna lampa pozwala doświetlić portret robiony pod słońce, a w nocy oświetlić nawet całą dolinę. Jeżeli mamy dużo czasu, stawiamy aparat na statywie, ot-

wieramy migawkę na czasie B lub Z, bierzemy lampę błyskową i chodzimy z nią oświetlając z odległości kilkunastu czy kilkudziesięciu metrów skały, drzewa, wodę, głązy. Skończywszy, mamy zdjęcie np. nocnej doliny z księżycem (jeśli był) nad grania.

## Konkurs fotograficzny

Redakcja Tatarnika wraz z firmą ALPINUS ogłaszają konkurs fotograficzny pod hasłem "Góry z ALPINUSEM". Prace w dowolnej ilości, formacie i technice należy nadsyłać do końca października b.r. Najlepsze zdjęcia opublikujemy w Tatarniku, a zwycięzca zostanie nagrodzony plecakiem firmy ALPINUS.

Aleksander Martuszewski

# Mieczysław Karłowicz - fotograf

8 lutego 1994 r. minęła 85 rocznica śmierci wybitnego kompozytora Mieczysława Karłowicza. Zginął pod lawiną śnieżną, która zesłała ze stoku Małego Kościelca.

Urodzony 11 grudnia 1876 r. w Wiszniewie na Litwie (powiat święciański) był pierwszym wielkim symfonikiem polskim. Znał się jego pieśni, poematy symfoniczne, wspaniały koncert skrzypcowy.

Mniej znany, przynajmniej ludziom "nizinnym", jest Karłowicz jako fotograf, a przecież odegrał i w tej dziedzinie rolę nieposłuszną. Nie wiadomo dokładnie kiedy zaczął fotografować. Kazimierz Prószyński, jego przyjaciel od lat dziecięcych, wspominał o jego pierwszym aparacie: "Mecio kupił sobie u Lebedzińskiego wspaniały aparat magazynowy na 12 klisz, wielką nowość, na klisze 9x12, wyrobu zdaje się krajowego, Dutkiewicza lub Karolego z obiektywem "Amerycan Star", było to jeszcze na Chmielnej w Warszawie (a więc przed zamieszkaniem w 1892 na ul. Jasnej - AM.). Edmund (brat Karłowicza) przedtem jeszcze przejechał z wielkim zwykłym aparatem i bawił się obławianiem płyt kolodionem gdyż suche klisze (wynalezione w 1871 - AM.) wówczas dopiero ukazywały się na rynku i były drogie. Modelem ulubionym były: Venus Miloska bez ręki i pokojówka Zosia, ładna, fertyczna brunetka".

A więc nie tylko fotografia tatrzańska, trudno też przypuszczać, aby Karłowicz, rozmiłowany w fotografii nie robił zdjęć w trakcie swoich wояжy po Europie, czy pobytów wypoczynkowych w rodzinnym majątku w Wiszniewie. Ale na potwierdzenie tego nie zachowały się żadne zdjęcia.

Jedynie znane zdjęcia dotyczą ulubionego tematu fotograficznego Karłowicza, Tatry, które poznał bliżej w roku 1889. Od tego czasu aparat fotograficzny stał się towarzyszył mu w wyprawach górskich, a fotografowanie spłóło się nierozdzielnie z tatarnictwem. W 1894 był na szczycie Gerlacha - opisał to w "Wędrowcu" okraszając felieton zdjęciami.

W grudniu 1906 pisał Karłowicz do znajomej: "Nie wiem czy się kiedy doczekam popularności jako kompozytor, prawdopodobnie nie. Ale jako tatarnik zdobyłem już sobie uznanie: szturmują do mnie o odbitki moich zdjęć, a Towarzystwo Tatrzańskie zażądało całego szeregu zdjęć do tegorocznego pamiętnika. Wobec tak nieoczekiwanego powodzenia wcale wykluczone nie jest, że zamienię zawód, i zamknąwszy Muzę moją do komody, przerzucię się na zawodowego turystę - fotografa".

W grudniu 1907 r. wraz ze St. Barabasem i M. Zaruskim zakładają Oddział Narciarski. Wtedy też po-

stanowił zostać narciarzem, by i zimą poznać uroki Tatry. Dnia 24 i 25 stycznia 1908 roku wraz z R. Kordysiem robi pierwsze zimowe wejście na Krzyżne i Wołoszyn.

W styczniu 1909 r. kupuje Karłowicz nowy aparat typu "Globus" Ernemann'a z podwójnym anastigmatem "Dagor" Goerza o ogniskowej 180 mm, migawką Compur na klisze 12x16.5 cm. Aparat wraz z torbą ważył prawie 4 kg. Taki ciężar mógł utrudnić poderwanie się do biegu i być pośrednią przyczyną tragedii. Dla wypróbowania tego aparatu udał się Karłowicz na nartach do Czarnego Stawu Gąsienicowego. Przebieg jego ostatniej wyprawy odczytał ze śladów Zaruski, który pierwszy przybył na lawinisko. Karłowicz wykonał jedno zdjęcie z Bocznian używając czekana jako statywu. Na Karczmisku zrobił drugie na tej wyprawie i ostatnie w życiu zdjęcie, przedstawiające poetycką grupę małych smreków na tle gór. Wstąpił do starego, pustego schroniska na Hali Gąsienicowej i kilkadziesiąt metrów dalej zginął. Aparat znaleziono przy nim w plecaku. Zdaniem ratowników, gdyby zjechał kilka metrów dalej, byłby poza zasięgiem lawiny - może zawiniło założenie "łok" na narty i ... aparat.

Nie chcę, jako człowiek, który był dwa razy w Zakopanem, a góry zna przede wszystkim ze zdjęć, opowiadać i anegdot opowiadanych przez przyjaciela, wydawać zdecydowanych sądów o górskiej twórczości fotograficznej Karłowicza. Zdjęcia jego, znane z czasopism fotograficznych i wyżej wymienionego zbioru felietonów sprawiają na mnie jednak dość szczególne wrażenie. Na pierwszy rzut oka nie różnią się od fotografii jego poprzedników w tej dziedzinie: J. Chmielowskiego, W. i K. Bizańskich, R. Kordysa, ale przynajmniej dla mnie są inne. Jego słoneczne jasnoszare obrazy z delikatnym stopniowaniem tonów, nadają górcom powietrzość, głębię. Góry są górami, wyraźne, ostre w najdrobniejszych szczegółach fotografie współczesne.

Karłowicz był na pewno fotografem zdolnym, wrażliwym. Stworzył wiele zdjęć pięknych i wartościowych. Gdyby nie ta przedwczesna śmierć w umiłowanych Tatrach, prawie że z aparatem w ręku, kto wie jak potoczyłyby się losy tego artysty. Kto wie jakie dzieła fotograficzne mogłby jeszcze stworzyć? Kto wie czy nie powstałaby jakaś obowiązująca artystyczna "szkoła Karłowicza"?

Takie zdjęcia jak: "W dolinie Białej Wody", "Wysoka z Mieguszowieckiej Doliny", "Dolina Pięciu Stawów Spiskich z Durnego" czy "Rohacz Ostry z Rohackiej Doliny" uczą romantycznego piękna gór. Warto je zapamiętać.



# Kotwice skalne



**Jakie powinny być przeloty? Wiadomo - dobre. Jakie powinno być stanowisko? Wiadomo - najlepsze z możliwych. Jak to wygląda w rzeczywistości? - Różnie to bywa. Czasem da się tylko tyle zrobić, na ile skala pozwala, częściej - na ile pozwala pośpiech, wyobraźnia i umiejętności. [ ]**

Gorzka rzeczywistość pokazuje, że rozwalamy się w miejscach i okolicznościach nie mających wiele wspólnego z naszymi "snami o szpadzie", a bliższa analiza mechanizmu tragedii systematycznie wskazuje podobną przyczynę bezpośrednią - "oszczędnościową" asekurację. Zespoły opuszczają swe ściany w wyniku ewidentnego **d e m o n t a ż u** własnego systemu asekuracyjnego. To nie sprzęt zawodzi. To cena nonszalancji albo niekompetencji człowieka.

Zostawmy więc w spokoju wytrzymałość własną sprzętu. Lepiej zastanowić się nad metodami jego użycia. Czy istnieją jakieś niezawodne recepty? Tak, i to sporo - niestety. Piszę "niestety" - bowiem zazwyczaj docierają do nas jako oddzielne doktryny poszczególnych "szkół" - "niemieckiej", "francuskiej", "angielskiej", i jeszcze diabli wiedzą jakiej, z zasady mocno na siebie obrażonych, bo doktryna, jak to doktryna - alternatywy nie znosi. [ ]

Chcę wygłosić tu Wielką Pochwałę Różnorodności - **c a ł e g o** dorobku teoretyków i praktyków bezpiecznej asekuracji. Dorobku, który - gdyby przestał być sprowadzany do kategorii wzajemnie antagonistycznych dogmatów lecz został ze zrozumieniem przyswojony jako jedna całość - mógłby, praktykowany, objawić się drastycznym obniżeniem liczby przynajmniej tych wypadków, w których całe zespoły walą się do podstawy ściany.

Idei takiej dość dobrze wychodzi naprzeciw znany amerykański wspinacz, John Long w swej książce "Climbing Anchors" (Choks-

tone Press Inc. 1993). Książka ta, licząca 112 stron, bogato ilustrowana, jest ciekawa pod kilkoma względami. Po pierwsze - stanowi dość szczegółową monografię stosowanego obecnie sprzętu do tworzenia punktów asekuracyjnych w skale (ang. anchor - jakże brak tu prostej polskiej nazwy), głównie kostek i mechanizmów rozpórkowych - friendów, sliderów etc. (amer. skr. "SLCD"). Po drugie - opisuje podstawowe reguły użycia tychże urządzeń a także form naturalnych, jak występy skalne i rośliny - jako skutecznych punktów asekuracyjnych. Po trzecie - pokazuje rozmaite, alternatywne konstrukcje stanowisk asekuracyjnych, dostępne w tych samych warunkach terenowych i co ważne - poddaje je krytycznej analizie porównawczej. [ ]

Oczywiście książka ma parę miejsc słabych, a nawet takich, z którymi nie mogę się zgodzić, jednak nie wpływają one znacząco na wysoką wartość dostarczonych przez nią praktycznych wiadomości. A przy tym ciekawa preambuła, w której autor stanowczo przestrzega przed traktowaniem książki jako rozstrzygającego, kompletnego źródła wiedzy, zwalniającego od szkolenia pod opieką licencjonowanego instruktora.

Jak powinno wyglądać dobre stanowisko? Moja odpowiedź: może wyglądać różnie, ale następujące warunki musi spełniać zawsze:

\* Po pierwsze - musi zabezpieczać przed runięciem w dół. W tym szczególe sprawa ma się identycznie dla stanowisk asekuracyjnych oraz zjazdowych i wydaje się oczywista. Jest jednak ważny niuans: nawet w przypadku obciążenia "grawitacyjnego" należy liczyć się z możliwością wystąpienia "efektu ubocznego": szarpnięcia liną w kierunku poziomym, w płaszczyźnie prostopadłej do ściany.

\* Po drugie - żaden ze składowych punktów asekuracyjnych stanowiska nie ma prawa ulec demontażowi wskutek szarpnięcia

liną w kierunku punktu przelotowego, leżącego bądź powyżej stanowiska - gdy asekuracja oddolna, bądź poniżej - gdy asekuracja odgórna, bądź z boku - na trawersie, przy czym zwracam uwagę, że rolę takiego punktu przelotowego może nieoczekiwanie odegrać występ lub przełamanie terenu, na którym oprze się naprężona lina.

Tyle o punktach asekuracyjnych. Ich nośność i sposób wzajemnego połączenia muszą załatwić spełnienie wymienionych wyżej dwóch warunków. [ ]

Przyjmijmy więc zasadę: stanowiska w stromych ścianach muszą posiadać solidne punkty autoasekuracyjne i solidne punkty opozycyjne. To samo dotyczy stanowisk przy "glebie" - czy to będzie podnóże skały, czy też półka, w którą partner może przyłożyć organizmem. Tu każde poderwanie "asekuranta" do góry powiększa ryzyko "przyglebowania" partnera.

**Jakie powinno być "auto"** - Krótkie, czy jednak może być długie? Najlepiej - regulowane, ale na razie rzecz nie w tym. Generalnie "auto" musi rozsądnie ograniczać odcinek o jaki może być rzucony asekurujący i wykluczać zaistnienie pary sił (akcja-reakcja) zamieniającej "asekuranta" w propeler. Wiele zależy tu od metody wychwytu, przy czym warto pamiętać, że jeśli "auto" jest bardzo krótkie - asekuracja "z ciała" (przyrząd wpięty w uprząż) mimo woli staje się z asekuracją "z haka". Jednocześnie już w tym miejscu stanowczo zwracam uwagę, że asekuracja "ze stanowiska", gdy nie jest ono wyposażone w tzw. punkt centralny, jest niebezpiecznym eksperymentem.

Wróćmy jednak do sprawy długości "auta". Czy może być długie? No pewnie - może być nawet bardzo długie, **a l e** tylko wtedy, gdy jest naprężone i gdy mamy gwarancję, że kierunek szarpnięcia będzie dokładnie pokrywał z przebiegiem autoasekuracyjnego odcinka liny czy pętli. W zasadzie długie auto ma sens tylko na stanowiskach górnych. [ ]

Co więcej, jest wręcz pożądane na piarzystych tarasach, trawnikach (także zimą), gdy punkty asekuracyjne osadzone są w silnie cofniętej ścianie lub punktem jest oddalony blok, zaś asekurujący (odgórnie) siedzi

na krawędzi urwiska - nie tracąc w ten sposób kontaktu z partnerem, i nie zwalając mu liną na łeb kamieni.

W przypadku stanowiska oddolnego auto powinno być jak najkrótsze, poza jedynym chyba wyjątkiem: długie a nawet bardzo długie "auto" może okazać się ratunkiem w sytuacji, gdy nie da się wyposażyć stanowiska oddolnego w punkt opozycyjny, blokujący wyrwanie asekurującego ku górze (np. pętla na bloku - i nic więcej). W innych sytuacjach - jeśli z jakiegoś powodu nieuniknione jest "auto" dłuższe, warto usadowić się w sposób przewidujący kierunek ew. szarpnięcia, najlepiej tak, by wyrwanie objawiło się wahadłem a nie rzutem.

### **Punkt ochronny**

Niebagatelny wpływ na to, co się dzieje na stanowisku, ma najbliższy punkt przelotowy. To w jego kierunku szarpane jest stanowisko w chwili wychwytu lotu prowadzącego. Przelot położony bardzo blisko stanowiska nazywany bywa "punktem ochronnym", ponieważ obniża współczynnik ewentualnego odpadnięcia na pierwszych metrach nad stanowiskiem i ma nie dopuścić do przeniesienia na asekurującego i stanowisko skutków upadku ze współczynnikami bliskimi 2.

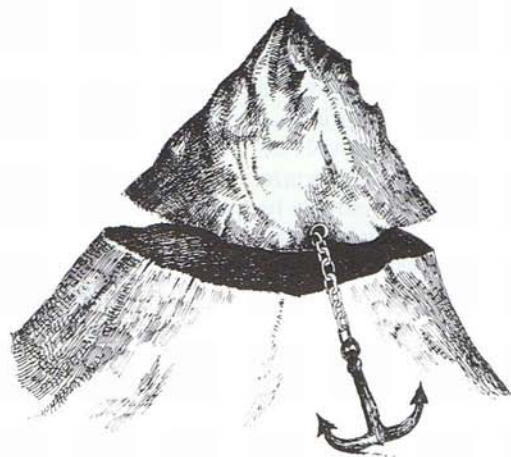
Czy "punkt ochronny" rzeczywiście chroni stanowisko? Tak, ale pod warunkiem, że samo stanowisko jest obliczone na szarpnięcie w jego kierunku. To nie truizm; problem bowiem w tym, że często kto inny buduje stanowisko a kto inny, rozpoczynając wyciąg, instaluje taki przelot. Jednakże, jeśli idzie o "przelot ochronny" istnieje znacznie niebezpieczniejsze nieporozumienie, i to - co najgorsze - firmowane przez niektóre "szkoły", mianowicie tworzenie pierwszego przelotu przez wpięcie liny do jednego z punktów należących już do układu stanowiskowego. Taki obrazek, zupełnie w tym względzie nie skomentowany, znajduje się niestety także w podręczniku Johna Longa. Powiedzmy sobie jasno: taki "punkt ochronny" zamiast chronić stanowisko, doprowadza w razie "oblatania go" do bezsensownego przeciążenia jednego(!) z punktów stanowiskowych. Przelot jest bowiem z zasady obciążany sumą (wektorową) sił akcji i reakcji. Jest oczywiste, że przelot wpięty w stanowisko, jako punkt



bardzo mało oddalony od przyrządu asekuracyjnego szybko traci znaczenie jako "tłumik" współczynnika upadku i już po 2-3 metrach wspinaczki mamy jego wartość i tak bliską 2. Zatem z małym błędem można przyjąć, że stanowisko takie będzie obciążone siłą dwa razy większą, niż gdyby zostało "oblatane" zwyczajnie. Maniera przepinania liny przez stanowisko dotrwała do obecnych czasów jako zaszczość z poprzedniej epoki, ale nigdy nie czyniła stanowiska miejscem bezpiecznym. Dlatego mają rację ci, którzy radzą aby w sytuacji, gdy w rejonie budowanego stanowiska daje się osadzić tylko dwa punkty asekuracyjne, zdecydować się na jedną z dwóch opisanych niżej metod. Metoda pierwsza: wpiąć swoje "auto" do punktu - po pierwsze - mocniejszego, a po drugie - zdolnego do przeniesienia obciążenia tak w dół jak i w kierunku drugiego punktu (a więc na pewno nie do kostki), natomiast tenże drugi punkt (o ile może pracować w dół) wykorzystać jako przelot. Albo (szczególnie jeśli punkty wymienionych warunków nie spełniają) - metoda druga: nie bawić się w "przelot ochronny" i założyć po prostu uczciwe stanowisko z obu istniejących punktów. [ ]

### Budowa stanowiska

Wszystkie godne uwagi "szkoły" zgodne są przynajmniej co do tego, że porządne stanowisko nie może być zbudowane na bazie tylko jednego sztucznego punktu asekuracyjnego. Jakie jest zatem minimum? I w tej kwestii różnice zdań są wielkie - mówi się o 2-3 punktach. Pewien ewenement na tym tle stanowi wzorzec J. Longa: jego wzorowe stanowiska **z a w s z e** budowane są na bazie trzech punktów pracujących w dół i jednego opozycyjnego - pracującego w górę, przy czym jego "technologia" polega na założeniu jednego subiektywnie supermocnego punktu działającego w dół (ang. "bomber") i "obudowaniu" go punktami pomocniczymi. Wszystko to bierze się u Longa ze zdystansowania wobec subiektywnej oceny nośności punktu asekuracyjnego. Rzeczywiście, badania przeprowadzone bodaj przez DAV dowiodły, że margines błędu w ocenie jakości osadzenia punktów jest gigantyczny. Long zwraca jednocześnie uwagę na to, że - szczególnie w przypadku kostek (monolitycznych i nastą-



wych) - jakość osadzenia punktu jest zdefiniowana nie tylko przez geometrię ułożenia przyrządu w szczelinie, ale również przez **jakość skały**. [ ]

Teraz przyjrzyjmy się najbardziej charakterystycznym (pozornie antagonistycznym) rodzajom **dobrego** stanowiska.

1. System - nazwijmy go tak - "punktów alternatywnych". Bardzo prymitywny, polega na połączeniu poszczególnych punktów asekuracyjnych osobnymi pętlami w jeden "punkt centralny". Istnieje bardzo wąski zakres kierunków szarpnięcia, przy którym obciążenie zostanie jako-tako rozdzielone między punkty asekuracyjne. Na ogół cała energia odłoży się tylko na jednym z nich, a pozostałe mają szansę "wykazać się" kolejno, dopiero po zniszczeniu poprzednika. Rozwiązanie rozsądne tylko wtedy gdy punkty sprawiają wrażenie bardzo solidnych (np. spity).

2. System "szeregowy". Prymitywny ale oszczędny sprzętowo, m. in. dlatego, że najczęściej poszczególne punkty połączone są ze sobą za pomocą liny asekuracyjnej. Wspomniany prymitywizm wbrew pozorom nie jest tożsamy z łatwością i szybkością realizacji, bowiem warunkiem skutecznego działania takiego stanowiska jest całkowite wykaszowanie luzów pomiędzy kolejnymi punktami asekuracyjnymi, a nawet wprowadzenie możliwie dużego naprężenia wstępnego pomiędzy nimi. Tylko wtedy siła może być jako-tako

podzielona pomiędzy punkty. Węzłami łączącymi powinny być wyblinki, jako mające - po pierwsze - najmniejsze luzy wewnętrzne, po drugie - mające zdolność do poślizgu przy dużych obciążeniach, normalnie uznawanego za dużą wadę wyblinki, tu zaś polepszającego przekazywanie obciążenia "w głąb" systemu. UWAGA: nie istnieje tu "punkt centralny". [ ]

3. System samonastawny, słusznie zwany też wyrównawczym, udostępnia "punkt centralny". Propagowany przez "Germanów" (Pit Schubert), wyklinany przez "Anglików". Każdy ma swoje racje. Jest rzeczą bezdyskusyjną, że gdy jeden z punktów ulegnie wyrwaniu, pozostałe poddane są dynamicznemu obciążeniu przewyższającemu to, które doprowadziło do zniszczenia pierwszego punktu. Równie bezdyskusyjny jest fakt, że układ samonastawny niemal idealnie **r ó w n o d z i e l i** obciążenie punktu centralnego na poszczególne gałęzie. Popatrzmy teraz na sprawę z innej strony. Jeśli punkty są tak słabe, że jeden z nich nie wytrzyma 1/2 czy 1/3 obciążenia głównego to - w układzie nie dzielącym uczciwie obciążenia - punkty te też nie mają żadnych szans., bowiem będą kolejno obciążane - i wyrwane 100% siłą. Aż prosi się o badania dynamometryczne, które wyjaśniłyby ostatecznie, czy uderzeniowe dociążenie drugiego punktu asekuracyjnego (po krachu pierwszego) jest rzeczywiście znaczące, a na razie proponuję, by stanowiska samonastawne stosować tam, gdzie **w s z y s t k i e** punkty są albo ewidentnie mocne, albo całkiem słabe. [ ]

4. System "quasi-wyrównawczy". Ma "punkt centralny". Zewnętrznie dość podobny do systemu omówionego wyżej. Istotna różnica polega na tym, że odcinki pętli łączące karabinek centralny z każdym z punktów asekuracyjnych są bardzo dokładnie wymierzone, tak, że przy dostatecznie dużym obciążeniu (niestety w dość wąskim zakresie różnic kątowych) - po wstępnym naciągnięciu się węzłów - każdy z punktów asekuracyjnych przenosi podobną część obciążenia. W praktyce, gdy do połączenia jest więcej niż dwa punkty, gwarancją sukcesu jest (tak jak i w systemie samonastawnym) 4-5 metrowa pętla z taśmy lub linewki (6-7 mm). Gałęzie utworzone identyczną metodą jak w syst.



samonastawnym tu dodatkowo związane są w kluczkę lub (lepiej) w ósemkę. Jeśli tylko kierunek potencjalnego obciążenia głównego jest oszacowany prawidłowo (powodzenia!), to układ taki pracuje bardzo fajnie i jest relatywnie bardzo odporny na skutki wyskoczenia jednego z punktów. Rzecz szczególnie ważna - nie występuje wtedy nagłe wydłużenie "anta".

5. Systemy "hybrydowe" - to, co lubię, czyli rozsądne połączenie wybranych elementów wszystkiego, co omówione zostało do tej pory.

Najczęściej właśnie "hybrydy" stanowią o optymalnym rozwiązaniu stanowiska w realnych warunkach górskich. Tu jednak szczególnie potrzebna jest "techniczna" wyobraźnia, świetna znajomość metod podstawowych i różnych "patentów".

Jednym z godnych polecenia "patentów" znalezionych w "Climbing Anchors" jest wykorzystanie wyblinki jako "urządzenia" do takiego łączenia pętli wybiegających z kilku punktów, by wszystkie były zawsze napięte. Innym - jest mało znana technika wstępnego naprężenia odcinka pętli, łączącego kostkę opozycyjną (pracującą do góry) z resztą układu stanowiskowego - też za pomocą wyblinek (rysunek). [ ]

Marek Pokszan

Zakopane, kwiecień-maj 1994

#### Od redakcji:

Niniejszy artykuł, podobnie jak recenzja książki A. Lwowa "Liny alpinistyczne" (Taternik 1/93), powstał na zamówienie Komisji Szkolenia PZA.



# Zapomniane drogi

Kilka już lat temu, po publikacji przewodników "122 drogi" oraz "Od Szpiglasowego Wierchu do Cubryny", otrzymałem od Janusza Mączki list, który zamierzałem wykorzystać przy pracy nad kolejnymi przewodnikami i poprawionymi edycjami dotychczasowych. Ponieważ nic nie wskazuje, bym jeszcze kiedyś wrócił do pracy nad przewodnikami, postanowiłem opublikować ten list w "Taterniku" ze względu na dużą ilość istotnych informacji o przejściach w rejonie Morskiego Oka w nim zawartych. Myślę, że Janusz Mączka nie ma nic przeciwko temu. Muszę jednak opatrzyć ten list pewnym komentarzem, gdyż był on napisany w odniesieniu do konkretnych publikacji, oraz do mnie jako do autora tych publikacji i wydrukowanie go bez komentarza czyniłoby go miejscami niezrozumiałym dla czytelników "Taternika".

## List Janusza Mączki

Z przyjemnością zabrałem się do lektury nowych przewodników po Tatrach w tym i Twojego autorstwa.

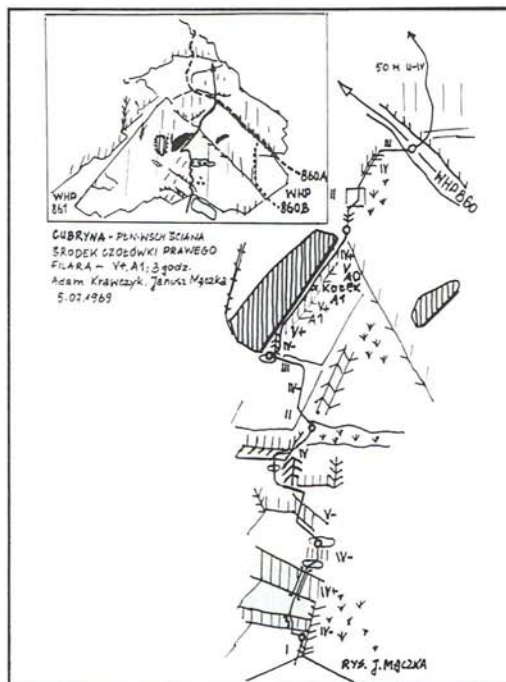
Przeglądając stare notatki znalazłem kilka uzupełnień i sprostowań do materiału dwu pierwszych tomów Twojego przewodnika. Przy okazji dokonałem odkryć dzięki konfrontacji uporządkowanego materiału przewodnikowego z moimi prywatnymi archiwami.

Jeżeli planowane są dalsze tomy przewodnika to cennym byłoby zamieszczenie w nich uzupełnień, sprostowań i brakujących opisów dla dwu pierwszych tomów i dalszych. Dodaje też kilka informacji i opisów do wykorzystania w dalszych tomach.

### - Cubryna

Nie publikowany opis pierwszej drogi ścianą czołową prawego filara. Bardzo efektowny wyciąg pęknięciem pod okapem (wart uklasycyzowania). Rysunek.

Informacja dotyczy drogi nr 75b w przewodniku "122 drogi", w którym zaznaczyłem tylko jej ogólny przebieg bez dokładnego schematu. W przewodniku tym Turnię Zwornikową traktuję jako obiekt nie będący częścią Cubryny. K.Ł.



### - Cubryna

Wariant na Lewym Filarze T. Zwornikowej z siodełka wprost na Turnię na lewo od krawędzi. Rysunek.

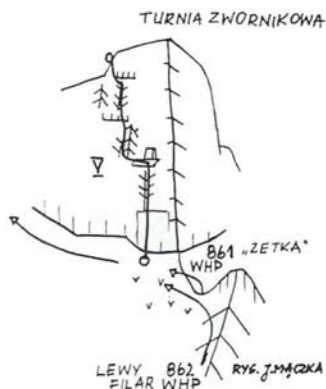
### - Cubryna

Płn-zach. ścianą - "lewa ściana" - dr. "Płytołą depresją" (dr. nr 184 t.2 przew. K. Łozińskiego)

Przed przejściem z W. Krajewskim nową drogą "prawą ścianą" tego samego dnia (30.07.76) nie posiadając opisu przeszliśmy lewą ścianę w następujący sposób: do stanowiska 2 jak droga 184, dalej do stanowiska 2' na drodze 185, do stanowiska 3 drogą 184 i dalej jak na szkicu.

Drogi 184 i 185 opisane są w przewodniku "Od Szpiglasowego Wierchu do Cubryny" jako "Płytołą depresją" i "Lewa Gaćkówka". Z listu wynika, że Janusz Mączka i Wiesław Krajewski są właściwymi autorami drogi "Płytołą depresją", zaś zespół Dorota Firyn, Jan Krzysztof Hobrański, Zbigniew Mikołajczyk i Dariusz Sokołowski

CUBRYNA  
 WARIANT NA LEWYM FILARZE  
 Z SIODEŁKA WPROST NA T.ZWORNIKOWĄ  
 JAN BAGSIK, KRYSZYNA KOŁODZIEJ (KONDIKOWSKA),  
 JANUSZ MĄCZKA 27.07.1967  
 TRUDNOŚCI V, 1 wyciąg, 1 łańcuszek.



dokonali drugiego jej przejścia (nie wiedząc o poprzednikach) z całowyciągowym nowym wariantem. K.Ł.

#### - Cubryna

Płn-zach. ścianą dr. Stanisławskiego WIIP 856 - 13.01.1978 w zimie przeszedłem z Kryszyną Niederle (Goraj) i Andrzejem Gorajem. Śledząc dokładnie książki wyjść z M. Oka nie jest mi znane przejście zimą od połowy lat sześćdziesiątych. Były być może wcześniej.

Mowa o drodze 183 w przewodniku "Od Szpiglasowego ..." w lewej części ściany w odróżnieniu do drogi 188 w w/w przewodniku (WHP 855B) w środku ściany bardziej znanej jako droga Stanisławskiego. Jest to jedyna informacja o przejściu zimowym tej drogi. Nie sądzę by były przejścia wcześniejsze.

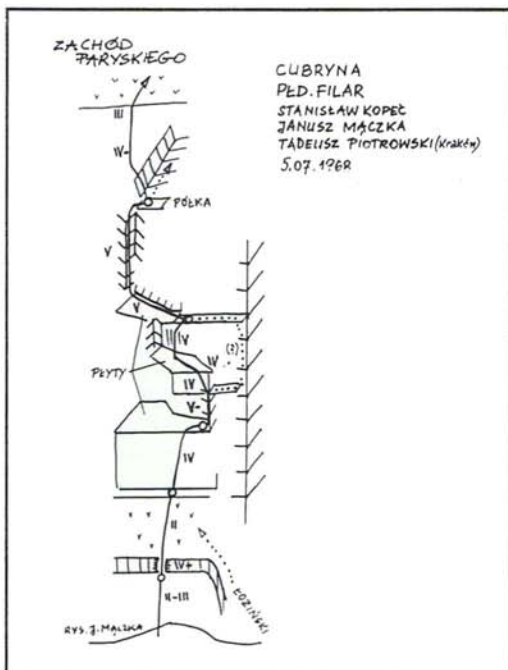
#### - Cubryna

Południowym Filarem. Rysunek.

Latem przeszedłem Płd. Filar wiedząc tylko, że prowadzi nim dr. szczecińska. Staraliśmy się iść w sposób jak najbardziej logiczny i narzucający się. W czasie wspinaczki sporządziłem szkic traktując nasz sposób jako prawdopodobnie nieistotne warianty (sic!) wspomnianej drogi. Późniejsza konfrontacja z opisem dr. szczecińskiej okazała się w szczegółach dość trudna, muszę to przyznać. Aczkolwiek wstęp opisu zamieszczonego w "Taterniku" sytuuje drogę w środku trójkątnej ściany filara. Jeżeli rozpracowany przez Ciebie przebieg dróg na płd ścianie Cu-

bryny odpowiada rzeczywistości, to dochodzi jeszcze jedna ciekawostka dotycząca przejścia płd. filara, czyli nasze przejście, które było niewątpliwie trzecim w ogóle tej połaci ściany po pierwszym letnim i pierwszym zimowym drogi szczecińskiej, a wg Twojej monografii staje się pierwszym płd. filara.

Załączam szkic naszego przejścia z prawdopodobnymi wariantami Twojego przejścia.



Z listu wynika, że Janusz Mączka, Stanisław Kopeć i Tadeusz Piotrowski (z Krakowa, nie mylić z bardziej znanym Tadeuszem Piotrowskim ze Szczecina, który zginął na K2), są ponad wszelką wątpliwość autorami pierwszego przejścia południowego filara Cubryny. Co więcej, ich droga poza ostatnim wyciągiem dokładnie pokrywa się z późniejszą drogą "Nieistotne warianty" E. Kwiecińskiego i moją (nr 210 w przewodniku "Od Szpiglasowego ..."). Do nas więc należy drugie, a nie pierwsze jej przejście. Zaznaczone na rysunku J. Mączki warianty opisane jako "Łoziński" odpowiadają jednak nie przebiegowi mojego przejścia ale jeszcze późniejszej drodze Wolfa (nr 211 w moim przewodniku). Przy okazji chciałem podać, że partnerką Jan Wolfa opisaną przeze mnie jako "+ tow. (kobieta)" na tej drodze była Anna Komendant.



Sprawa ma jeszcze dodatkowy aspekt. J. Mączka przeszedł filar myśląc, że robi drogę szczecińską, polegając na jej słownym, mocno nieprecyzyjnym opisie. Ową "środek trójkątnej ściany" można różnie interpretować, w zależności z którego miejsca w dolinie się patrzy. Stąd wiele zespołów błędziło po okolicy szukając drogi, która została przez jej autorów źle opisana. Podany przeze mnie w monografii jej opis jest na pewno dobry, bo poza niejasnym opisem wejścia wszystko dalej się zgadza. Przejście moje i G. Kwiecińskiego było robione, przy pełnej świadomości położenia drogi szczecińskiej, jako nowa droga. O wejściu J. Mączki nie wiedzieliśmy. Zostaliśmy natomiast opisani w "Taterniku" jako niepoważny zespół, który powtórzył drogę szczecińską, i podaje ją jako nową, bo nawet nie chciało mu się sprawdzić czy w tym miejscu nie ma drogi. Ponieważ autor tej krytyki zakwalifikował też "Czarne Zacięcie" na Czolówce MSW jako "nieistotne warianty do WHP 890", które kiedyś nazwano by pomyleniem wejścia w filar" nadałem naszej drodze na Cubrynie nazwę "Nieistotne warianty". K.Ł.

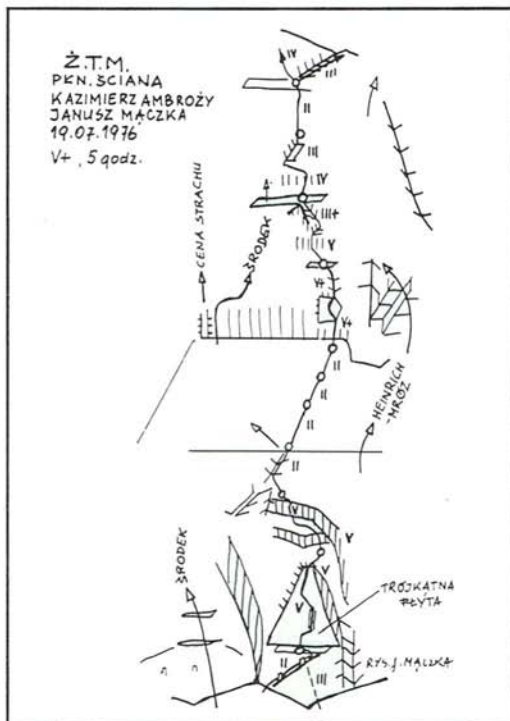
#### - Żabia Turnia Mięguszowiecka

Pln. ścianą - Kazimierz Ambroży, Janusz Mączka. 19.07.1976.

Z konfrontacji opublikowanych opisów dróg na północnej ścianie wynika, że dół naszej drogi do płyt pokrywa się dokładnie z późniejszą drogą Marcisza "Cena Strachu", poza nieistotnym pierwszym wyciągiem doprowadzającym na półeczkę pod trójkątną płytą. Drugiego przejścia tej partii w taki sposób dokonali podobno W. Janowski i T. Karolczak 26.07.78.

Tak więc "Cena Strachu" Marcisza jest oryginalnym rozwiązaniem tylko w górnej partii ściany. Jak widać, ściana ta ma szczęście do częściowych rozwiązań jeśli chodzi o autorstwo (np. droga środkiem).

W monografii ściany powinno się ująć naszą drogę jako całość, gdyż nie krzyżuje się z innymi, potem drogę środkiem oraz bardziej w lewo drogę Marcisza dopiero ponad płytami z bardziej logicznym jej początkiem w dole drogą środkiem. Wydaje mi się możliwym dorobienie dołu do drogi Marcisza na lewo od środka oraz istnienie sporo wolnej ściany między naszą drogą a środkiem nad płytami. Może się ktoś pokusić. K. Ambroży wcześniej przechodził filar Mroza, a ja środek, więc górę nad płytami mogliśmy utrzymać w logicznej odległości od nich.



W przewodniku "Najciekawsze wspinaczki skalne Tatr Polskich" pod redakcją Grzegorza Głazka i Ziemowita Wirskiego oraz w przewodniku "ZTM od północy. Wołowa Turnia ściany północna i południowa" autorstwa Marka Pokszana i częściowo mojej drogi Janusza Mączki i Kazimierza Ambrożego jest wymieniona w wykazie, ale brak jej opisu. Błędnie podano też inicjały Ambrożego (jako A. Ambroży). W obydwu przewodnikach opis tej ściany sporządził Marek Pokszan. K.Ł.

#### - Żabia Turnia Mięguszowiecka

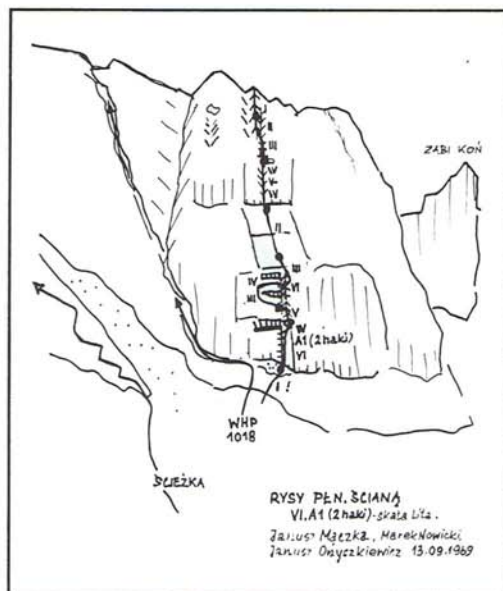
Pln. ścianą drogą Czoka

Przy próbie przejścia tej drogi zimą ze Zbyszkim Dudrakiem 15.03.1978 przebyliśmy dół drogi (w zimie trudno, krucho, słaba asekuracja), po czym wycofaliśmy się płytami do drogi filarem Grońskiego.

#### - Rysy

Pln. ścianą.

Dołączam szkic tej drogi, mimo opublikowania jej słownego opisu w "Taterniku" nr 1/70. Ułatwi to umiejscowienie w ścianie. Ładna wspinaczka w litych i płytowych formacjach mimo potocznej złej opinii o ścianach Rysów. Odkryłem tę ściankę kiedyś dla siebie i z trudem, jak pamiętam, namówiłem partnerów do przyścia w ten zakątek (oj to podejście!). Później nie narzekali.



### - Mięguszwiecki Szczyt Pośredni

Płn-wsch. ścianą, dolnym kominem lewej depresji. Janusz Mączka, Andrzej Neczaj 6.03.1979

Wraz z Andrzejem podjąłem próbę przejścia nowej drogi wybitnym kominem ograniczającym lewy filar od prawej strony i dalej na lewo od Świerza, po czym zjechaliśmy w dół tą samą drogą ówczesznie uznając, że drogę należałoby doprowadzić do szczytu. Niestety planu tego nie zrealizowałem i przejścia tego nie opublikowałem jako drogi nie ukończonej na szczycie. Jednakże przebyty komin stanowi prawie samodzielną drogę choćby przez wybitność tej formacji. Na drugim stanowisku w nży po lewej stronie komina zastaliśmy duży, stary klincał. Niestety szkicu drogi nie odnalazłem. Opis byłby prosty. Łatwiejszym terenem pod spiętrzenie komina. Przez spiętrzenie, jego prawą stronę przez gładką płytę V+ na dno komina i do nży w lewej ścianie (klincał). Dalej głębokim kominem V dwa miejsca V+ (1 hak A0) pod nawis śnieżny utworzony prawdopodobnie na blokach zamykających komin od góry. Zimą wyjście przez nawis, latem być może ryzykownie z powodu wysypujących się kamieni lub bloków z zachodu Świerza. Z zachodu zjechaliśmy, gdyż zaczęło mi dokuczać ramię stłuczone po odpadnięciu na drugim wyciągu, a cały komin prowadziłem. Drogę logicznie można kończyć Lewą Ścieką Dziadka.

Jest to chyba największa ciekawostka tego listu. Komin pomiędzy filarem Aligatora

a Lewą Ścieką, a dokładniej pomiędzy drogami Nyka - Szurek na lewym filarze a drogą Michnowski - Skarżyński (nr 3 i 4 w przewodniku "Najciekawsze wspinaczki skalne Tatr Polskich" str. 59) uważany powszechnie za ostatni problem tej ściany jest zrobiony! Pozostaje pytanie, czy można to uznać za drogę, czy tylko za wariant lub nieukończoną próbę. Moim zdaniem można to uznać za drogę. Chłopczy doszli do zachodu Świerza, a więc praktycznie do łatwego terenu. Z tego miejsca jest na drodze Świerza jeszcze jeden wyciąg z jednym miejscem III- i dochodzi się do górnego zachodu, którym, bez kłopotu można wydostać się bez asekuracji na grań (trudności I - II). Odcinek drogi Świerza od miejsca ukończenia wspinaczki przez zespół J. Mączki do grani (jak i całą drogę Świerza), trzykrotnie przechodziłem bez asekuracji i gwarantuję, że dla sprawnego alpinisty nie przedstawia on żadnych trudności (jest tylko kruchy i "powietrzny" więc powtarzania "na żywca" nie polecam). Kryterium, co jest drogą a co nie, zmieniało się na przestrzeni lat. Kiedyś nie uznawano drogę nie kończących się na szczycie. Obecnie uznaje się wiele takich rozwiązań za drogi (Czołówka MSW, Kocioł Kazalnicy). Swoistym i kontrowersyjnym rekordem jest lewa droga Szatankiewicza na Turni Zwornikowej. Szatankiewicz doszedł do terenu V-, więc uznał że dalej łatwo i zjechał. J. Mączka sugeruje kończenie drogi Lewą Ścieką (Michnowski - Skarżyński), ale można też kończyć ją Świerzem lub Orłowskim, a można też pociągnąć dalej do góry na lewo od Michnowskiego. Jest tam spora potać trudnego i nietkniętego terenu.

Pozostaje jeszcze sprawa starego haka. Zbierając materiały do trzeciego tomu przewodnika (który nigdy nie wyszedł) prześwietlałem chyba wszystkie możliwe źródła i nic nie wiem o próbach w tym miejscu. Hak może więc pochodzić z nieudanej próby lub ze zjazdów tym kominem w czasie jakiegoś odwrotu. K.L.

### - Mięguszwiecki Szczyt Wielki

Płn. ścianą wariant Chmielowskiego WIIP 889 F. Janusz Mączka i Krzysztof Fedorowicz 22.02.1987.

Polecam ten wariant jako prostujący drogę klasyczną, chyba trudniejszy od wariantu kominem. Nie pamiętam przejścia zimą tym sposobem. Podaję fakt z kronikarskiego obowiązku.

Ja natomiast z kronikarskiego obowiązku odnotuję wariant jeszcze bardziej prostujący.



Jan Gąsienica Roj z drugim ratownikiem GOPR wyszli kiedyś w czasie akcji ratunkowej wprost z Małego Kotła do charakterystycznej rozpadliny w północno-wschodniej grzędzie nieco poniżej kopuły szczytowej. K.L.

#### - Niżne Rysy

Pln-zach. ścianą - lewą depresją. Krzysztof Fedorowicz, Janusz Mączka, Witold Sas-Nowosielski. 14.02.1972.

Na ogół chadza się zimą prawą depresją lub środkową grzędą. Drogi robiliśmy w totalnym załamaniu pogody. Największy płytowy próg pokonując od prawej, natomiast spod kopuły szczytowej wyjście załupą WIIP 1044 P. Nasze przejście przebiegało w linii wariantów WIIP 1044 D i L. Trudności ok. IV. Lewą depresję należy traktować jako niezależną drogę dużo trudniejszą od prawej depresji. Latem środkiem płyt największego progu podobno robił trudny wariant R. Pilch.

Sposób przejścia nie jest niczym nowym. Chodzi tu raczej o niefortunny sposób opisu w przewodniku W.H. Paryskiego, w którym drogi rozpisane na niezliczone warianty do jednej drogi, jeśli tylko miały z nią cokolwiek wspólnego, zupełnie się zagubiły. Nie umniejszając zasług Paryskiego trzeba stwierdzić, że umiał on nieźle rzecz zagmatwać. Na skutek takiego opisu nie tylko lewa depresja Niżnych Rysów zniknęła ze świadomości taterników jako droga. Stało się tak też z drogą O. Gorskiej, T. Jurkowskiej i J. Długosza na Kazałnicy, którą opisano jako wariant do drogi Korosadowicza, a z którą ma ona wspólny tylko pierwszy wyciąg (zresztą łatwy). Wariant Ryszarda Pilcha rzeczywiście istnieje. K.L.

#### - Kopa nad Wrotami

Lewy komin Uchmańskiego. I zimą - Marek Kowalczyk, Piotr Jasiński, Adam Uznański (mł.), 30.12.1968, inf. w Taterniku nr 15 - maj 1969 str. 3

- Na Iglę w Szpiglasowej Grani wszedłem (pamiętam, że było trudno), ale czy aż tak, to było dawno, w trakcie przejścia grani Prz. pod Chłopkiem Szpiglasowy. Robiłem ją w towarzystwie trzech jeszcze partnerów. Ja z Jurkiem Działońskim szliśmy dla zabawy ściśle ostrzem, tzn. na niektóre pipanty wchodziłem sam, tak też było z Iglą w Szpiglasowej Grani. Szczegółów nie pamiętam, było to 27 lipca 1966 r.

Na marginesie stosowanego słownictwa. Autorzy przewodników przypisują nazwy jednemu z uczestników przejścia nieraz dowolnie. Bywa, że utytułowany taternik jest przypadkowym gościem na takiej drodze. Bardziej

przypadają mi ugruntowane nazwy często z dozą humoru. Np. na prawej ścianie pn. Cubryny jedną z dróg określił jako drogę moją a wcześniejszą Onyszkiewiczą (ministra się!). Otóż przylgnęła do niej nazwa "Trzyście przewieszek", co było wynikiem mego trochę nieudolnego opisu w Taterniku, gdzie roilo się od przewieszek (zbyt szczegółowy). Natomiast pomysł zrobienia tej ścianki był mój i realizacją moja, natomiast Janusz Onyszek tego samego dnia ciągnął nas na pln. ścianę Mnicha, uparcie chcąc zrobić dawno wymyśloną przez siebie ambitną drogę na lewo od Kantu Ilakowego. Po ok. półtora wyciągu zakończył walkę; na otarcie lez zaciągnąłem towarzystwo pod Cubrynę. Uznali, że rzech lecz trudno, po zrobieniu drogi, że owszem, owszem lecz co Mnich to Mnich.

Ot stare czasy.

Mam w szpargałach jakieś moje występy ze Słowacji, może nowe z zimy i lata. Komu je przekazać? Wirskiemu, Tobie czy komuś jeszcze?

Pozdrawiam

Janusz Mączka

Wszelkie informacje o starych i nowych nie publikowanych przejściach prosimy przysyłać na adres Wydawnictwo TEXT, 02-784 Warszawa ul. Herbsta 1 lub na adres redakcji "Taternika", a najlepiej w oba te miejsca (adresy mogą się kiedyś zmienić, a szkoda by zaginęło). Informacje będziemy publikować.

#### Inne uwagi o drogach i przewodnikach

Skoro już tyle napisaliśmy o szczegółach różnych tatrzańskich dróg, chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę:

I. Krzysztof Fedorowicz, po opublikowaniu przewodnika "ŻTM od północy. Wołowa Turnia..." przekazał mi następującą informację: We wrześniu 1962 roku wspinał się na drodze Śtafłowej na południowej ścianie Wołowej Turni w towarzystwie Wandy Błaszkie-wicz znanej później jako Wanda Rutkiewicz. W tym samym czasie pod przewieszką na lewo od drogi Stanisławskiego od dłuższego czasu tkwili dwaj Słowacy. W pewnym momencie Słowacy zawołali do nich: "Macie linę?". Oczywiście, mieli linę. Zjechali na niej ze szczytu nad Słowaków, którzy przy pomocy węzłów Prusika pokonali przewieszkę i wszyscy razem wyszli do góry częściowo z pomocą liny i wspomnianych już węzłów. Według mojego rozmówcy tak właśnie padło pierwsze przejście drogi Estog - Janiga. Historię tę potwierdziła mi Wanda Rutkiewicz.

**UIAA ogłasza dni czystych gór 17 i 18 września. Znieśmy w dół worek śmieci!**

Opiekę nad obozowiskiem PZA "Łgotka" w pobliżu Podlesia sprawują Irena i Piotr Van der Cogen. Oboje są ratownikami GORP, a na Śląsku są dobrze znani jako organizatorzy szkoleń survivalowych dla młodzieży. Obozowisko oferuje miejsca pod namioty, parking, umywalki, sanitariaty oraz miłą atmosferę. Opłaty symboliczne!

## Korespondent MPC

W styczniu 1994 roku powstała przy UIAA nowa komisja o nazwie MPC, co w pełnym brzmieniu oznacza Mountain Protection Commission. Jej głównym zadaniem, jak sama nazwa wskazuje, jest szeroko rozumiana ochrona gór. Zarząd PZA powierzył funkcję członka korespondenta MPC naszemu koledze, instruktorowi alpinizmu, profesorowi Andrzejowi Paulo.

## Słońce i wiatr

Niemcy do wszystkiego zabierają się z zaangażowaniem i gruntownością, nie więc dziwnego, że przodują również w dziedzinie techniki ochrony środowiska górskiego. Opracowali kilka typów oczyszczalni ścieków dostosowanych do warunków gór wysokich, zdołali też opanować trudny problem śmieci schroniskowych. Wyłącznie biologiczna oczyszczalnia przy Tüzing Hutte w Alpach Bawarskich usniwa zanieczyszczenia ścieków w 98%. Na dachach wiatu schronisk w Alpach widać ustawione pod kątem 25 stopni baterie słoneczne, które zaopatrują obiekty w energię elektryczną. Dwie płyty (moduły) wystarczają, by pokryć zapotrzebowanie średniego schroniska na prąd do oświetlenia i wprawienia w ruch urządzeń takich, jak radio, odkurzacz czy maszyny kuchenne. Instalacja w Seewaldhütte (1640 m) świeciła w roku ubiegłym 10-lecie funkcjonowania. Pozostawiony "na wszelki wypadek" agregat spalinowy nie był w tym czasie w użyciu ani razu!

W ostatnich latach Niemieckie Towarzystwo Alpejskie (DAV) wdrożyło eksperymenty nad wykorzystaniem wiatru. Jednym z punktów badań jest Tolzer Hutte w Karwendlu (1835 m). Jak dotąd, wyniki nie są zachęcające. Prowadzone od r. 1989 pomiary wykazały, że roczna średnia prędkość wiatru wynosi tu 3,4 m/s, podczas gdy najbliższa z turbin wymaga co najmniej 4 m/s (optimum: 10-12 m/s). Co gorsza, w okresie letnim, kiedy zapotrzebowanie na energię jest największe, wiatry wieją rzadziej i są słabsze (średnio 3,1 m/s). Najlepsze warunki mają martwe pod względem frekwencji miesiące listopad i grudzień. W okresie lata tylko 45% dni mogłoby liczyć na ruch turbin, ale zaledwie 13% dni miałyby wiatr o prędkości 6 m/s. Badania są kontynuowane w dwóch kierunkach: a. prób zmierzających do udoskonalenia konstrukcji turbin i b. poszukiwania korzystniejszych lokalizacji (np. na Zugspitze średnia roczna przekracza 7 m/s).

## Przykra wiadomość z ostatniej chwili

Zmarł Sławomir Andrzejewski znany w środowisku taternickim jako "Dessmaison". Był autorem "Direttissimi" południowo-wschodniej ściany Raprawickiej Turni oraz wielu wartościowych prześięć tatrzańskich (między innymi na Kazańcy, Małym Młynarzu, Młynarczyku).

## Szkoła wspinaczkowa

**Danuty i Zbigniewa Wachów**

**zaprasza na kursy wspinaczki skalnej**

**od kwietnia**

**do października**

**Rzędkowice 164**

**42-365 Włodowice**



Wrocław, ul. Bogusławskiego 45, tel. 62-72-23

pon-pt: 10.00 - 19.00

sob. 10.00 - 15.00

- księgarnia turystyczna, informacje, doradztwo

- odzież

\* bluzy, kurtki: Polar, Sympatex, Goretex, puchowe

\* kombinezony, dresy, spodnie z Polaru

\* dodatki (opaski, rękawice, skarpety, ochraniacze)

- obuwie turystyczne i wspinaczkowe

- plecaki

- sprzęt biwakowy: namioty, śpiwory, karimaty, kuchenki gazowe

- szkolenie wspinaczkowe, usługi przewodnickie

- organizujemy wyprawy trampingowe i trekkingowe



Zagadnienie spitowania w Tatrach nie jest problemem nowym. [ ]

Postaram się zaprezentować propozycje pewnych zasad i reguł, które, jeśli chcemy uniknąć wielu sporów i kłótni we wspinaczkowym światku, prędzej czy później muszą zostać ustalone. Uwagi swoje oparłem na własnych przemyśleniach, rozmowach (głównie z przeciwnikami spitowania - zwoleńniczy wiedzą, że trzeba osadzać spity, mając najczęściej jednocześnie problemy ze sformułowaniem racjonalnego i niepodważalnego wytłumaczenia) oraz obserwacji powyższego zagadnienia w górach Francji i Włoch. [ ]

Spity i stałe haki mają wiele wspólnego, bo jedno i drugie zostają w ścianie po pierwszym (miejmy nadzieję, że również i po kolejnych) przejściu drogi. Różnica polega na tym, że nie wszędzie da się dobrze wbić haka, który jest ponadto mniej trwałym punktem niż spity (oczywiście odpowiednio zainstalowany i zabezpieczony przed działaniem atmosfery - korozją). Nie wdając się w dokładny opis techniczny samej czynności zakładania spita (sposób wiercenia otworu w skałę, odpowiedni model kotwy itp.) dodam tylko, że ubezpieczenie płytowych lub przewieszonych odcinków nowych dróg powinno być przeprowadzone w sposób uniemożliwiający kradzież plaketek. Idealnymi pod tym względem wydają się ringi lub spity typu Long Life, które dzięki nietypowym rozwiązaniom technicznym nie mogą zostać "wykręcone" (co najwyżej odcięte). Praktyka kradzieży plaketek, nagnannie spotykana dziś w skałkach, w górach może okazać się niebezpieczna dla zdrowia, a nawet życia wspinaczy. O ile w skałkach łatwo możemy się zorientować, czy droga wyposażona jest w komplet przelotów, o tyle w górach jest to w zasadzie niemożliwe. Zaskoczenie brakiem asekuracji w miejscu, skąd wycofanie się jest problematyczne, może ponieść za sobą bardzo poważne skutki.

Co więcej przemawia za spitowaniem?

- Gdyby na kursowej drodze Świerza wiodącej wschodnią ścianą Męgiszowieckiego Szczytu Wielkiego istniały stałe stanowiska zjazdowe (ze spitów), nie doszłoby do jednej z największych tragedii wspinaczkowych w Tatrach - śmierci Jurka Hirszowskiego i trójki bardzo młodych ludzi. Sądzę, że nie tylko ja podpiszę się pod ostatnim zdaniem obiema rękami.

Spotkami się z kontrargumentem - "jak w takim razie nauczyć kursantów zakładania bezpiecznych stanowisk, kiedy pozostawi się im dwa spity przed nosem?". Odpowiedź jest prosta. Każdy instruktor parający się zawodowo szkoleniem wie, że stanowiska asekuracyjne bądź zjazdowe, aby nauczyć, można zakładać co 5, 10, ... metrów z haków i kostek, a te ze spitów potraktować jako awaryjne, np. na wypadek gwałtownego załamania pogody. Jedno nie przeszkadza drugiemu. Będąc, mówiąc nieskromnie, mistrzami od asekuracji, nie wypinajmy męcznie piersi twierdząc, że dobry wspinacz poradzi sobie w każdych warunkach. Należy pamiętać, że nawet najlepiej wyszkoleni kursanci opuszczając Betlejemkę z "papierem" w garści, rzuceni na "głęboką wodę", pozostawieni sami sobie -

mają prawo popełnić błąd. Historia uczy nas, że ów błąd mogą popełnić nawet świetni fachowcy, starzy wyjadacze. Czy którykolwiek z moich oponentów zechce wziąć na swoje sumienie śmierć tych, którym zabrakło spitów na stanowiskach zjazdowych?

- Gdyby nie brak pewnych i dobrze oznaczonych, stałych stanowisk zjazdowych na filarze Kazalnicy, istnieje duże prawdopodobieństwo, że Jasiek Wolf byłby wciąż wśród nas.

- Piotr Dawidowicz dobił haka pod niepewną płytę, naruszając tym samym jej stabilność. Stało się to pośrednio przyczyną jego śmierci. Szczegół ten pochodzi z ust wiarygodnego człowieka - Piotra Malinowskiego, byłego szefa TOPR-u. [ ]

Propozycja zasad spitowania

a). Drogi powinny mieć logiczny przebieg w ścianie, prowadzić tam gdzie się to tylko da, po linii prostej.

b). Drogi należy oczyszczać z porostów, gruzu, kamieni i niebezpiecznych, nie związanych z podłożem kęp trawy (istnieje hipoteza, że Jasiek Wolf spadł z takim właśnie "ruchomym trawnikiem") - w czasie zjazdu, a nie prowadzenia. Zdając sobie sprawę, że takie, nie tylko przyszłościowe, szorowanie drucianą szczotą skały burzy tradycyjnie rozumianą romantyczną otoczkę wspinania. Nie będę ukrywał, że owe szorowanie skały osobiście odczuwam jak darcie samego siebie, wtedy tylko, gdy to ja "drapię" swoją nową drogę. W każdym innym przypadku, powtarzanie drogi, która miała już wcześniej kilka przejść lecz wciąż jest "zarosnięta" nie ma w sobie nic romantycznego, a wręcz przeciwnie - wkurza, szczególnie wtedy, gdy skała jest mokra. Porosty plus woda dają piorunujący efekt w postaci niezłej "dupołaczni". Ponownie wkraczamy na teren tematyki związanej z bezpieczeństwem wspinania, a co za tym idzie, jak sądzę, dalszy komentarz jest zbędny.

c). Drogi powinny być ubezpieczone stałymi punktami w tych miejscach, gdzie tylko jest to konieczne. Dobre szczeliny należy zostawić na kostki, haki i inne przyrządy tradycyjne. Odległość pomiędzy spitami musi być tak dobrana, aby każdy lot był w miarę bezpieczny, tzn., aby wyeliminować upadek do podstawy ściany, na półkę itp. oraz maksymalnie zmniejszyć współczynnik odpadnięcia.

d). Każdą ścianą powinno przebiegać kilka dróg zjazdowych. Zadziwiające jest to, że wciąż istnieją w Tatrach duże skalne polacie, z których ucieczka jest bardzo utrudniona, a od pewnego momentu wiedzy w zasadzie już tylko do góry. Koronnym przykładem jest wspomniana, wschodnia ściana MSW. Dolny, dwumetrowy pas wymienionej ściany to bardzo ryzykowny (ciśnię się na usta o wiele mocniejsze słowo) odcinek, pokonanie którego w załamaniu pogody może okazać się pułapką bez wyjścia. Czy wykonanie drogi zjazdowej w owym "ręchur" jest aż tak problematyczne? Dla mnie jest to dzień pracy ze sprawną wiertarką i aerozolem (pamiętajmy, że stanowiska zjazdowe powinny być dobrze oznaczone, aby ułatwić ich odzyskanie, albo odwrotnie - zabezpieczyć przed przeoczeniem w trakcie zjazdu). Pomalowanie plaketki oraz



wystającego łańcucha szruby pozwoli uodpornić je również na korozję.

Dlaczego KILKA dróg zjazdowych? Jedna nie wystarczy, szczególnie na bardzo popularnym ścianie. Wystarczy wyobrazić sobie sytuację, kiedy np. trzy zespoły wycofują się tą samą trasą. Można wtedy dostać po głowie zrzuconą liną, kamieniem, plecakiem, bądź też wręcz - innym wspinaczem (np. gdy dwa zespoły poruszają się w przeciwnych kierunkach). Podobnej sytuacji doświadczyłem wielokrotnie, pomijając wspinaczki w Alpach (wiadomo - braki szkoleniowe większości tubylców są wprost proporcjonalne do ich chamsstwa), również i na pld. ścianie Zamartej Turni (zjazdu w okolicy lewej drogi Heinricha).

e). Stanowiska zjazdowe powinny składać się z minimum dwóch spitów. W jednym z nich musi znajdować się zakrepany karabinek z zaklejonym zamkiem (bądź normalny, z dopasowaną i zalaną klejem metalową tulejką), co zapobiegnie jego kradzieży. Powyższe, rowelacyjne rozwiązanie zostało zastosowane przez COS PZA na Prawym Żebrowie Skrajnego Graniata. Można wyeliminować wtedy odwieczne problemy związane z dokładaniem nowych pęli oraz sytuację, w której namoknięta lina nie chce przejść przy ściąganiu przez stanowisko zjazdowe. Myślę, że rozsądnym posunięciem byłoby zostawić takie karabinki również w kluczowych miejscach drogi. Umożliwiłoby to odwrót zespołom zmuszonym przez trudności do kapitulacji. Dodatkowy karabinek, np. radziecki w cenie 30-50 tys. zł., nie podnosi wkładu pieniężnego, a wręcz przeciwnie, znacznie go redukuje. Zauważmy, że jego koszt równy jest cenie jednego metra taśmy, którą przecież i tak należy po każdym zjeździe i wyciągnięciu liny ze stanowiska - wymienić. Drugi spit na stanowisku posłuży oczywiście za punkt antysekuracyjny dla wspinaczy, którzy oczekują na swoją kolej w czasie zjazdu.

f). W praktyce, należy starać się, aby każda nowa droga wspinaczkowa nadawała się jednocześnie do zjazdu. Prowadzenie jej w sposób opisany powyżej, pozwoli na szybkie i bezpieczne wycofanie się zespołu ze ściany. Kwestia dyskusyjną pozostaje jeszcze odległość pomiędzy kolejnymi stanowiskami zjazdowymi, niekoniecznie pokrywającymi się ze stanowiskami asekuracyjnymi, wyznaczającymi przebieg drogi. Zauważmy, że nie wszystkich wspinaczy stać na zakup podwójnej liny, umożliwiającej zjazdy 45-50 metrowe. A szkoda, bo opierając się na praktyce, właśnie taka odległość jest najbardziej korzystna przy zjazdach. Wpływają na to dwa czynniki: czasochłonność zjazdów i operacji wykonywanych przy zjeżdżaniu (im krótszy zjazd, tym więcej stanowisk zjazdowych) oraz kłopoty związane ze ściąganiem liny (przy zjeździe dłuższym niż 50 metrów możemy spotkać się z niemiłą niespodzianką w postaci "przeszytych układów").

Zdecydowana większość zespołów posiada w Tatrach łańcuch pojedynczą linę. Moim zdaniem więc, logiczniej jest tak ustalić odległość pomiędzy stanowiskami zjazdowymi, aby mogli z nich korzystać zarówno posiadacze lin podwójnych, jak i pojedynczych. Dokładniej rzecz ujmując, odległość ta powinna wynosić maksymalnie 20 metrów, z tym jednak, że stanowiska zjazdowe powinny być tak rozmieszczone, aby posiadacze lin podwójnych mogli efektywnie wykorzystać posiadany sprzęt, wykonując zjazdy z przesiadkami na co drugim stanowisku.

Na koniec przytoczę jeszcze jeden argument, który może pomóc przekonać najbardziej zatwardziałych

przeciwników spitowania, szczególnie jeśli chodzi o stanowiska zjazdowe. Proszę sobie wyobrazić sytuację, w której nie istniałyby stałe stanowiska ze spitów do zjazdu Grammingerem na najbardziejie ucześnieczanych ścianach (np. Kazalnica, Mnich), montowane przez TOPR. Czy znajdzie się ktoś, kto odważy się zarzucić naszym służbom ratowniczym, że są źle wyszkolone i nie potrafią założyć pewnego stanowiska z haków i kostek bezpośrednio przed akcją? No właśnie.[]

## Jak zwykle mam inne zdanie

Po przeczytaniu tekstu Maćka Tertelisa nasunęło mi się parę uwag.

1. Maćek Tertelis używa w swoim artykule wielokrotnie zwrotu "powinno się". Powinno się spitować, powinno się prowadzić drogę tak i tak, powinno się zakładać stałe trasy zjazdowe i.t.d. Wydaje mi się, że jedną z głównych zalet alpinizmu jest to, że każdy może realizować taką koncepcję wspinania, jaką sam uważa za słuszną. Popularność wspinania w latach siedemdziesiątych polegała głównie na tym, że góry i skałki były jednym z nielicznych miejsc w pełnej zakazów rzeczywistości, w którym można było realizować dzisiejsze hasło Owsiaka "robota co chcecia!". Góry były miejscem, w którym można było łamać reguły, za stosunkowo niewielką cenę. Groziła za to co najwyżej nagana w klubie, podczas gdy w codziennym życiu glerkomunizmu za łamanie reguł można było wylecieć z pracy lub studiów albo i trafić do pułki. Receptą na wzrost popularności wspinania jest przywrócenie takich reguł gry, w których znacznie więcej można, a mniej się powinno.

2. Co do samego spitowania. Uważam, że jeśli ktoś chce ospitować swoje drogi, to niech spituje. Wolna wola i jego sprawa. Większym problemem jest spitowanie instytucjonalne, prowadzone przez PZA. Jeśli ogranicza się ono do zabezpieczenia popularnych tras zjazdowych i stanowisk na kursowych drogach, to wszystko dobrze. Gorzej gdyby wyszło poza ten zakres. Kolega Tertelis zdaje się zapominać, że trudność w górach bywają dwójakiego rodzaju: techniczne i psychiczne. To właśnie tym elementem "psychy" rozniemy się od gimnazystów przyrządowych.

4. Nie mogę się zgodzić, że do wypadku Jurka Hirsowskiego i jego kursantów nie doszłoby, gdyby ospitowano drogę Świerza. Stanowiska zjazdowe i asekuracja na tej drodze są wyjątkowo dobre. Przypomnijmy sobie warunki, w których doszło do wypadku. Gwałtowne załamanie pogody, ogromny skok temperatury w bardzo krótkim czasie, opad lewnego śniegu. Nawet gdyby było tam 50 spitów, to i tak nikt by ich nie znalazł na skałe obłożonej mokrym śniegiem. Gdyby droga była kompletnie ospitowana, zespół mógłby nie mieć haków i w tych warunkach znalazł by się w pułapce bez wyjścia. A co by się stało, gdyby zespół idący bez haków zapchał się w niechodzony teren, albo zjeżdżając zboczył z trasy zjazdowej? Co wtedy - wzywać TOPR?

Podobnie cieknie są jako argumenty przykłady wypadków Włofa i Dawidowicza. Przebieg i przyczyna wypadku Włofa pozostają ciągle mocno niejasne. Jeżeli nawet spadł on z niechomym trawniczkiem, to czy wynika z tego, że mamy usunąć z Tatr wszystkie trawki? Nie można twierdzić, że przyczyną jego śmierci był "brak (...) stałych stanowisk zjazdowych na flurze Kazalnicy". To nie jest typowa trasa zjazdowa. Piotr Dawidowicz zginął przy próbie iklaszyczenia z powodu wbięcia haka pod odpięniętą płytę. Nie sądzę by można coś poradzić na to, że ktoś błędnie ocenił wytrzymałość skały. Spita też można osadzić w odpięniętej płycie.

5. Myślę, że następuje tu mylenie pojęć - dążenie do warunków, w których można by wspinąć się wyłącznie po pewnych chwytach i z pewną asekuracją ze stałych punktów, najlepiej jeszcze zawsze przy dobrej pogodzie i w towarzystwie pięknych kobiet. Dobrze, ale od tego jest "dykta climbing" czyli szczerne ścianki a nie góry. Są ludzie, którzy to lubią i wolno im. A my lubimy trochę się pobać, trochę zmazać i trochę się zmęczyć i też nam wolno. Powtarzam "robota co chcecia!" ale i nam pozwólcie. Jeżeli chcecie zrobić szczerą drogę osadzając szczerze chwyt i komplet spitów w litych płytach między "R-em a "Sadziem" to proszę, ale nie robcie tego na moich drogach.

K.L.



# Ciekawostki ze wschodu

## Skąd się wziął czekan?

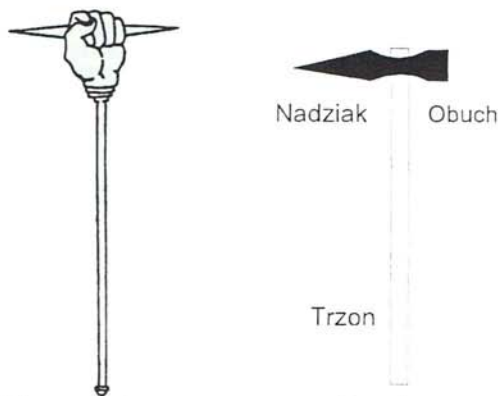
Przygotowując do druku książkę o Kung Fu, zawierającą rozdział o wpływie chińskiej sztuki wojennej na sztukę wojenną innych krajów, natrafiłem na ciekawy ślad pochodzenia polskiego słowa czekan. O tym, że czekan używany w górach zawiązuje swoją nazwę broni używanej w dawnej Polsce, wiedzą chyba wszyscy, ale mało kto zna historię owej broni. W większości encyklopedii pod hasłem czekan przeczytać można mniej więcej taką informację: 1. rodzaj laski używanej przez alpinistów z ostrzem i łopatką; 2. nadziak, broń złożona ze styliska i głowicy zakończonej ostrzem i obuchem, używana do rozbijania zbroi (w jednej ze starszych encyklopedii można przeczytać informację wręcz kłopotliwą: czekan - laska góralska do rąbania skały).

Pierwowzorem czekana była broń chińska zwana "szpiczastym hakiem" lub "żeliwną pięścią" (zhua chuan - czytają: chuan lub t'zu quen - czytają: cu kien). Był to żelazny pręt o długości około metra, zakończony odłaną z żelwa ludzką pięścią, trzymającą dwa wystające w przeciwnie strony piętnastocentymetrowe kołce. Broń tę przywieźli do Europy Mongołowie, którzy używali dla niej nazwy dzikan, będącej prawdopodobnie zniekształconą nazwą chińską. Pochodzenie polskiej nazwy czekan od mongolskiej dzikan jest raczej oczywiste, choć nie przejęliśmy tej broni bezpośrednio od Mongołów, ale znacznie później, od Turków i Tatarów. Nazwa dzikan zachowała się bardzo długo w Turcji. Czekan przyjął się najpierw na Węgrzech, a później w Polsce, przy czym nieco się zmienił. Odlew ludzkiej pięści zastąpiono zwykłą głowicą, stylisko zostało nieco skrócone, a jedno z ostrzy zamieniono na obuch jak od młotka. Całość przypominała bardziej używany obecnie czekanomłotek niż czekan alpinisty. Ostrze czekana nazywano nadziakiem, a po pewnym czasie zaczęto używać nazwy nadziak dla całej broni. Czekan uważany był za broń wyjątkowo groźną. Każde trafienie tą bronią powodowało najczęściej natychmiastową śmierć lub co najmniej bardzo ciężkie rany. W 1620 roku zakazano nosić czekan w miejscach publicznych, co było pierwszym w Polsce (a może i w Europie) przypadkiem wydania ślacheście zakazu noszenia broni. Stało się to po incydencie zaatakowania czekanem króla Zygmunta III Wazy przez niejakiego Piekarskiego (trafił na mękę i powstało powiedzenie "jechać jak Piekarski na mękach").

Od czekana - broni pochodzi jednak tylko nazwa czekana - sprzętu alpinisty i tylko w języku polskim. Nazwa czekana w innych językach nie ma z tym nic wspólnego (np. cispickel). Zupełnie inne jest też pochodzenie czekana jako sprzętu do wspinania w lodzie. Jest on wynikiem stopniowej ewolucji alpenstocka, który był początkowo tylko długim kijem, ułatwiającym przekraczanie szczelin na lodowcu a później zaopatrzony był na końcu w różek koźcy. Początkowo czekan był bardzo długi i rzeczywiście spełniał on rolę laski (choć nigdy nie była to laska góralska, a tym bardziej do rąbania skały). Ostrze czekana bardzo długo było prostopadłe do styliska i pozbawione ząbków. Jeszcze w czasach mojej młodości służył on raczej do rąbania w lodzie stopni i chwytów (technika całkiem już dziś nie znana), niż do wbijania w lód. Jeszcze w jednym z numerów "Taternika" z lat siedemdziesiątych można znaleźć notatkę o tym, że z badań wynika przewaga ostrza prostopadłego do styliska nad zgiętym do dołu, bo to ostatnie powoduje przenoszenie szkodliwych drgań, powstających przy wbijaniu czekana, na rękę alpinisty. Przełomem w ewolucji czekana w kierunku dzisiejszej "dziabki" był brytyjski terraktyl (pierwsza kon-

strukcja z mocno zakrzywionym ostrzem). Został on opracowany niezwykle starannie między innymi przy użyciu analizy zdjęć z ultrasonograficznej kamery.

Polscy alpinści nie od razu używali dla tego sprzętu nazwy czekan. W pierwszych relacjach z Alp używano francuskiej nazwy piolet, którą odmieniano po polsku. Mówiono na przykład o chodzeniu z pioletami. Nie udało mi się ustalić, kto pierwszy nazwał piolet czekanem.



## A jednak góra do Mahometa

Przysłowie mówi, że Mahomet musi przyjść do góry, bo góra nie przyjdzie do Mahometa. Okazuje się, że nie musi to być prawdą. Jedną z ulubionych rozrywek cesarzy chińskich obok gry w piłkę nożną, znanej w Chinach i Japonii od ok. 2 000 lat, było wspinanie się po skałkach. Cesarzowi jednak nie chciało się i nie wypadało jeździć w skałki, których zresztą w Chinach nie brakowało. Skałki przywożono więc do Cesarza. Ogromne bloki wapienne o bardzo skomplikowanych kształtach wstawiano do pałacowych ogrodów, gdzie pełniły one też rolę dekoracyjną. Budowano też sztuczne skałki z mniejszych bloków. Skałki te nie były specjalnie trudne gdyż cesarzowi nie wypadało spadać. Ich wysokość na ogół nie przekraczała 7 - 8 metrów.



# Trzy razy w Dolince Buczynowej

## Raz pierwszy

Przeglądając n-ty raz stare "Taterniki", co jakiś czas wpada mi w oko opis drogi, na który wcześniej nie zwróciłem uwagi. Tym razem znalazłem dwie drogi na Buczynowej Strażnicy. Autor i data poprowadzenia jednej z nich sugerowały ostre wspinanie. Wziłem opisy chyba przez dwa kolejne sezony, z nadzieją, że przez wycieczając lenistwo do podejść w końcu uderzę.

A zimę mieliśmy piękną tego lata! Pewnie dzięki niej, po części, siedziałem już miesiąc w górach. Kondycja, forma i sprzęt (który jest najważniejszy we wspinaniu - jak mawiał Dziadek), połączyły się w jedno. Po miesiącu pracy mogłem zrobić sobie urlop i - wspinąć się dalej. Tym razem dla siebie. Rannym sierpniowym świtem (nic koło południa), przy pięknej pogodzie wyszliśmy z "Taboru" na Szalasiskach. Przy "Piątce" - plaża, dzika plaża! Wszędzie tłum, budzący się, prostujący kończyny, dokonujemy ablucji. Gdzie tu górską ciszę?!

Po ostrożnym wpisaniu do książki wyjść zamiast dać "piątek", uciekliśmy w stronę Dolinki. Po drodze chwila wahania, która z licznych ścieżek prowadzi do celu. Tak się wesoło złożyło, że Alek też pierwszy raz podchodził do Buczynowej. Wejście w ścianę znaleźliśmy bez trudności i zaczęliśmy. (Musiałem bojowo wyglądać w okularach lodowcowych i korkach - słoneczko w oczy, a jakże). Wspinanie od samego początku zmusiło do wyjątkowej uwagi, spokoju i cierpliwości. Tej ostatniej przy czyszczeniu chwytów z porostów, które w takiej ilości rzadko się spotyka. Może to bliskość Konina Pokutników i ciekająca z niego woda spowodowała powstanie "ogródka". Zakładane przeloty nie tak całkiem gwarantują dobrą asekurację - bo wiadomo czy się coś nie wykruszy w "ogródku"? No i proszę! Kupa kamieni, podklinowanych wzajemnie wisi pięknie - może to umiejętności wyniesione ze wspinania po "bibliotekach" pozwalają przejść bez stracenia piramidki. Wygodne stanowisko przy klinca i najtrudniejszy wyciąg przed nami. Wygląda jak wygląda! Alek uzbrojony w jedyne startuje do płyty, tak pod 70 stopni nachylenia. Ostatni przelot zostaje niebezpiecznie daleko, możliwości dalszych brak, a jest trudno i wcale nie III. Chyba, żeby nie myśleć co by ... gdyby, robię zdjęcia, doprowadzając Alka do pasji, niekoniecznie szwskiej. Obserwuję bardzo delikatne, tarcie wspinanie. Czyżby psycha siadała odwrotnie proporcjonalnie do odległości od ostatniego przelotu? Za ścianką lekko leżące zaciątko a w nim, również leżący Alek naprędcie wklepujący jedynekę w pierwszą napotkaną szczelecinę. No, ale psycha wzrosła!!! Wstał, wyprostował się i godnie skończył wyciąg. Teraz sam mogłem stwierdzić ile to jest VI- u Gacka. Jedynekka była bosko wbita na 2-3 mm - ale swoje zrobiła. (Sic!) Dalej trochę łatwiej a wspinanie jest nadal piękne, takie jak lubię. Płyty, rysy, czysta skała. I bliskość trudności. Wyżej to już tylko mniejsze lub większe kamienie wystające z traw, które w poszukiwaniu trudności niektórzy jeszcze leją. Slizgając się po ogromnych trawnikach schodzimy do Pięciu Stawów. Ja szybciej, posił-



kując się argumentacją, że boli (zeźście) tak samo, tyle że krócej. Już pod schronem spotykam stado "Pingwinów". Chyba ponad 30 sztuk. Alek mówił, że ich spotkanie jak nie przynosi zażądanie pogody. Może ich nie zobaczysz? A zresztą, jak ich jest tak dużo, pomyślałem sobie, to może ich wpływ na pogodę się znosi. W poszukiwaniu czegoś do pisania, przepytujemy kilkanaście osób i nic. W końcu Alek rozsierdzony głośno już woła: "Czy ktoś tu, ... ma coś do pisania!" Stojąca obok starsza pani, podając długopis mówi: "Trzeba było tak od razu - proszę bardzo"! W książce wyjść zostawiamy wpis z uwagą: "Gaciek wielkim wspinaczem jest!!!".

Nie znalazł się śmielek, który dopisałby datę 13 sierpnia do naszego wpisu.

## Raz drugi

Jak się patrzy, to zawsze można wymyślić możliwości wspinania się. Teraz tylko potrzebna wola i już jest droga. Czy musi być nowa? Tak było i tym razem. Rok wcześniej, zimową porą, po raz pierwszy zobaczyłem ze szczytu Wielkiej Buczynowej Turni żleb spadający z Przełęczki nad Dolinką Buczynową. Pięknie wysnieszona, wyglądająca stromo rynną kończyła się w dole bardziej stromym terenem. Od razu zamarzyłem ją przejść.

Jako że podejścia było trochę i ciut, ciut, wstaliśmy z Piotrem o 3 rano. Nad Czarny Staw albo nad Wielką Białą Polanę (jak ją był nazywał zbłąkany turysta),



dochodzimy przy czołówkach, potem by lepiej i dalej widzieć kierunek podejścia na Pańszczycką Wyznią, już tylko posilkując się migoczącymi gwiazdami i kontrastem między śniegiem a kamieniami. Śniegu było tyle co kot napłakał, więc co chwilę wchodzimy w piargi i trawy, które nie ułatwiają podejścia. W efekcie robimy dodatkowe metry. Tuż przed granią pojawiają się chmurki. Zaczyna posypywać. Chwilami robi się niebezpiecznie. Gdyby nie to, że byliśmy tak wysoko to... zresztą na przełęczy przejażdżono się i grzeszne myśli poleciały z wiatrem. Chmury i słońce, z lekką podświetlone góry na wschodzie - jest na co patrzeć. Muszę to szybko utrwalić w pamięci, bo aparat jak na złość co nie chce robić zdjęć. Zaparł się, czy co? W zlebie z Granackiej brodziny prawie po pas w śniegu - ot, zachodnie wiatry. Pod ścianą pięknie wywiane zasy. Jest dobrze! Zaczyna się ładne, zimowe wspinanie. Stronie trawy trochę słabo trzymają, ale co tam. Asekuracja też z traw. Czasem trzeba nieco pogrzebać, by się do nich dostać. Droga z półka śnieżnego doprowadza pod wąski kominiek. Z lewej i z prawej zeberka. Pierwsze bardziej skalne, to drugie z trawami. Gdy podchodzę bliżej, już wiem jak iść. Zeberka robią się bardziej stronne, ale nawet bardzo stronne trawy to zawsze trawy. Stanowisko wypada w środku trudności - tak lekko półwyszące. Piotr, jak na nowicjusza zimowego wspina się zadziwiająco dobrze, i co mnie szczególnie cieszy - szybko. Wyżej ekspozycja nie maleje a pod koniec trawersu nad kominikiem czujne (Aj! Aj!) wejście do śnieżnego zacięcia. Gdyby jeszcze śnieg trzymał jako tako, a tu nie, tylko ciekier z niczym nie związany. Dalej już jest łatwo tak, że możemy iść (grzebać się) z lotną asekuracją. Prożki skalne biorę z marszu. Chociaż na jednym straciłem dobrą chwilę, rachityczna polewa z lodu, skała bez chwytów, asekuracja daleko a wszystkiego tylko parę metrów. Uzupełniając ten nadmiar szczęścia przelatuję po mnie lekkim rykoszetem pyłówka. Piotr zmienia mnie w torowaniu na jakieś 100 m, ale i on pada na nos. Po 5 godzinach stajemy na końcu tej prawie 400 m rynnny. Na Przełęczce wiatr miecie śniegiem w oczy. Wrzucamy szpej i linę do plecaków i w dół, może będzie przyjemniej.

### Trzeci raz

Od słowa do słowa, wymyślamy w "Betelejemce" rozpoznanie bojem wschodniej ściany Granatów. W bój wyznaczyłem się sam, wsparcie dostając z powietrza tylko (łączność), gdyż woda, jak to zimą, zamrzła. Znowu pobudka przed 3 rano. Tym razem podchodzi się lepiej i szybciej. By to udowodnić, partner robi powrotną przebieżkę od Karłowicza do "Betelejemki" po czekan, który został na parapecie okna. Kilkanaście minut z głowy. Na przełęczy, by zbytnio nie wyprzedzić czasu, zaczyna się celebrowane ubieranie raków i uprząży. Trawers do Granackiej przechodzimy z asekuracją. W dół straszny dno Doliny Pańszczyckiej. To, że możnaby sobie zrobić krzywdę - to nie w porównaniu z podejściem z powrotem. (To "złota" myśl z ubiegłorocznego przejścia.) Zjeżdżamy tym razem jest po betonie. Pod filarem Biela znowu tracimy czas na poprawianie raków. Czy tego nie można zrobić RAZ a DOBRZE! Odchodzę od ściany by zobaczyć przebieg drogi. Jestem tu już trzeci raz a pamiętam jedynie, że Granaty robiły ponure wrażenie. W końcu zakładam stanowisko i ni- szam. Na początek cały wyciąg bardzo eksponowanego trawersu gzymsem. Miejscami trzeba zejść na malutkie

stopnie. Dochodzę do starej V-ki, którą wyciągam ręką. Pewnie zjazdowa. Stanowisko zakładam solidnie. "Sputnik", jakby potwierdzając swoje przezwisko, spada z gzymstu. Na szczęście był blisko przelotu, więc można to zaliczyć jako "przysiad" (wg klasyfikacji lotów). Skalne zacięcie i idę w prawo tak, jak prowadzi opis z zimowego przejścia. Dalej tracę rachubę wyciągów w mikstowym III/IV terenie. Tam, gdzie wygląda łatwiej, jest akurat na odwrót. Zasy z sypkiego śniegu leżące na skałach, idiotyczne płyty z rzadkimi kępami traw i jałowców. Powoli zdobywamy wysokość. Niestety, końca nie widać. "Sputnik" się "zaparł" i zamiast robić czas, zamarzyło mu się wspinanie. Dobrze, że nie puszczam go na prowadzenie. Kilka razy nieśmiało rzucił, czy to aby jest kursowa droga? Ba!!! Jest ciepło. Śnieg się topi, a woda, jak to zimą, płynie po goretęksie wprost do butów. W końcu idziemy trochę po śniegu, niestety nie szybciej. Prawie czuję, poprzez mgły, że do szczytu tuż, tuż. A tu dokładnie tak, jak w opisie: próg skalny. W czasie pierwszego zimowego przejścia stracił tutaj 2,5 godziny. Ale to było dawno i (niestety) prawda. Lodu tyle co nie. Próba wykorzystania go kończy się niepowodzeniem. Schodząc, robię pajaka i startuję bardziej na prawo. Widzę dzióbki skalne i małe chwyty - może puści. Dobrze, że jest ciepło i sucha skała. Trudności w okolicach V/V+ zmuszają do zdjęcia rękawic. Dwa razy A0, trochę klasyki i już prawie po wszystkim, gdyby nie konieczność wyjścia ze skały w trawę. W dziwacznej pozycji ubieram z powrotem mokre i ciężkie rękawice. Dwa, trzy uderzenia diabek i jestem po trudnościach. Jeszcze kilkadziesiąt metrów po śniegu i KONIEC.

Woda w butach chlup, chlup - tak człapiąc wracamy do domu. Na ścieżce pod Małym Kościelcem muszę uważać, by nie zrobić czekaniem od wyczyniającego hołubce "Sputnika". I za co to???

## Polsko-Szwajcarska wyprawa na Mt. Kailaś

W czerwcu wyrusza pod kierownictwem Włodzimierza Łagockiego wyprawa na świętą górę większości religii azjatyckich (np. buddyzmu, hinduizmu, dżainizmu) znajdującą się na terenie Tybetu szczyt Kailaś (6.714 m.). Byłoby to pierwsze wejście na szczyt, który tradycja każe obejść wcześniej 13 razy (łącznie 715 km - co uczestnicy wyprawy zamierzają zrobić). Według wyznawców buddyzmu i hinduizmu (czyli połowy ludzkości) Kailaś jest jedynym miejscem na ziemi, które zawsze będzie nieskalane, ucieleśnieniem mitycznej góry Meru, która stanowi centrum i oś wszechświata. W pobliżu Kailaś znajdują się źródła największych rzek subkontynentu Indyjskiego: Indusu, Karnali (wsch. ramię Gangesu), Brahmaputry i Sultjeu.

K.L

# Ściągą zdobywcy

Przejszć liczącą się ścianę nawet najtrudniejszą drogą, to wcale nie znaczy, że odnieśliśmy sukces. Nie ma sukcesu, jeśli nikt o nas nie wie. Jeśli nasze zdjęcia nie ozdabiają pierwszych stron gazet, nie udzielamy wywiadów przed kamerami TV - nie istniejemy jako ludzie sukcesu. Nie robisz za gwiazdę - to cię nie ma. Zdobywca najtrudniejszego szczytu pozostaje niezauważony, jeśli ginie w tłumie przylatujących na Okęcie, zwłaszcza gdy z potarganym worem stoł z boku i nie biegną do niego dziennikarze z mikrofonami. Można zapytać - po co to wszystko? Komu to potrzebne? Odpowiedź jest jedna - sponсорom. Oni przecież dali coś tam na nasz wyjazd i chcą byśmy błyszczeli z ich znakiem na "gore-texie", czy plecaku. Jeśli tak będzie pewnie dadzą coś łaskawie na następną okazję. Tylko nie ma jeszcze tak dobrze żeby sponсор poza pieniędzmi załatwił nam reklamę. Tu by się przydał wspinaczkowy menadżer, ale nie ma ich wielu. A bywali kiedyś, bywali.

Co wobec tego robić? Poza umiejętnością wieszania na cliffhangerach zaczepionych za kwarce przy 40 stopniowym mrozie, podciąganiu się na jednym palcu w absolutnym przewieszeniu trzeba jeszcze umieć się sprzedać (czytaj rozreklamować sukces). Twarz człowieka gór, zdobywcy niewyobrażalnego, może być towarem jak każdy inny. No to zaczynamy.

Pierwszą konferencję prasową zwołujemy jeszcze przed wyjazdem. Ubrani w kolorowe polary demonstrujemy swoją fachowość i nieprawdopodobną zgola formę fizyczną. O celu wyjazdu mówimy raczej mało i na "okrągło". Rozwódzimy się na temat dawnych przewag i alpinizmu w ogóle. Zawsze dobrze jest widziane jeśli siedzi wśród nas najpiękniejsza koleżanka z klubu. Jechać z nami nie musi, mówić też nie.

Program minimum to namówienie znajomego dziennikarza, albo lepiej kilku, na ilustrowany wywiad. Im bardziej kolorowy periodyk będzie to drukował, tym dla nas lepiej. Oczywiście staramy się o dostęp do kilku gazet. Pisma górskie podlegają innym prawom i nie o nich tu mowa.

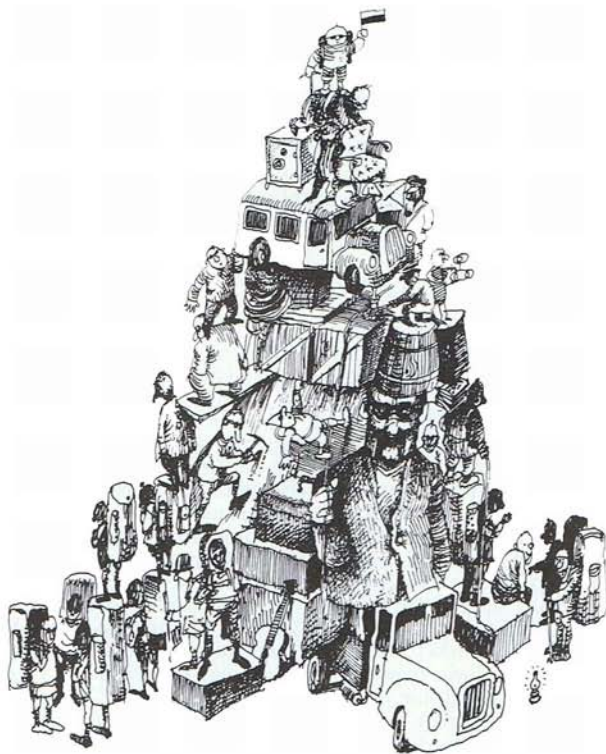
Kiedy już się wspinamy, choćby to było w najdalszym zakątku świata, nie przeznaczamy całego wolnego czasu na zwiedzanie świątyni i bazarów, ale wysyłamy korespondencję. Do kilku redakcji, bo gdzieś mogą za ważnejsze uznać np. ceny skupu dżdżownic. Im barwniejsze opisy tym lepiej, bo przecież i tak tekst skrócą. I nieważne co wytną z notatki, ważne że będzie głośno. Jeśli wyjazd jest dłuższy, dobrze widziane są zdjęcia.

O terminie powrotu powiadamy odpowiednio wcześniej. Tu znowu trzeba wywalczyć dostęp do mass mediów. Do działania ruszają wcześniej umówieni koledzy. Najlepsze będą jednak żony i narzeczone. One załatwią wszystko. Błyski fleszy i balsk jupiterów na Okęcie powitają pewnie nielicznych, ale jeśli staraliśmy

się wcześniej, a siły pozostawione w kraju, to i takie powitanie jest możliwe. Prezentujemy się godnie, powiewając wycinkami z zagranicznej prasy, gdzieś tam daleko opisującej nasz wyczyn. Jeśli gazeta jest po arabsku, japońsku, koreańsku czy nawet w języku izolowanego w odległych dolinach plemienia, to nic nie szkodzi - a czasem może pomóc.

Po powrocie do domów znowu rozsyłamy materiały do prasy regionalnej, udzielamy wywiadów itp. Potem, o ile mamy czas, siadamy do pisania książki.

To nic nowego. Byli w naszym środowisku wspinaczkowym specjaliści od reklamy. Zazwyczaj w dobrym tego słowa znaczeniu. Dzięki ich działaniom rosła sława alpinizmu (i ich własna, oczywiście), sponсорzy potrzaskali ochoczko kiesiami, tłumy młodzieży waliły do klubów, aby się szkolić. Pojawiały się talenty, koło się kręciło, były sukcesy. Dzisiaj są one mniejsze niż dawniej, ale są. I trzeba je rozgłaszać, bo czy nam się to podoba czy nie, mass media w dużym stopniu rządzą światem. Dlatego zdobywcy, mówcie i piszcie o tym czego dokonaliście, bo inaczej popadniecie w niepamięć.



Piramida logistyczna Boningtona

rys. Jakub Węjski



# Góry dla Górali

Jak wiemy, Zakopane jest miastem położonym najbliżej jedynych w Polsce gór nadających się do wspinania. Niestety, powiedzenie, że z Zakopanego w góry jest najdalej, obecnie, prawie nie odbiega od prawdy. Tak się składa ostatnimi czasy, że nie wspinaczom tego miasta przypadają laury za odhaczenia, błyskotliwe łańcuchówki czy nowe drogi. Ale dlaczego? Przecież tradycja jest, góry są, "material ludzki" jest!

Aby spróbować dociec przyczyn takiego stanu rzeczy, rzucmy okiem na strukturę środowiska wspinaczkowego pod Giewontem. Z grubsza (zaznaczam - z grubsza - by jednostki wybiły się i nieklasyfikowalne nie pozostawiły się ułożone) osoby wspinające się można podzielić na trzy grupy. A więc:

- Najbliższe góry są ratownicy TOPR. Ci na ogół nie wspinają się, ponieważ muszą ratować życie ludzkie oraz w wolnych chwilach dbać o "image".

Dbanie o "image" musi odbywać się w miejscach widocznych i łatwo dostępnych dla ogółu. Aby rzucić się w oczy, trzeba jeździć na profesjonalnym rowerze i na nartach, bo jak wiadomo, człowiek wspinający się w ścianie tatrzańskiej jest w zasadzie niewidoczny. Wybitni Himalajści - to druga grupa. Ci nie wspinają się w Tatrach, ponieważ są w Himalajach. Lecz to zdarza się raczej rzadko. Najczęściej spotkać ich można na łagodnych stokach śnieżnych, gdzie nauczają jazdy na nartach, lub na połogich i trawiastych ścianach, przez które bezpiecznie przeprowadzają rzesze, na ogół płacące dewizami. O ile jest to konieczne, szkołą adeptów wspinania, choć jest to zajęcie zdecydowanie mniej dochodowe. Jeśli nie oddają się zadowoleniu z tych zajęć, bądźmy pewni, że kręcą własnym biznesem, wytwarzając lub sprzedając dobra materialne. Wytwarzają lub sprzedają po to, by zarobić na kolejną wyprawę, na którą nie pojadą, ponieważ muszą sprzedawać lub wytwarzać.

- Wspinaczom należącym do trzeciej grupy przyrzeczmy się najwnikliwiej, ponieważ najprawdopodobniej z czasem zasila szereg grupy pierwszej lub drugiej. O ile wcześniej nie zostaną Jednostkami Wybitnymi w innych dziedzinach. Są to Wspinacze Progresywni. Motorem ich działania jest tzw. Etos Osiągnięć. Podstawą Osiągnięć jest intelektualne podejście do koncepcji drogi oraz rozdzienie balona ideologii, dopóki nie pęknie np. z powodu wycofu, braku warunków lub dlatego, że ktoś bez balona, zrobi po cichu to, co właśnie tak pracowicie obmyślił.

Podstawową cechą drogi, na którą idą jest to, że musi być nowa. Oprócz tego krótka, ale za to bardzo krucha. Dobrze, jeśli znajduje się w rejonie mało uczęszczanym, na mało znanej turni, co gwarantuje brak powtórzeń. Kiedy kierunek natarcia zostanie już wykonceptowany, należy poczekać na odpowiednie warunki. Pogoda w Tatrach jest jak wieny kapryśna, nie ma

więc w zasadzie warunków, które nadawałyby się do wyjścia. Rzesze wspinaczy z całej Polski wspinają się co prawda, w każdą pogodę, ale skoro przejechali taki kawał, to muszą. Wspinacze Progresywni nie muszą, więc czekają. Ważnym elementem czekania jest piwo. (Odgrywa ono również ważną rolę na etapie koncepcyjnym). Tak więc, wyczekując na warunki piją piwo, a gdy warunki się robią, piją piwo, przegapiają je. Lecz kiedy wreszcie wyrwą się z zakłętą kłębą i moment ataku nastąpi, atakują i zwyciężają, ponieważ na ogół wspinają się świetnie. (Zainteresowanych odsyłamy do źródeł). Aby żaden Osiąg nie uszedł nicyzej uwagi, opominali lokalne media, w których dają świadectwo prawdzie.

Do niedawna Wspinacze Progresywni można było nazwać wspinaczami endemicznymi, ponieważ operowali głównie w rejonie Giewontu, Wielkiej Świstówki i Raptawicy. Wypadły w rejonu uczęszczane przez wspinaczy całego kraju, kończyły się niekiedy tragicznie z powodu braku znajomości topografii tychże. Na szczęście strefa wpływów się rozszerza.

Przedstawiciele grupy trzeciej, przebywając w obiektach PZA, alienują się i niepospolitują. Partnerzy "z zewnątrz" dobierani są rzadko i starannie.

Antorytety, zwane niegdyś "betonami", są dla nich antorytety, o ile akceptują koncepcje i nie próbują forsować własnych i o ile nie stawiają wymagań np. żeby zapłacić składki w Klubie lub lepiej nauczyć się topografii.

Cechą charakterystyczną Wspinaczy Progresywnych jest to, że bardzo trudno jest dobrać im się w zespoły wspinaczkowe. Bo jeśli jeden świetnie wspinają się w zimie, to drugi akurat nie, trzeci nie ma butów stosownych do pory roku, ponieważ nie ma pieniędzy, ponieważ nie pracuje, ponieważ musi się wspinąć. Następny nie wstaje przed jedenastą, kolejny ma zadane, jeszcze inny ma depresję (halny) lub kobietę. Ale w końcu takie spiętrzenie trudności czyni Osiąg jeszcze bardziej błyskotliwym.

Aby być do końca uczciwym w tej małej analizie i aby obraz środowiska był pełny, muszę wspomnieć o jeszcze jednej grupie, najmniej efektywnej: o ludziach, którzy wspinają się, bo lubią. Rozsądek lub życie nakazują im pracować lub uczyć się, a tzw. "Miłość do Gór", wygospodarowywać rozpaczliwie wolne dni, aby iść na wspinaczkę. No i się wspinają. Lepiej lub gorzej, więcej lub mniej, siedzą cicho, robią swoje i nikt dobrze nie wie, kim są i jak się nazywają.

I to już koniec. Wnioski nasuną się same lub nie. Ale na Boga! czy jeśli ktoś mieszka nad morzem od razu musi być marynarzem?!

B.S.

## Poważne zarzuty wobec Tomo Česena

Przyznam, że do napisania tego tekstu zainspirował mnie artykuł Grega Childa "Reasonable doubts" opublikowany w "Climbing" (lutym-marzec 1994). Chodzi o wątpliwości, jakie wytworzyły się w środowisku alpinistycznym po solowym wejściu Tomo Česena na Lhotse południową ścianą. Ale zaczniemy od początku.

Tomo Česen urodził się w Kranj w Słowenii w 1959 roku. Wspinał się m.in. na płd ścianie Alpamayo, płn. ścianie Piku Komunizma. W 1985 roku wszedł wraz z Borutem Bergantem (z użyciem tlenu) na Yalung Kang. Sam Česen wspomina to wejście jako bolesne doświadczenie, wszakże jego partner zginął, a on przeżył nieprzygotowany biwak na wys. około 8300 m. Rok później przeszedł trzy wielkie północne ściany alpejskie: Grandes Jorasses, Matterhorn i Eiger. W 1986 roku wszedł na Broad Peak i podjął próbę wejścia na K2 płd. ścianą. W 1988 roku przeszedł drogę "No Siesta" na Grandes Jorasses. Wiosną 1989 roku wspinał się płn. ścianą na Jannu. Wiosną 1990 roku była dla Česena przełomem. Celem jego mini-wyprawy była płd. ściana Lhotse. Później agencje doniosły: "Tomo Česen pierwszy pokonał w ciągu 48 godzin samotnej wspinaczki płd. ścianę".

I wtedy się zaczęło. Pierwsze wątpliwości pojawiły się w listopadzie 1990 roku po wejściu Rosjan na Lhotse (Bierszow, Karatajew), szlakiem wiodącym na prawo od drogi Česena. Bierszow zapytany o wejście Česena odpowiedział, że prawdopodobnie nie był on na szczycie, a jego zdjęcia Kotła Zachodniego niczego nie dowodzą, bo z wierzchołka Lhotse nie widać Kotła. A Bierszow nie jest w tej branży "kelnerem". Wszedł m. in. na Mt. Everest i Kanchenjunge. W oparciu o relacje Rosjan swoje wątpliwości zgłosił też Christophe Profit

i Ivan Ghirardini. Česen bronił się twierdząc, że Rosjanie nie znają się na nowoczesnym alpinizmie i nie mają pojęcia, jak szybko i efektywnie można się wspinać w Himalajach. Bierszow odpowiedział w swojej książce prezentując zdjęcia ze szczytu Lhotse zrobione o 16.16. Kocioł Zachodni nie był widoczny na zdjęciu.

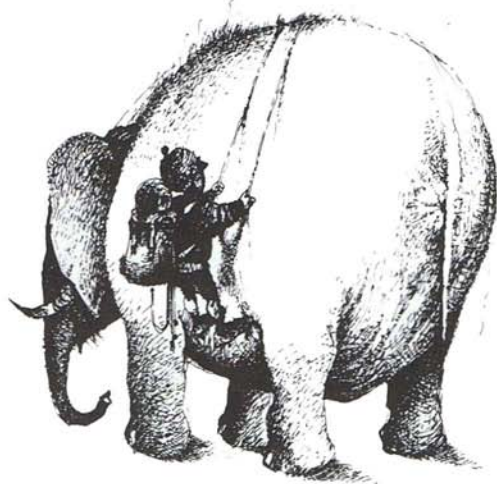
W obronie Česena stanął Pierre Beghin. "Jedną z najcenniejszych cech alpinizmu jest to, że wierzymy na słowo i tak długo, dopóki nie udowodni się kłamstwa, należy wierzyć". Wspaniała i szlachetna postawa, ale fali wątpliwości nie zatrzymała.

Latem 1992 roku Česen miał prelekcję w Wiedniu, notabene na zaproszenie i z inspiracji Reinholda Messnera. Chytry Tyrolczyk od razu wykrył niekonsekwencje w wypowiedziach Česena. Pół sześć, że opowiadał o złych warunkach w trakcie wspinaczki, podczas gdy prezentowane zdjęcia pokazywały świetną pogodę, ale także płał się w zeznaniach, czy asekurował się w zejściu, czy nie. Ponadto, wątpliwości Messnera wzbudził fakt, że Česen wszedł na wierzchołek w dziewięć dni po założeniu bazy, podczas gdy największym gigantom wysokości aklimatyzacja do tej wysokości zajmuje od dwóch do trzech tygodni. Oglądając film Česena stwierdził, że nigdy nie widział kogoś tak świeżego po zejściu z ośmiotysięcznika. "Mogę po oczach poznać, czy ktoś był na ośmiu tysiącach" powiedział potem Messner. Niby nie, a jednak wrażenia Messnera zrobiły swoje. Tomo Česen nie został mianowany do nagrody Śnieżnego Lwa.

To, niestety, nie koniec kłopotów. W lutym 1993 roku Viki Groselj (10 ośmiotysięczników na koncie), przeglądając (ponoć przypadkowo) rocznik czasopisma "Vertical" oniemiał, znajdując w artykule Česena swoje zdjęcie z próby w roku 1981 na płd. ścianie Lhotse. Oczywiście się wściekł i zażądał wyjaśnień. Česen twierdził, że to wina redakcji "Verticala", ale to nie uspokoiło Groselja. W końcu Česen musiał przyznać, że nie posiada żadnego zdjęcia z ponad 8000 m. Lato 1993 roku było jeszcze gorsze dla Česena. Messner stracił całkowicie zaufanie do niego, a na domiar złego Groselj wniósł przeciwko niemu oficjalne zażalenie. Najbardziej gwałtownie i nie przebiegając w środkach zaatakował go Ivan Ghirardini. W opublikowanym w "Verticalu" artykule zanegował wszystkie osiągnięcia Česena twierdząc, że nikt go nie widział wspinającego się na Eigerze, Matterhornie czy K2.

W tych paskudnych dla Česena dniach pomoc nadeszła z Ameryki. Wall Berg i Scott Fisher opisując dla Miss Hawley swoje impresje z Lhotse, wspomnieli o pomarańczowej butli tlenowej, widzianej przez nich na szczycie. Miss Hawley przypomniała sobie, że o takiej butli mówił Česen w swoim interview. Była to jednak dla niego niewielka pociecha, gdyż później Berg już więcej nie wspominał o tej butli. Prawdopodobnie nie chciał być tym, który potwierdzi (pośrednio) wejście Česena. Na tym kończy się chronologia zdarzeń wokół tzw. "sprawy wejścia płd. ścianą Lhotse". Česen wspina się dalej, pisze książki, redaguje przewodniki i występuje w telewizji. W Himalajach od tamtej pory jeszcze nie był.

Sprawa ta nie może być zostawiona bez komentarza. Mistyfikacje brzydzą każdego uczciwego człowieka. To,



Rys. Jakub Wiejacki



co się stało, kładzie się cieniem na naszym środowisku. Nie wolno pozostać wobec tego obojętnym. To już nie jest tylko sprawa honoru Česena. To przede wszystkim sprawa etyki. A może wyłącznie etyki. Czy Tomo kłamał, czy nie tego, oczywiście, nie wie nikt oprócz niego. I wszystkie przepychanki z pozamiennianymi zdjęciami, sprzeczne zeznania i impresja osób zaangażowanych w ten konflikt nie są takie istotne. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie żądał przeprowadzenia oficjalnego śledztwa. Każdy w swoim sumieniu wyznaczy, czy dać wiarę słowom Česena, czy nie. Ja chcę mu wierzyć, chcę wierzyć, że jego osiągnięcia są prawdziwe, że człowiek potrafi dokonywać takich rzeczy. I niech to szlag trafi, jeśli robi z nas konia.

Piotr Pustelnik

## Koniec znajomości

Tak to już jest, że od czasu do czasu każdym środowiskiem, obojętnie czy jest ono bardzo duże czy też całkiem małe, wstrząsają różne afery. Raz mogą to być ciekawe konfiguracje towarzyskie (stanowiące zazwyczaj tylko temat do plotek), innym znów razem tzw. sprawy personalne, które zwykle dzielą zarówno samych zainteresowanych jak i ich popleczników na zantagonizowane ze sobą obozy, są też niestety także i zjawiska o charakterze przestępczym. Te ostatnie, wydawać by się mogło, powinny spotykać się z powszechną krytyką i dezaprobatą, ale jak się okazuje, nie zawsze tak jest. A szkoda, bo czasami warto by przypominieć sobie czym białe różni się od czarnego...

Wspomniane zjawiska nie omijają rzecz jasna także i środowiska górskiego. Wprawdzie idealisci upierają się, że ludzie gór są w jakiś sposób lepsi od reszty populacji, ale niektóre przykłady zdają się nie potwierdzać postawionej tezy. No bo kto by wymyślił, że kapitan reprezentacji, mistrz i nauczyciel oraz idol w jednej osobie może okradać swoich kolegów i wychowanków. Mocna rzecz, przynajmniej sami. Mowa oczywiście o Andrzeju Marcisz, który pełniąc zaszczytną skądinąd funkcję przewodniczącego Komisji Wspinaczki Sportowej w Zarządzie PZA uprawiał haniebną procedurę przywłaszczania pieniędzy, przekazywanych przez Związek dla zawodników startujących w zawodach wspinaczkowych. Pomysł był tyleż prosty, co prymitywny, wystarczyło podrobić podpisy zawodników i pieniądze, przeznaczone na strawę i hotele trafiały do jego prywatnej kieszeni. Nazbierało się tego, bagatela, kilkadziesiąt milionów złotych, a jeśli kto woli bardziej stabilne waluty, to ładnych kilka tysięcy dolarów. Kiedy sprawa wyszła na jaw, bo zawodnicy zaczęli się wreszcie dopytywać, gdzie podziewa się przeznaczone dla nich dofinansowanie, Zarząd PZA (po długiej i burzliwej debacie nawiasem mówiąc) postanowił dać Marciszowi ostatnią szansę i nie kierować sprawy do sądu pod warunkiem, że wywiąże się on z szeregu zobowiązań: od oddania pieniędzy poszkodowanym poczynając, a na całkowitym zniknięciu ze środowiska kończąc. Oczywiście, został on natychmiast pozbawiony wszystkich pełnionych funkcji wraz z odebraniem stopnia instruktorskiego, co się rozumie samo przez się. Krótko mówiąc, został skazany na infamie i zapomnienie. Wydawać by się mogło, że takie bez wątpienia aż nadto

humanitarne, rozwiązanie spowoduje skruchę i rzetelne wywiązanie się z nałożonych rygorów. Okazało się jednak, że czasy dziesiętnym-włamywaczy minęły już dawno, a Marcisz rozpoczął serię wykrętów i uników, co na nowo postawiło pytanie o sens pobłażliwego traktowania przestępców pospoliczych.

Pieniądze wprawdzie zostały oddane, ale niezupełnie tak, jak przewidywała umowa. Formalnie odebrane książeczka instruktorska i odznaka ciągle jakoś nie mogą trafić do Komisji Szkolenia PZA; pojawiły się pogłoski, że będziemy mieli "przechłapanie" w Komisji Zawodów Wspinaczkowych UIAA oraz kilka innych bulwersujących drobiazgów. Jednak szczytem wszystkiego było nakłonienie poszkodowanych wcześniej zawodników do złożenia oświadczeń, że upoważnili kolegę Marcisza do kwitowania należnych im pieniędzy poprzez podpisywanie się ich imieniem i nazwiskiem. Jak widać, parę osób zatraciło zupełnie zdolność oceny zaistniałych faktów. Natychmiast zapomniano o złośliwości, matactwie i kręctwie, nie mówiąc już o elementarnych zasadach koleżeństwa - oddał forsz, no to nie ma sprawy! Taką postawę można od biedy tłumaczyć młodym wiekiem zawodników, ale już zupełnie pojąć nie sposób, dlaczego znacznie starsi kolezdy przeszli nad tą obrzydliwą aferą do porządku dziennego. Czy rzeczywiście nie ma sprawy?! Czy ktoś jeszcze wierzy w poprawę cwaniaka, który od kilku miesięcy ma jakiś powód, żeby nie stawiać się przed Sądem Koleżeńskim PZA? Czy nie pora przestać podawać rękę?

Jakby było jeszcze tego mało, także i Iwona Groniewicz-Marcisz dołączyła do stylu swojego męża. Zupełnie przypadkowo wydało się, że bezprawnie wykorzystana papier firmowy PZA i slingowała w imieniu Związku prośbę o zaproszenie do USA. Mówiąc wprost: dokonała ona oszustwa, bowiem wykorzystanie druku firmowego bez wiedzy i zezwolenia, jest nadużyciem bez wątpienia! I co, Państwo myślicie, że padło chociaż zdawkowe "przepraszam". Niestety, nic z tych rzeczy. Na postawione zarzuty nadszedł do Zarządu PZA list utrzymany w tonie jarmarcznych pretensji. Sens był taki (żeby darować sobie cytaty), że nie po to reprezentowała Polskę, i nie po to była jedyną zawodniczką o reputacji międzynarodowej, żeby się teraz prosić o głupie zaproszenie, tym bardziej, że takie rzeczy jej się po prostu z powodu zasług należą. A sprawa "firmówki" to drobiazg zupełnie, po prostu nie chciała zawracać głowy pracodawcy Hani, w końcu Sekretarz Generalny ma na głowie ważniejsze sprawy, niż jakieś tam podpisy na pismach kierowanych za granicę. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że nie chodziło tutaj o żaden wyjazd sportowy, bo to znów od biedy można by zrozumieć, ale chęć urodzenia dziecka w USA, o czym to Iwona nie bez satysfakcji powiadomiła ostatnio Zarząd PZA. - Tak, sporo trzeba tupetu (by nie powiedzieć chamstwa), żeby postępować w ten sposób. Przykre to, bo w końcu PZA całkiem nie po macoszemu przez wiele lat traktował państwa Marciszów, dofinansowując wszystkie ich starty - uzbierałoby się z tego parę groszy, no ale kto dzisiaj ma czas na głupie sentymenty, kiedy nie starcza nawet sił na zwykłą przyzwoitość. - A może nie mamy racji? Może zdziwienie obyczajów jest po prostu skutkiem ubocznym nadzbyt intensywnego treningu. Trzeba poszperać w literaturze fachowej, może się coś wyjaśni ...

Dziekan

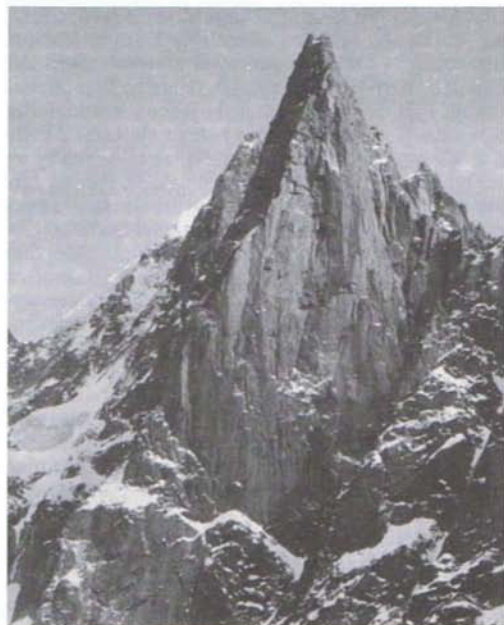
## Zachodnia Petit Dru zimą

Zimą '92 Komisja Sportowa PZA na wyjazd centralny do Chamonix wytypowała zespół w składzie: Jacek Fluder, Ryszard Pawłowski (kierownik) - obaj KW Katowice Janusz Gołąb, Ryszard Hołodniak, Bogdan Samborski - wszyscy KW Gliwice.

Celem zespołu z Katowic była płn. ściana Grandes Jorasses i na niej droga (Porwaznik-Glejduka VII- A2, lód 80-90°) szerzej znana jako "No Siesta". Niestety, zespół ten wycofał się po przejściu 14 wyciągów z powodu złych warunków lodowych.

Gliwiczanie obrali sobie za cel zach. ścianę Petit Dru i na niej drogę "Direttissime Française" (ED+, VI, a-b, A3). Droga ta poprowadzona w 1982 r. przez silny zespół z Christophem Profitem na czele, została szybko uznana za jedną z najtrudniejszych i najbardziej efektywnych dróg big wall climbing w masywie Mont Blanc. W 1987 r. wiele rozgłosu przyniosło pierwsze przejście zimowe tej dużej drogi przez zespół angielski. 23.02. wyjechaliśmy ostatnim wagonikiem kolejki na Grand Montets i z tamąd po zjedzeniu kolacji ruszyliśmy pod naszą ścianę. Po biwaku na Rogon Dru 24.02. późnym popołudniem weszliśmy w ścianę i po 8 dniach wspinaczki stanęliśmy na szczycie Petit Dru (3.03). Powrót nastąpił zjazdami ścianą, co kosztowało nas dużo zdrowia i sporo czasu. Do Chamonix dotarliśmy rano 4.03. po 30 godzinach akcji non-stop.

Niewątpliwie wielką atrakcją drogi jest jej piękno (wspaniałe monolity rozdarte ogromnym dachem pośredku, większość stanowisk wiszących, wielka ekspozycja). Kruszynę natrafiliśmy tylko na odcinku



Zach. ściana Petit Dru. Fot. A. Gąsienica-Józkowy.

wspólnym z drogą Harlina. Drogę zrobiliśmy z pięcioma biwakami, poręczając miejscami ścianę do 100 m. Pogodę mieliśmy bardzo dobrą, choć przedostatniego dnia już w pobliżu wierzchołka przeżyliśmy burzę śnieżną. Poczucie bezpieczeństwa dodawały codzienne odwiedziny helikoptera oraz dobre przygotowanie techniczne i świetna przyjacielska atmosfera panująca w zespole.

Po tygodniowym wypoczynku w Chamonix postanowiliśmy podjąć próbę przejścia znanej z niebezpieczeństw obiektywnych drogi "Rolling Stones" na płn. filarze Walkera w Grandes Jorasses (VII-, A3, 80°). Niestety, załamanie pogody uwięziło nas na pięć dni. Warunki śnieżne w górach na tyle się pogorszyły, że postanowiliśmy zmienić plany i przeszliśmy drogę "Cahumet" na ścianie Grandes Jorasses (17-18.03. - J. Gołąb, B. Samborski i spoza obozu Norbert Ziobler). J. G.

## Cordillera Real - 1988

W roku 1986 byłem współorganizatorem i uczestnikiem wyprawy Klubu Wysokogórskiego w Bydgoszczy w boliwijską Cordillera Real (patrz "Taternik"-1/87). Wyprawa dokonała wówczas wielu ciekawych wejść.

Rok później wyjechałem prywatnie do Peru na zaproszenie parasta Sagermann. W czasie rocznego pobytu w Puno dokonałem dwóch wypadów do niedalekiej (ok. 150 km) Boliwii. Pierwszy wyjazd - wiosenny, ze względu na duże opady, nie przyniósł żadnych rezultatów w działalności górskiej. Natomiast w trakcie wypadu letniego wszedłem na dwa szczyty w poznanej już wcześniej Cordillera Real. Działając w dniach 08.08. - 11.08.1988 w rejonie Chachacomani (6090 m) i Chearoco (6118 m) dokonałem wraz z Kazimierzem Mrozem i Eugeniuszem Jaworowskim wejścia na nienazwany szczyt ok. 5500 m w grani południowej Chachacomani.

W dniach 16-17.08.1988 wspinałem się wraz z E. Jaworowskim na Condoriri (5696 m). W dniu



Widok rejonu Condoriri z zaznaczoną drogą



17 sierpnia 1988 r. dokonaliśmy wejścia na ten przepiękny szczyt.

Oba wejścia zawdzięczam dobrej organizacji i świetnemu środkowi transportu, jakim był Nissan Patrol, będący własnością misjonarzy z La Paz.

Przebywając w La Paz i dysponując dobrym samochodem terenowym można dotrzeć niemal do wszystkich zakątków Cordillery w ciągu max. kilkunastu godzin. Jednak wspinaczy w górach nie spotyka się zbyt często.

Wejścia na szczyty:

Szczyt 5500 m (w grani pd. Chachacomani) - Eugeniusz Jaworowski, Kazimierz Mróz, Adam Pierzyński 10.08.1988

Condoriri (5696 m) - ścianą południową, lód 50-600 - E. Jaworowski, A. Pierzyński 17.08.1988

Adam Pierzyński

## W piątek, 13-ego...

Katowiczanie Ryszard Pawłowski, jedyny Polak biorący udział w amerykańskiej komercyjnej wyprawie Todda Burlesona, wszedł 13 maja 1994 r., po czterech dobach spędzonych na Przełęczy Południowej, na Mount Everest. Wraz z nim szczyt zdobyła czwórka Amerykanów: Pete Athans, Todd Burleson (guidowie), Robert Cedergreen i Paul Morrow (klienti) oraz pięciu Szwedów. Cała wyprawa liczyła 24 osoby - 12 memberów i 12 Szwedów, i trwała 6 tygodni (1 kwiecień - 18 maj 1994 r.)

R.P.

## ... i w czwartek, 16-go

Ryszard Pawłowski wszedł 16 czerwca 1994 (miesiąc i 3 dni po Everecie) na Mount McKinley (6194 m) na Alasce.

K.L.

## Polacy w Yosemite '93

Minionej jesieni w Dolinie Yosemite w Kalifornii panowała ładna i słoneczna pogoda. Jak zwykle przebywały tam rzesze gości z całego świata, wśród nich również polscy wspinacze.

Bogdan Kaleta i Kazimierz Śmieszko w dniach 27-31 października dokonali przejścia drogi "Zodiac" na El Capitan (VI, 5.11. A3). Zdaniem Śmieszki, dla którego była to już czwarta przebyte droga na tej ścianie, "Zodiac" ze względu na miejscami występującą kruszynę, jest drogą nieznacznie trudniejszą od przebytej przez niego w zeszłym roku "The Shield". Warto dodać, że obaj wspinacze mieszkają w USA - Kaleta od 4 lat w Nowym Jorku, a od niedawna w Charlotte w Pn. Karolinie, zaś Śmieszko rezyduje od 3 lat w Nowym Jorku. W tym samym czasie co wyżej wymienieni, działał w Dolinie inny polski zespół: Jacek Krawczyk i Stefan Wiśniewski przeszli m. in. "Salathe Wall" na El Capitan - z trzema biwakami. Również i oni mieszkają w USA od kilku lat - pierwszy z nich od paru miesięcy w południowej Kalifornii, a drugi w New Jersey.

W sierpniu w Yosemite śmierć poniósł Czech Miroslav Šmíd, znany alpinista, autor szeregu pierwszych przejść w górach na całym świecie, książek i filmów górskich, także byskotliwy prelegent. Wypadek wydarzył się na turni Lost Arrow, już po zakończeniu przez

Šmída drogi, w czasie zejścia ze szczytu. Tuż przed upadkiem znajdował się on na przełęczy pod turnią w skalnym terenie o trudności 5.6, jednak przyczyna wypadnięcia nie jest znana.

Władysław Janowski

## Z Alp francuskich

Od 27 grudnia do 5 stycznia w zachodniej ścianie Petit Dru (3733 m) wspinął się samotnie znany himalaista francuski, Marc Batard (41), który zamierzał poprowadzić nową bardzo trudną drogę pomiędzy diaretyssimami amerykańską i francuską. Zaopatrzył się w żywność na trzy tygodnie i w nowy typ wiszącego namiotu własnego pomysłu. Waga plecaka - jak podała prasa - dorównywała wadze samego, drobnej budowy, alpinisty (55 kg). Wspinaczkę utrudniały opady i wichury. Gdy się rozpogodziło, lawina kamienna zdestawowała namiot Batarda i pozbawiła go sprzętu. W tej sytuacji odwrót był jedynym sensownym rozwiązaniem. Równoległe zachodnią ścianą wspinął się 5 alpinistów rosyjskich, po dwóch dniach dali jednak za wygraną, zniechęceni pogodą.

Inny wspinacz z Chamonix, Alain Ghersen, wyjechał w styczniu do Argentyny, gdzie zamierza przejść samotnie słynną południową ścianę Aconcagua (6960 m) i to najtrudniejszą drogą - wytyczoną kilka lat temu przez alpinistów słoweńskich (a powtórzoną przez Polaków, Leszka Cichego i Ryszarda Kołakowskiego). Równoległe drogą francuską - pierwszą na tej ścianie - wspinac się będą Hugues Beaunille i Lucien Berardini, którego imiennik był 40 lat temu współautorem drogi.

W trzeciej dekadzie stycznia pogoda w Alpach nadal pozostawała kiepska, a masy śniegu były przyczyną tragicznych lawin. Jak podała żandarmeria, w sam tylko weekend 29-30 stycznia śmierć w lawinach poniosło 10 osób. Do największej tragedii doszło w Val d'Isère, gdzie życie straciło 5 brytyjskich lekarzy i ich francuski instruktor. Szósty Anglik został znaleziony nazajutrz w stanie głębokiej hipotermii. W rejonie Maurienne lawina wrzuciła do jeziora dwa pracujące ratniki - obaj kierowcy zginęli.

Tadeusz Woukonowicz (Chamonix)

## Alpy Francuskie - zima 93/94

Po deszczowej jesieni, kiedy to prawie bez przerwy padał deszcz oraz śnieg, można się było spodziewać, że na większości dróg lodowych będą tej zimy panowały wspaniałe warunki. Zapowiedzią tego było solowe przejście filara Croza na Grandes Jorasses przez Alison Hargreaves (10.11.93 - 8h). Co prawda została ona podwieszona przez helikopter pod ścianę i opuszczona nad szczeliną brzezną, a potem zabrana ze szczytu, ale Wielcy tego świata mają swoje przywileje - zresztą, niech każdy z nas przejdzie tę drogę w takim czasie, nawet za pomocą śmigłowca!

W tym samym czasie wydarzyła się tragedia alpinistów koreańskich, którzy podobno (z relacji świadków) skończyli drogę MacIntyre - Colton na Grandes Jorasses, a później trawersowali granią, by rozpocząć zjazd właśnie filarem Croza. Pomyśl był co najmniej dziwny. Po kilku godzinach zniknęli oni z oczu obserwatorów z powodu pogarszającej się pogody. Po kilku dniach, gdy warunki pozwoliły wreszcie rozpocząć akcję



Fot. A. Gąsienica Józkowy

ratunkową, połączone siły PGHM (ratowników żandarmerii górskiej) i Strzelców Alpejskich, znalazły pod ścianą zwłoki tylko jednego alpinisty.

Wracając jednak do zimy, to warunki lodowe były naprawdę bardzo dobre. W porównaniu do poprzedniego roku, kiedy niektóre ściany jak np. północna Les Droites, były nie do przejścia, tym razem było wprost wspaniale. Niestety, z pogodą było dokładnie odwrotnie - poprzedni sezon zimowy był słoneczny i ciepły, a w tym roku najdłuższy okres tzw. "lamy" trwał zaledwie 8 dni. Większość sezonu była przeplataniem dni z opadem śniegu z dniami deszczowymi i pojedynczymi dniami słońca. W krótkich okresach poprawy pogody kto żył wyruszał w góry, aby potem przez dwa tygodnie wyglądać chwili przejaśnienia. Ruch wspinaczkowy koncentrował się głównie w rejonie lodowca Argentiére oraz w masywie Mt. Blanc du Tacul. Największym powodzeniem, z powodu świetnych warunków ścianowych, cieszyła się północna Les Droites. Dokonano:

- \* 12 przejść drogi Cornuau - Davaille (TD+),
- \* 8 przejść drogi Gina - Jackson (ED),
- \* 5 przejść drogi Colton - Brooks (ED).

Północna ściana Les Courtes (drogi szwajcarska oraz austriacka) miała kilkadziesiąt przejść. Często uczęszczana też była północno-zachodnia ściana Pre de Bar (w grani zamykającej lodowiec Argentiére pomiędzy Mt. Dolent i Triolet). Jest na niej kilkanaście interesujących dróg miksowych i lodowych o długości do 550 m (patrz Vertical Nr 5/1988). Warto polecić tam przynajmniej dwie drogi: Petit Viking (TD-, lód 80%) oraz Madness Trés Mince (ED- trudny mixt 90%). Poza tym warto wyróżnić:

- \* 4 przejścia drogi MacIntyre - Colton (ED) i 2 przejścia Caillu (TD) na Grandes Jorasses oraz:
- \* 8 przejść Supercolnoir (TD+) na Mt. Blanc du Tacul.

#### Nowe drogi

\* północna ściana Les Droites: "Maria Callas Memorial" (ED, 6a, A4) 14 - 15.03.94.

R. Jasper, M. Roepert, J. Steinsberger.

\* północna ściana Grande Rocheuse (masyw Aig. Verte): "Late to say I'm sorry"

(ED+, A2) 16.02.94. R. Jasper, J. Heller.

\* północna Grande Rocheuse: "Visagel, suite et fin" (TD+) 8.03.94. P. Cieślak, T. Braguier, A. Gąsienica-Józkowy.

Droga jest 350 wariantem prostującym do "Visagel".

#### Polacy w Alpach

Bardzo ładnie powspinali się koledzy z Bielska-Białej: Janusz Hałas i Maciej Krywult. Na przełomie lutego i marca w ciągu 2 tygodni przeszli 4 drogi:

- \* Triangle du Tacul - Colnoir Chère,
- \* Mt. Blanc du Tacul - Supercolnoir,
- \* Les Droites - Cornuau-Davaille,
- \* Pre de Bar - "Petit Viking".

Przebywające na początku marca koleżanki Monika Niedbalska i Aleksandra Tomkiewicz miały mniej szczęścia. Po dniu wspinaczki i biwaku na filarze Walkera musiały się wycofać spod zacięcia Rebuffata z powodu wolnej wspinaczki, pogarszającej się pogody i ...niemożności osiągnięcia konsensusu.

Zupełnie nie mieli szczęścia do pogody koledzy z Torunia: Wiesław Ignatowski i Lech Flaczyński - w okresie ich pobytu było po prostu beznadziejnie.

W nieco lepszej sytuacji był Arek Gąsienica Józkowy, który mieszka teraz na stałe w pobliżu Chamonix i mógł wykorzystać dni najlepszej pogody. Oto przejścia Arka, o których pisze, że nie są zbyt rewelacyjne:

- \* Les Droites - Gina-Jackson (ED) z E. Mathieu w lutym 94.
- \* Aig. Verte - Colnoir Couturier (D) z Bartkiem Chychem w marcu 94.
- \* Pre de Bar - "Madness Trés Mince" (ED) z E. Mathieu.
- \* Pre de Bar - "Petit Viking" (TD-) solo w 2 godz.
- \* Triangle du Tacul - Colnoir Chère (D), solo w godzinę.

Arek Gąsienica Józkowy



## Zimą w rejonie Grossglocknera

W marcu 1994 r. wybraliśmy się (Krzysztof Kotoński, Iwona Mosiej-Skłódowska i Andrzej Skłodowski, wszyscy z Warszawy) na kilka dni w rejon najwyższego szczytu Austrii - Grossglockner (3798 m) w Wysokich Taurach. Trafiliśmy na paskudną pogodę - przez całe 7 dni pobytu w górach nie było mrozu, a słoneczną pogodę i bezchmurne niebo mieliśmy tylko przez 2 dni. Było bardzo lawiniasto i nie odważyliśmy się wchodzić na Grossglockner nawet normalną drogą, od północy.

7 marca (jedyne dni bezchmurnej pogody) wyszliśmy ze schroniska Hofmanns-Hutte o północy i po 7 godzinach marszu przez górą część lodowca Pasterze wspięliśmy się wschodnią flanką na Johannisberg (3460 m). Flanka ma charakter śnieżny i niewielkie trudności techniczne: sądzę więc, że w dobrych warunkach dałoby się nią zjechać na nartach.

Pogoda była, co prawda, kiepska - ale wyjazd udany, bo po górach pobiegaliśmy zdrowo. Każdemu, kto chce poznać zimną Alpy lodowcowe, spokojnie ten rejon polecam. Nie ma tu okazji do trudnych wspinaczek, ale można pokusić się - przy lepszej, niż nam się trafiła, pogodzie - o przejście długich, lodowych i skalno-śnieżnych dróg. Wszystkie schroniska mają zimowe pomieszczenia, w niektórych jest nawet gaz. A ceny w Austrii już w niczym nie różnią się od naszych.

Pod Grossglockner dotarliśmy od południa (od północy szosa jest zimną i wiosną zamknięta). Z wioski Heiligenblut szosa jest odsnieżana tylko na przestrzeni 4-5 km. Dalej idzie się zasypaną szosą do Franz Josef kilka ładnych godzin i to tylko nocą, bo jest to teren bardzo lawiniasty.

Andrzej Skłodowski

## Niewesołe wieści z Niemiec

\* Pamiętamy zeszłoroczną parotysieczną demonstrację niemieckich wspinaczy przeciwko zamykaniu terenów skałowych w Donautal. Okazuje się jednak, że władze, zdominowane przez różnej maści "zielonych", nie przejęły się masowością protestu. Z ogółem 506 masowych skałowych w obramieniu doliny, w trakcie wcześniejszych "rągów" wspinaczy przesunięto na 65 mniej atrakcyjnych obiektów. Z dniem 22 marca 1994 roku weszły w życie nowe uregulowania: wspinaczom pozostawiono już tylko 17 skał, i to z różnymi obostrzeniami pod względem czasu i dozwoleń dróg. Krajowa Federacja Baden-Württemberg DAV w kategorię czynny sposób odznacza się od tego nowego rozporządzenia, "nie szukającego nawet pozorów uzasadnień ekologicznych". Federacja stwierdza, że chodzi o pozabawienie wspinaczy niemieckich terenów o żywotnym znaczeniu nie tylko dla rozwoju samego sportu ale i dla pracy szkoleniowej, która miała zaplecze w postaci skałek Donautal. Federacja nie bierze odpowiedzialności za dalsze zachowanie się jej członków w terenie - czytamy w oświadczeniu.

\* Komórka Bezpieczeństwa Deutscher Alpenverein (DAV) od lat wyposaża popularne drogi skalne Alp niemieckich w komplety trwałe mocowanych punktów asekuracyjnych. Nie wszystkim się to podoba, dość częste są nawet przypadki dewastowania ubezpieczeń przez wspinaczkowych radykałów. W r. 1992 na południowej ścianie Berchtesgadener Hochthron przy takim procederze został rozpoznany austriacki przewodnik alpejski, który wspinając się opłowywał po kolej uszka haków. Sprawa wpłynęła do sądu, ciągnęła się jednak długo, gdyż winowajca mieszkał za granicą. Dopiero wiosną 1994 r. zapadł wyrok: 4 miesiące więzienia

"za rozmyślne niszczenie przedmiotów przeznaczonych dla publicznego użytku". Orzeczenie jest surowe ze względu na jego precedensowy charakter. A także dla odstraszenia od podobnych aktów wandalizmu w przyszłości. W trakcie rozprawy oskarżony wypierał się zarzucanego mu czynu.

[jn]

## Sztuczne ściany

Jak nas informuje Władysław Janowski z Nowego Jorku, jesienią zeszłego roku amerykańscy producenci sztucznych ścian doszli do wniosku, że w dziedzinie budowy tych obiektów panuje w Ameryce pełna bez troski swoboda. Każdy może ścianę zaprojektować, wzniesić i publicznie eksploatować - nie obowiązują tu żadne normy, nikt tej działalności nie kontroluje. Postanowiono powołać do życia zrzeszenie o nazwie Climbing Wall Industry Group (CWIG), które spróbuje całość tej problematyki uporządkować. W pierwszym rzędzie opracowano standardowe wymogi dla punktów przelotowych, które sprowadzić muszą obciążeniem co najmniej 4400 funtów. Zaproponowano kilka wariantów ich testowania. Jako pilne zadanie uznano wycofanie z użycia lin statycznych do asekuracji z góry. Jak tego dowiodły nieszczęśliwe wypadki z ostatnich lat, przy niewadze asekurującego bądź np. przy nagłym wypadzie w górę wspinacza i odpadnięciu dochodzi do dłuższych lotów, które przy linie statycznej prowadzą do poważnych urazów, szczególnie kręgosłupa. Zrzeszenie CWIG przyjęło pod swoje skrzydła wpływowa Outdoor Recreation Coalition of America.

[jn]

## Stumetrowy poślizg

3 maja, nad ranem, trójka grotolazów wyszła z Jaskini Litworowej Wielkiej. Trawersowali zbocza Doliny Litworowej w kierunku niebiesko znakowanej ścieżki, która prowadzi z Małolężniaka przez Kobylarz na Przysłop Miętusi. W trakcie tej wędrowki Dariusz S. z Jaworzna pośliznął się i obsunął ok. 100 metrów po twardym, złodowaciałym zboczu. Zatrzymał się uderzając plecakiem o wystający ze śniegu głaz. Uderzenie zamortyzował znajdujący się w plecaku kask renomowanej firmy Petzel. Kask rozszalał się w drobne kawałki, ale jego właściciel przeżył upadek.

W centrali TOPR meldunek o tym wydarzeniu odebrano o godz. 6.50. Pięciu ratowników - Robert Janik, Roman Rubin, Andrzej Ziarko, Piotr Bukowski i Andrzej Blacha - przedostało się na miejsce wypadku śmigłowcem pilotowanym przez Tadeusza Augustyniaka i Andrzeja Brzezińskiego. Cztery z nich desantowały się w pobliżu ranego. Następnie helikopter przysiadł na ramieniu Kobylarza i zabrał na pokład pechowego grotolaza, o godz. 8.30 pasażer był już w zakopiańskim szpitalu. Stwierdzono u niego liczne rany thiezne głowy.

Jak powiedział Andrzej Blacha - lot śmigłowca przedziwiał się o ponad 10 minut, ponieważ grotolazi nie znali międzynarodowego sygnału wywołania pomocy. W tej samej okolicy znajdowały się jednocześnie dwie inne grupy i nie było wiadomo, kto z nich oczekuje na ratowników.

Tygodnik Podhalański 18/94

## Ewa Panejko na Shisha Pangma

Ewa Panejko wchodząca w skład Austriacko-międzynarodowej wyprawy poświęconej pamięci Wandy Rutkiewicz weszła na środkowy wierzchołek (8008 m) Shisha Pangma.

# Warunki szczegółowe uprawiania taternictwa na obszarze TANAP-u wydane na podstawie ustawy nr 11/1949 Zb. oraz Rozporządzenia Słowackiej Komisji Środowiska Naturalnego nr 166/1991 Zb.

Dla odwiedzających obszar TANAP-u, do poruszania się, wyznaczone są środki komunikacji publicznej oraz znakowane szlaki turystyczne (zwane dalej w tekście ZST). Poza siecią ZST wyprawy oraz wycieczki można podejmować na obszarach do tego przeznaczonych, w towarzystwie przewodników górskich, którzy są uprawnieni do wykonywania tej działalności oraz posiadają ważne zezwolenia Dyrekcji Parku w Tatrzańskim Łomnicy.

Taternictwo mogą uprawiać tylko alpinisci zorganizowani w narodowych związkach alpinistycznych, którzy są zobowiązani do przestrzegania następujących warunków:

1. Na określone tereny wysokogórskie poza ZST taternicy mogą wchodzić jedynie w celu wykonania wspinaczki o stopniu trudności wyższym niż II w/g klasyfikacji taterniczej z warunkiem, że wykorzystają trasę najmniej szkodliwą z punktu widzenia ochrony przyrody. Drogi o I i II stopniu trudności mogą być w sezonie letnim wykorzystywane tylko przy zejściu, natomiast w sezonie zimowym (od 21.XII do 21.III) w obydwu kierunkach, jeśli teren tej trudności jest wykorzystywany przy zimowych obozach kwalifikacyjnych. Każdy alpinista zobowiązany jest posiadać przy sobie ważną legitymację swojego związku alpinistycznego. Poza przewodnikami górskimi TANAP-u, do wzięcia ze sobą osoby trzeciej, która nie posiada uprawnień na zejście z ZST, uprawnieni są tylko instruktorzy alpinizmu w czasie kursu dla początkujących - kandydatów, na co jest potrzebne specjalne zezwolenie Dyrekcji TANAP-u.

2. Nie zezwala się na noclegi poza obiektami noclegowymi (schroniskami). W szczególnych przypadkach (czasochłonne wejście, nowa droga, konieczność spowodowana wypadkiem albo pogodą) można wyjątkowo rozbić biwak podczas wyprawy. O planowanych trudniejszych kilkudniowych przedsięwzięciach (np. zimowe przejście granią główną itp.) należy wcześniej pisemnie powiadomić Horską Służbę TANAP. Zorganizowane grupy wspinaczki mają do swej dyspozycji wysokogórskie obozowisko w Dolinie Białki. Służą one jedynie dla kwalifikowanego taternictwa i nie jest ogólnodostępne. Miejscami na obozowisku dysponuje Horską Służba TANAP. Wszystkie pozostałe obozowiska taternicze są zlikwidowane.

3. Przed wyjściem na wspinaczkę taternicy są zobowiązani zostawić wiadomość o kierunku i celu wyjścia w bazie wyjściowej lub w obozowiskowej książce wyjść. Jeżeli równocześnie podadzą czas powrotu, to przekroczenie go o 6 godzin uważa się za bezpośrednią prośbę o akcję ratunkową H.S. Przy zorganizowanych ekspedycjach kierownik ekipy natychmiast po przekroczeniu przypuszczalnego czasu powrotu, zobowiązany jest zorganizować akcję ratowniczą wraz z pozostałymi członkami ekspedycji.

4. W sezonie zimowym, alpinisci spełniający punkty 1 i 2 mogą przy podejściu na wspinaczkę oraz przy powrocie z niej, wykorzystywać te oznakowane szlaki

turystyczne, które są w okresie od 1 XI do 30 VI zamknięte dla pozostałych turystów. Mogą też, dla ułatwienia poruszania się, wykorzystywać narty.

Równocześnie ich wyposażenie musi jednoznacznie wskazywać, że chodzi im o wejście taternicze a nie o ski-alpinistyczne.

5. Obszary TANAP-u, na których działalność taternicka jest całkowicie zabroniona, a wejście do nich poza siecią ZST nie jest dozwolone nawet dla przewodników górskich:

a. Całe Tatry Bielskie.

b. Dolina Kołowa ze wszystkimi przylegającymi kotłami i ścianami, jak również część Doliny Czarnej Jaworowej ograniczone od południa Czarnym Potokiem i grania Śnieżnych Tumi.

c. Huncowska Kotlinka włącznie z południowo-wschodnią częścią Rakuskiej Czuby.

d. Masyw Szerokiej Jaworzyńskiej aż po pld-zach. Żabi Jaworowy Wierch, Dolina Rówienki, Dolina Świstowa, górna część Doliny Białej Wody i cała grań Młynarza włącznie z Doliną Żabią Białczańską, pld granice tego obszaru tworzy linia: Żabi Szczyt Wyżni - Ciężki Staw - Rohatka; dla taterników i przewodników górskich TANAP-u dozwolony jest dostęp do Doliny Ciężkiej po nie znakowanym szlaku Potoku Ciężkiego.

e. Dolina Sławkowska włącznie ze skalnymi ścianami aż po Granaty Wielkie, na które wejście i zejście jest również zabronione tak dla taterników, jak i dla przewodników górskich.

f. Dolina Stwońska - ograniczona od pn grania Tępa - Kończysta i od pld ZST (Magistrala Tatrzańska).

g. Obszar Krywania ze wszystkimi przylegającymi graniami i dolinami, tj. Dolina Niewyrcy, Krywańskie Koryto, Szkaradny Żleb, Dolina Ważeczka, Dolina Sucha Ważeczka, od pld-nwsch. granicę tworzy Grań Hrubego a wschodnią granicę tworzy grań od Siedelka po Ostrą.

h. Tatry Zachodnie - oprócz zimowego przejścia główną granią od 21.XII - 21.III, które należy wcześniej zgłosić w Horskiej Służbie TANAP Tatry Zachodnie - Południe albo Północ, działalność taternicka jest zabroniona. Wyjątkiem są skałki szkoleniowe poza rezerwatami przyrody, na których czasowy i przestrzenny reżim określa specjalna umowa pomiędzy Dyrekcją TANAP-u, właścicielami gruntów i miejscowymi związkami alpinistów.

W Tatrzańskiej Łomnicy

28 czerwca 1993

inż. Ivan Volosencuk, CSc.

Dyrektor TANAP-u

W Starym Smokowcu

28 czerwca 1993

inż. Irena Gallova, wr

Kierownik Okręgowego Urzędu

Środowiska Naturalnego

## Free country...

Z rozсланego po całym świecie biuletynu Yosemite National Park Service dowiadujemy się o nowych regulacjach prawnych w randze prawa federalnego w sprawie defekacji na ścianach El Capitan i innych okolicznych szczytów. Otóż poczynając od 1 maja 1995 roku wspinacze są zobowiązani prawem do załatwiania swoich potrzeb zgodnie z instrukcją 36CFR 2.14b, która:

\* nakazuje defekowanie do torebek papierowych o rozmiarach tzw. śniadaniówki (lunch-sack size).



\* zezwala na użycie małej ilości chlorowanego wapna jeżeli ktoś jest "obrzydliwy".

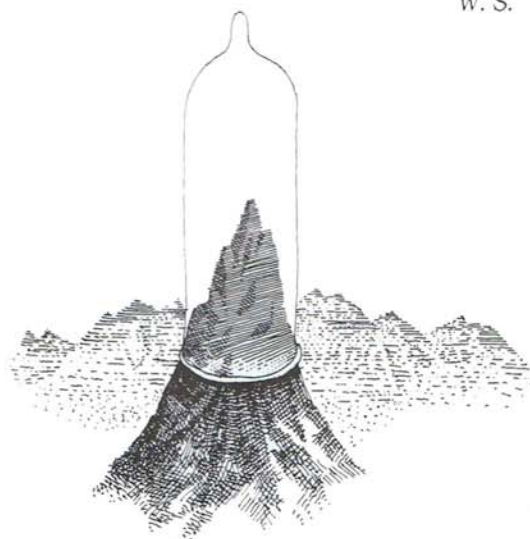
\* nakazuje włożenie wypełnionej "śniadaniówki" do szczelnie zamykanego pojemnika plastikowego, a tego z kolei do plecaka.

\* stawia wymóg dostarczenia pakunku do wyznaczonych kłozetów z zastrzeżeniem, że w toaletach można zostawiać wyłącznie owe wypełnione torebki papierowe.

W sprawie bliższych informacji należy kontaktować się z Yosemite Wilderness Office, P.O. Box 577, Yosemite, CA 95389.

Kto by pomyślał, że to nowatorskie rozwiązanie w wizjonerski sposób przewidział nasz rodak Piotr Korczak w swoim eseju eksperymentalnym "Dolina Białej Wody". Pisał on mianowicie: "... dajcie każdemu worek plastikowy, niech robi i oddaje doń. Zdeponuje się to później w chatce kierownika taboriska wraz ze szczególnym dossier i kartą zdrowia oczywiście" (str. 10). Paradoks dziejowy sprawił, że przytoczone wyżej regulacje prawne nie powstały ani w łonie ślaczalego cielska PZA, ani w redakcji periodyka T... tego oficjalnego organu płciowego pięknotuchów polskiego alpinizmu), ani też w dyrekcji TPN. Niestety i tym razem musimy oddać pierwszeństwo wolnej demokracji amerykańskiej.

W. Ś.



## Bezpieczeństwo przede wszystkim

Rys. Jakub Wicjacks

## Aconcagua 60 lat później

W dniu 8 stycznia 1934 r. polska ekipa w składzie Konstanty Narkiewicz Jodko, Wiktor Ostrowski i Stefan Osiecki stanęła na najwyższym szczycie całej Ameryki. Aconcagua (6960 m). Wejścia dokonano od wschodu, było to piąte wejście na szczyt, pierwsze drogą inną (i o wiele trudniejszą) aniżeli normalna. Zwic się ją dziś Drogą Polaków a lodowiec - Glacier de los Polacos. W dniu 9 stycznia 1994 a więc niemal dokładnie w 60-lecie, na szczyt Aconcagua wszedł katowicki alpinista, Ryszard Pawłowski, który w tym

roku chciałby wejść na najwyższe szczyty wszystkich kontynentów.

Wspominając działalność polskich alpinistów sprzed 60 lat dodajmy, że dwie nasze wyprawy - z lat 1934 i 1937 - zapisały się na trwałe w historii zdobywania Andów. Z 5 najwyższych gór Ameryki 3 Polacy zdobyli jako pierwsi ludzie. Oprócz obu nazw na Aconcagua, przypominają ich m. in. takie nazwy, jak Pico Polaco, Glaciar Karpiński czy Glaciar Ostrowski.

(jn)

## 200 lat Smokowca

Stolica Tatr Słowackich obchodzi 200-lecie istnienia. Pierwszy dom letni wystawił tu właściciel terenów, hr. Istvan Csaky, a inicjatorem założenia letniska był Thomas Mauksch, kaszodzieja z Wielkiego Sławkowa, przyrodnik i znawca Tatr. Miejsce wybrano u źródła smacznej kwaśnej wody, gdzie z dawien dawna odbywały się ludowe majówki, kiedyś być może o podłożu kultowym. Jednym z pierwszych Polaków był tu Stanisław Staszic, który w r. 1805 notuje w dzienniku: "Na dole pod Koilbachem są wody kwaśne i kąpiele, zwane Sławków. Nowe pobudowania. Zjeżdżają się dosyć licznie Węgrzyni z Orawy." Śródlęgne osiedle zaczęło się rozrastać w mały kurort, który w r. 1814 został oddany w pacht hotelarzom. Najbardziej zaszuhowanym dzierżawcą był w l. 1833-67 Johann G. Reiner, często wspominany także w polskich opisach tatrzańskich podróży. Z jego czasu pochodzi najstarszy zachowany zabytek uzdrowiska, willa "Flora", przeniesiona do Smokowca w r. 1839 spod Popradu, w r. 1983 odrestaurowana (wystawy). Z czasem rozwinęły się osiedla satelitarne: Nowy Smokowiec, założony w r. 1875 przez dra Mikłosa Szontagh, potem Dolny Smokowiec (1881-82) i wreszcie Górny, który powstał w 20-lecie międzywojennym. Interesujący problem stanowi nazwa miejscowości - u turystów polskich niemal do I wojny światowej w powszechnym użyciu była niemiecka forma "Szneks".

Stary Smokowiec stanowił centrum administracyjne dla rejonu słowackich Tatr Wysokich, był stolicą powiatu, tu też wybudowano siedzibę HS TANAP. Ok. 1990 r. cała aglomeracja miała 3700 łózek, 1900 w sanatoriach (choroby dróg oddechowych), 600 w domachczasowych ROH i 1150 w bazie hotelowej. Z okazji jubileuszu przygotowano szereg imprez, jedną z nich była wystawa historyczna w willi "Flora".

(jn)

## Nagroda Prezesa UKFiT

W dniu 20 grudnia 1993 r. w gmachu Hotelu Europejskiego w Warszawie odbyło się galowe spotkanie Prezesa Urzędu Kultury i Turystyki z wybitnymi trenerami i szkoleniowcami polskiego sportu. Po raz pierwszy w dziejach PZA wśród wyróżnionych znalazł się instruktor alpinizmu, Nagrodę indywidualną II-go stopnia otrzymał Wojciech Święcicki, przewodniczący Komisji Szkolenia i Bezpieczeństwa Górskiego PZA. Gratulujemy!

## Wielka księga węzłów

Niezłomowany Wacjo Sonelski kończy prace wydawnicze nad wielką księgą węzłów dla taterników i żeglarzy oraz innych użytkowników supłów i supelków. Ilustratorem księgi jest Sylwek Koperkiewicz znany ze świętych rysunków do Waciowego podręcznika "W skale".

Dnia 16 września '93 r. Amerykanka Lynn Hill i jej rodak Brooke Shandahl dokonali pierwszego klasycznego przejścia drogi The Nose na El Capitan w Yosemite w Kalifornii, prawie 35 lat po pierwszym (hakowym) przejściu tej drogi, zrobionym przez Warren'a Hardinga, Wayne'a Merry i George'a Whitmore. Hill "pracowała" nad klasycznym przejściem w sierpniu wspólnie z Anglikiem Simonem Nadinem, Sandahl również podobnym próbom na "Nosie" latem poświęcił wiele czasu. On też w czasie decydującego przejścia prowadził wszystkie łatwiejsze wyciągi, zaś ona najtrudniejsze. Do Hill więc należy uklasycznienie dwóch dotychczas hakowych fragmentów drogi: Wielkiego Okapu (23 wyciągi) i 30 wyciągu nad Obozem 6. Trudności na obu zostały wycenione na 5.13b w skali amerykańskiej, co równa się w bliższej nam skali UIAA X-. Całość pokonano w stylu redpoint, oryginalną drogą, z pominięciem wahadła z Boot Flake trawersem Ray'a Jardine'a na 16 wyciągu. Jeżeli chodzi o "czystość" przejścia, to purysci winni być prawie usatysfakcjonowani: na drodze dobito zaledwie jednego spita (30 wyciągi), a w kilku miejscach oczyszczono szczeliny z ułamanych haków. Droga liczy 34 wyciągi, trudności - poza wspomnianymi 5.13b - wynoszą: 5.12c/d i 5.12b/c - po jednym wyciągu 5.8, 5.6 i 4.

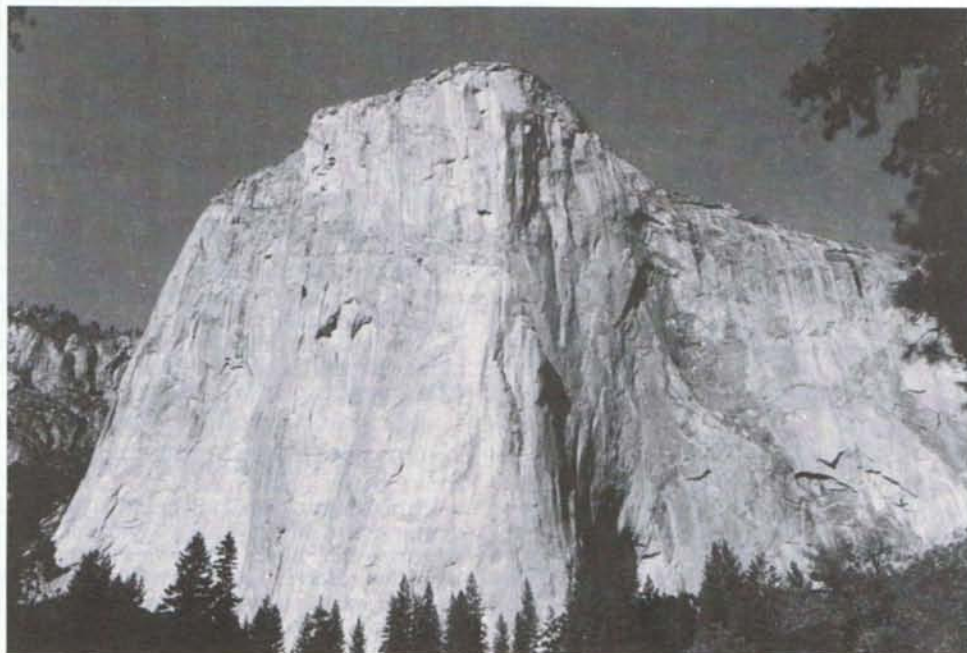
The Nose, która stanowi najpopularniejszą drogę na El Capitan, teraz stała się jedną z dwóch dróg klasycznych - po Salathé Wall - w głównym spiętrzeniu El Cap'a, zaliczanych zarazem do najtrudniejszych tego typu wspinaczek na świecie. Pozostając jeszcze przy "Nosie" dodajmy, że w sierpniu br. rekordowego przejścia samotnego drogi dokonał Hans Florine (USA) w czasie 14 godzin i 11 minut, poprawiając poprzedni rekord z '90 r. Steva Schneidera aż o ...7 godzin i 33 minuty.

*Władysław Janowski*

\* Lynn Hill, 16 września '93 r.

Lynn Hill jest obecnie jedną z najsłynniejszych kobiet wspinających się. Z pochodzenia jest Amerykanką, ale od trzech lat mieszka na południu Francji. Po około dziesięciu latach uczestnictwa w zawodach postanowiła wycofać się z nich, aby zacząć uprawiać nieco odmienny rodzaj wspinania. Najważniejszym z jej ostatnich projektów było pierwsze klasyczne przejście Nose na El Capitan w dolinie Yosemite, co udało jej się zrealizować w sierpniu 1993 roku. Na ścianie tej wraz ze swoim przyjacielem i partnerem Brooke'em Shandahlem zrobiła dwie drogi. Pierwsza z nich biegnie pod Wielkim Okapem, który jest symbolem Nose, druga prowadzi dokładnie poniżej tarasu zwanego Camp IV. W najbliższym czasie chciałaby pójść jeszcze raz na tę drogę, aby przejść ją w ciągu jednego dnia.

Pierwsze kroki na skale stawiała w Yosemite i Joshua Tree w Kalifornii mając lat 14. W wieku lat 17 zrobiła swoją pierwsze poważniejszą drogę - Half Dome w Yosemite. Wtedy w Stanach Zjednoczonych wspinano się w sposób tradycyjny i opracowywanie dróg było czymś nieetycznym. Miała okazję obserwować wszystkie etapy rozwoju wspinania klasycznego. Wiele rzeczy wcześniej niedopuszczalnych zostało zaaprobowanych wraz z pojawieniem się wspinaczki sportowej. Gdy miała 22 lata, przeprowadziła się do Nowego Yorku i tam zaczęła opracowywać drogi. Robiła widoczne postępy i w 1984 roku po raz pierwszy udało jej się pokonać trudności 7c+ na drodze Vandals w rejonie Shawangunks w Stanach Zjednoczonych. W latach 1986 - 1990 odnosiła duże sukcesy na zawodach wspinaczkowych. Po raz pierwszy wystartowała w Arco we Włoszech, gdzie zajęła drugie miejsce, zaraz za Catherine Destivelle. Następne lata stanowiły pasmo sukcesów. Zdobyła Grand Prix Francji w Troubat w 1987, 1988 i 1989 r. Wygrała Mondial Indoor w Grenoble oraz Open International w Marsylii w 1987 r. W latach 1987- 1990 i 1992 r. zajmowała pierwsze miejsca na





zawodach w Arco, a w 1988-1990 w Bercy. W maju 1989 r. w Buoux spadła z 25 metrów uderzając plecami o ziemię. Na szczęście gałąź nieco zamortyzowała upadek i skończyło się na zwichnięciu łokcia i niegroźnym przecięciu mięśnia. Trzy miesiące później na zawodach w Snowbird w Stanach Zjednoczonych była druga. W pierwszych mistrzostwach o puchar świata zajęła piąte miejsce, w 1990 roku pierwsze (ex aequo z Isabelle Patissier), w 1991 siódme, w 1992 trzecie. W 1989 i 1990 roku zostaje ogłoszona pierwszą kobietą wspinającą się przez ASCI (Association of Sport Climbers International).

Od 1993 r. brała udział w zawodach jedynie okazjonalnie. Chciałaby rozwijać się w nieco innym kierunku. W pewnym momencie stwierdziła, że zawody zaczęły ją za bardzo ograniczać. Wymagały coraz większej specjalizacji. Osiąganie dobrych wyników wymagało niemal całkowitego poświęcenia się im i treningu w zasadzie wyłącznie na sztucznych ścianach. Wspinanie przestało być przyjemnością, nie znajdowała już czasu na wspinanie się na długich drogach. Wejście na Nose to początek zmian. Zamknięcie pewnego etapu życia i kariery.

Aktualnie pisze książkę, w której chce podzielić się doświadczeniami, które zdobyła podczas swoich dziewiętnastu lat wspinania. Zamierza również zrealizować film o Nose, w którym chciałaby przypomnieć historię jego zdobywania i spróbować pokazać właściwy sens tego, co robi. Następnie planuje udać się na trekking do Nepalu i Pakistanu, aby trochę poznać góry wyższe, z którymi nigdy nie miała bliższej styczności. Pragnie wciąż odkrywać nowe rzeczy - poznawać nowych ludzi, kultury, zwiedzać obce kraje.

(Alpirando)



Lynn Hill. Fot. Pascal Tournaire

## Z ostatniej chwili

Jak podaje "Alpirando", jednodniowego przejścia Nose na El Capitan dokonał żeński zespół Nancy Feagin i Sue McDevit w czasie 17 godzin.

## Informacje praktyczne dla wyjeżdżających do Francji

### Ubezpieczenia:

\* F.F.S "Carte Neige" - cena 210 F, ważna na rok od 15 listopada do 14 listopada roku następnego (!), obejmuje wszystkie kraje Europy oraz Maroko, Tunezję, Nepal i Indie. Obejmuje: alpinizm, turystykę, narciarstwo, ale (uwaga!), nie obejmuje speleologii. Ważna zaleta: ubezpieczenie pokrywa koszty pobytu w szpitalu do 12.500F (dla przykładu operacyjne składowanie ręki czy nogi kosztuje ok. 5-9 tys. franków) oraz transport do domu.

Sumy gwarancyjne: poszukiwania i akcja ratownicza do 100.000 F. Polisę można wykupić w Chamonix w Maison de la Montagne.

\* S.A.F. - cena 115F, ważne na rok od daty zakupu, ważne we Francji, Włoszech, Austrii, Szwajcarii i Hiszpanii. Obejmuje narciarstwo i alpinizm oraz turystykę. Sumy gwarancyjne do 100.000F.

\* S.A.F. Plus - cena 230F, jak wyżej, ale ubezpieczenie jest ważne we wszystkich krajach Europy zachodniej. Obie polisy można wykupić w Chamonix w biurze AGF Assurances przy ulicy Paccarda 223.

\* F.F.M.E. - cena 150F, ważne od 1 stycznia do 31 grudnia, dla obcokrajowców działa tylko na terenie Francji. Obejmuje narciarstwo, alpinizm i speleologię oraz turystykę. Sumy gwarancyjne: poszukiwania i transport do 30.000F, kaletwo 80.000F, śmierć 40.000F.

### Kolejki:

\* Aig. du Midi - w górę 135F, w obie strony 165F.

\* Montenveres - w górę 44F, w obie strony 56F.

### Schroniska:

\* noclegi od 75F do 90F, wyjątek stanowi Cosmic na Aig. du Midi - 145F.

## Schroniska masywu Mont-Blanc

WYKAZ NADESLANY PRZEZ CLUB ALPIN FRANCAIS

ALBERT. Tel. 50540620. Wysokość: 2706 m. n.p.m. Czynne: 21 - 23.05, 11.06 - 11.09, 18 i 25.09. 153 miejsc. Potwierdzać telefonicznie. 50531603.

Bardzo łatwe dojście wyraźną ścieżką z Balme lub Charamillon (różnica wysokości 500 m, czas ok. 2 godz.), lub z Le Tour ścieżką przez morenę (różnica wysokości 1300 m, czas dojścia 2 - 4 godz.). Wspaniały widok na Glacier du Tour i Aiguilles Rouges. Skala trudności szlaków stąd wychodzących bardzo zróżnicowana (zarówno łatwe jak i trudne).

ARGENTIERE. Tel. 50531692. Wysokość: 2771 m. n.p.m. Czynne: 12, 19.02, 26.02 - 15.05, 25.04 - 11.09. 150 miejsc. Potwierdzać telefonicznie u kierownika. 79281963.

Łatwo dostępne. Można wjechać z Les Grands

Montets kolejką linową lub pieszo przez Glacier du Rognon lub przecinając Glacier d'Argentiere. Uwaga szczeliny! Należy zabrać linę i raki. Czas dojścia 1,5 - 2 godz. Latem również z Lognon przez morenę i Glacier d'Argentiere (różnica wysokości 900 m. czas 3 - 4 godz.). Wiosną doskonałe warunki narciarskie. Piękny widok na les Droites, les Courtes i la Verte.

CONSCRITS. tel. 50095896 lub 50546251, wysokość 2730 m. n.p.m. Czynne: 26. 27 marca, 2 - 4 kwietnia, 11.04 - 1.06. 15.06 - 27.09. 56 miejsc. Potwierdzać telefonicznie u kierownika. 50546251.

Dojście łatwe, lecz długie. Można podejść z Cugnon do hotelu Tre La tete (2 godz.), potem prawą stroną lodowca i wiosną kulwarem poniżej schroniska. Latem podążać za niebieskimi oznaczeniami. (3-4 godz.). Czekan i raki niezbędne. Wiosną doskonała baza dla narciarzy, latem dla wspinaczy. Można spotkać liczne kozice.

COUVERCLE. Tel. 50531694. Wysokość 2687 m. n.p.m. Czynne: 1. 8. 12 - 15 maja, 18.06 - 25.09. 128 miejsc. Potwierdzać telefonicznie u kierownika. 50472399.

Łatwo dostępne. Wjazd kolejką z Montenvers, następnie ścieżką, przez lodowiec, potem metalowymi drabinkami ścieżką aż do schroniska. Czas dojścia 4 godz. Uwaga! Na początku lodowca mogą być szczeliny. Konieczne raki. Wspaniały widok na Jardin de Talevre i Grandes Jorasses. Skala trudności szlaków stąd wychodzących bardzo zróżnicowana (zarówno łatwe jak i trudne).

DURIER. Tel. 50477625. Wysokość 3358 m.n.p.m. Czynne: 25. 06 - 18.09. 24 miejsca.

Trudno dostępne. Dojście przez La Gruvaz, Miage, Plan Glacier (7 godz.) lub Lac Combal (7 godz.), a także ze schroniska Conscricts. Wypożyczenie wspinaczkowe niezbędne. Konieczna rezerwacja. Można oglądać wspaniałe zachody słońca.

ENVERS DES AIGUILLES. Tel. 50531603. Wysokość: 2523 m. n.p.m. Czynne: 19 VI - 2 X. 68 miejsc.

Łatwo dostępne. Kolejką z Montenvers, potem ścieżką, przez metalowe drabinki, następnie znowu ścieżką aż do schroniska, pilnując się żółtych oznaczeń. Czas dojścia 2 - 3 godz. Najszybciej i najłatwiej można dotrzeć z Montenvers. Doskonały rejon wspinaczkowy.

GRANDS MULETS. Tel. 50531698. Wysokość: 3051 m. n.p.m. Czynne: 3.04 - 19.09, 70 miejsc. Tel. kierownika 50472482.

Trudno dostępne. Trzeba przejść przez dwa lodowce (3-5 godz.). Niezbędne wyposażenie wspinaczkowe (czekan, raki, lina). Uwaga! Spadające kamienie z Aiguille de Midi. Należy założyć kask i iść jak najszybciej.

GOUTER. Tel. 50544093. Wysokość: 3800 m. n.p.m. Czynne: 12. 06 - 3. 10. 116 miejsc. Potwierdzać telefonicznie u kierownika. 50472391.

Dojście trudne i niebezpieczne. Podczas trawersu kuluaru przez cały czas spadające kamienie. Należy założyć kask i przechodzić jak najszybciej. Czas dojścia 3 - 5 godz. Normalna droga na Mont-Blanc. Można oglądać wspaniałe zachody słońca.

LESCHIAUX. Tel. 50531603. Wysokość 2431 m. n.p.m. Czynne: 25.06 - 18.09. 15 miejsc.

Łatwo dostępne. Dojście jak do Couvercle, lecz należy ominąć drabinki i iść przez Glacier de Lescheux. Czas dojścia 3 - 4 godz. Należy zabrać raki. Wspaniały widok na Grandes Jorasses.

REQUIN. Tel. 50531696. Wysokość: 2516 m. n.p.m. Czynne: od początku stycznia do 15.05, 18.06 - 5.09, 74 miejsca.

Łatwo dostępne. Dojście jak do Envers des Aiguilles z tym, że należy iść przez Mer de Glace i Glacier du Tacul. Na początku sezonu trzeba uważać na ukryte szczeliny. Po twardym śniegu lub piarżysku dojść do drabinek, potem ścieżką w prawo. Zielone oznaczenia. Czas 3 - 4 godz. Konieczny czekan i raki. Schronisko bardzo spokojne latem. Wspaniały widok na Perades.

TETE ROUSSE. Tel. 50582497. Wysokość: 3167. Czynne: 11.06 - 30.09. 68 miejsc.

Łatwo dostępne. 100 m ścieżką w lewo za Nid d'Angle. Jeżeli lodowiec jest zmarnięty wejść 150 m na grzbiet, a stąd już płasko do schroniska (2 - 3 godz.). Zaleca się zabranie raków i czekana. Wspaniały widok na Pogórze Alpejskie, Jurę oraz północny stok Aiguille de Bionnassay. Można spotkać liczne kozice i oglądać wspaniałe zachody słońca.

Przy L'ENVERS DES AIGUILLES, LE COUVERCLE i LE REQUIN spotyka się świstaki. Przychodzą po jedzenie. Można im dawać jedynie ciastka i chleb.





Rafał M. Kardaś

## Polski alpinizm jaskiniowy 1991 - 1992



Jakie były te lata w polskim taternictwie jaskiniowym? Lepsze? Gorsze, aniżeli kilka poprzednich? Na pewno były inne. Po latach "ucieczki w górę", "biura podróży PZA", fenomenowi dynamicznej ekspansji, wraz z całym krajem dryfujemy w kierunku normalności. A ta, przejściowo, niejako nadzieję, dość mocno nas ogranicza. We wspomnieniach ożywiają wcale nie tak dawne czasy, kiedy posiedzenia Podkomisji Wypraw Zagranicznych KJT rozpalały namiętności w całym środowisku: walczone o pieniądze, o status imprezy centralnej, o wejście do składu centralnego, o zatwierdzenie ekip wypraw klubowych, a zwłaszcza przepchnięcie chytrze zakamuflowanych pod różnymi postaciami "taterników jaskiniowych kandydatów". W dwa lub trzy dni wysokościowego wyrobnicstwa zarabiano się na pokrycie kosztów udziału w wyprawie. A jak musiała się nawiązać czołówka, aby obsłużyć ten cały nie kończący się korowód imprez!

To już minęło. A co przed nami? Na razie jeszcze całkiem nie wiadomo, gdyż do wyraźnego przesilenia i przewartościowania dochodzi jeszcze niewątpliwa wymiana pokoleń. Co ci nowi wyniosła, zanim posiwieją im skronie - zobaczymy, nie popadałbym jednak w typową dla okresów przejściowych desperację.

### Ubożuchny rok wyprawowy 1991

Cała działalność zagraniczna to kilka zaledwie wyjazdów. Jedyna wyprawa zimowa - Speleoklubu Dąbrowa Górnicza (kierownik Dariusz Pietak) do jaskini Klondike, leżącej w Alpach Karnijskich na pograniczu Austrii i Włoch, niedaleko szczytu Tragkofel, zakończyła się bez ciekawszych rezultatów. Próby eksploracji na głębokości ok. 700 m nie przyniosły oczekiwanych odkryć.

Latę działały w Austrii dwie ekipy, firmowane przez KJT PZA. Dobre wyniki dała kontynuacja eksploracji rozpoczętej rok wcześniej w jaskiniach masywu Hoher Goll. Zespół kierowany przez Piotra Kaizika "pogłębił" Koboldschacht (K-42) z -470 do -677 m. W Windigschacht (K-1) z ok. -270 m dotarło do -647 m, przerywając eksplorację nad ok. 100 - metrową studnią. Powiększono nieco głębokość Radfahrerröhle (K-6) - z -240 do -300 m, odkryto także nową jaskinię (K-14), w której osiągnięto -248 m. Dodać należy, iż w żadnej z tych jaskiń eksploracja nie została ukończona, a perspektywy na przyszłość pozostały bardzo obiecujące: jak za najlepszych lat!

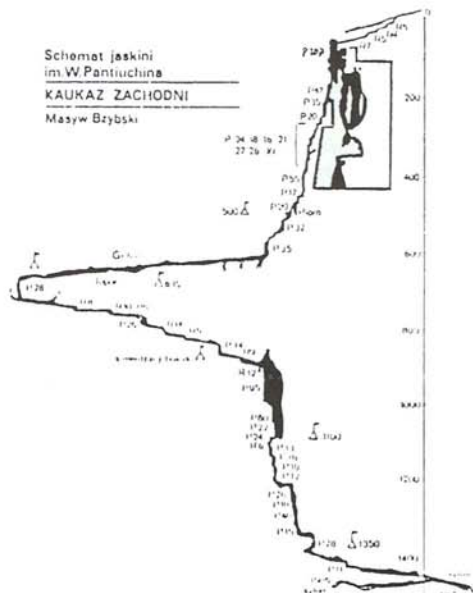
Mniej szczęścia mieli uczestnicy drugiego z wyjazdów centralnych, działający pod kierownictwem Andrzeja Ciszewskiego w jaskini E-4 w Tennengebirge. Złe warunki wodne nie pozwoliły na zaatakowanie głównego problemu: błotnistej szczytyny z silnym przewiewem powietrza ponad sytonem -747 m, w której prze-

wano eksplorację w r. 1988. Celem zastępczym stał się boczny ciąg odchodzący na -250 m, który jednak na -430 m ponownie połączył się ze znanymi już partiami. Z tej głębokości nastąpiło wycofanie się. Penetrując okolicę odkryto i wyeksplorowano ok. 60 jaskiń o głębokościach sięgających kilkudziesięciu metrów, a następnie przeniesiono się w Leoganger Steinberge, by zapoczątkować górna część systemu Lamprechtsolten przed planowaną wyprawą zimową.

Połączone siły bielsko-gliwickie (kierownik Jerzy Ganszer) działały w drugiej na liście najgłębszych jaskiń świata, kaukaskiej Jaskini Pantuchina (w paśmie Bzybzkim). Niestety, zawiedli Gruzini, którzy mieli dostarczyć część sprzętu, z konieczności więc skoncentrowano się na eksploracji partii przytworowych. W jej rezultacie odkryto ok. 450 m nieznanych ciągów o deniwelacji ok. 300 m, schodzących na głębokość ok. 400 m.

Speleoklub Wrocław zorganizował jesienią wyjazd w hiszpańskie Picos de Europa. Ekipa pod kierownictwem Grzegorza Winkelbauera osiągnęła głębokość 552 m w jaskini A/30 (w r. 1989 Andrzej Panów z Gliwic dotarł w niej samotnie do ok. -280 m). Interesujący problem jest nadal otwarty.

W Alpach Apuńskich ekipa Speleoklubu Akademickiego Kielce (kierownik Wiesław Krupski) osiągnęła w komplecie dno zaporcęzowanej przez Włochów Abisso Oliviera, najgłębszej jaskini Italii (-1215 m), jako pierwsi Polacy. Dokonane w trakcie wyprawy spore odkrycia mieszanego zespołu eksploracyjnego należy (jak twierdzą sami uczestnicy) przypisać w większości współpracującej dwójce włoskiej. We Francji bawiła grupa grotolazów bielskich, przechodząc szereg wariantów w systemie Felix Trombe (Corno d'Ilyouernedo). Zwiedzano również jaskinie Rosji i Ukrainy: Ruczejną-



Zabliższych - najgłębiej do -210 m - oraz Optymistyczną (STJ Kraków), a także najgłębszą w Belgii (-140 m) Tron Bernard (bielszczanie).

### Nadzieja w Tatrach

Po okresie pewnej "posuchy", w Tatrach odnotować można kilka mocnych akcentów, i to zarówno eksploracyjnych, jak i sportowych. Zaczynijmy od tych pierwszych. Najciekawsze, chociaż owiane dyskretną mgiełką tajemnicy, były odkrycia w systemie Ptasiej Studni. Sądeczanie nie osiedli na laurach po dołączeniu do niego jesienią 1990 r. Jaskini nad Dachem (T. 1/91 s.52). Dalsza eksploracja Partii Sądeckich w r. 1991 przyniosła podobno ok. 1200 m dziewiczego terenu, w tym dużego (jak na Tatry) podziemnego jeziora, liczącego 20 m długości. Czekały na szczególniejsze relacje i, oczywiście, na dalsze odkrycia. Na razie, dla częściowego przynajmniej zaspokojenia ciekawości czytelników, zamieszczamy przekrój, który nie zmieścił się w poprzednim numerze, a który ilustruje stan z listopada 1990 roku.

Zakopiańczyk - Grzegorz Albrzykowski, Szczepan Masny oraz Witold Cikowski, Stanisław Kurek i T. Związ - kontynuowali eksplorację w Snieżnej Studni, głównie w jej wschodnim odgałęzieniu. Wspinali się m. in. w 55-metrowym Kominie na Świat, prowadzili też dalsze zjazdy w studniach Boskich Marmitów (od ok. -510 do -580 m).

Aktywne było, jak zwykle, środowisko wrocławskie, tradycyjnie skupiające się na "powiększaniu" Wielkiej Snieżnej, ale nie tylko. Swoje "5 groszy" grotolazi z Wrocławia dorzucili także w Ptasiej Studni i w Dudnicy. W pierwszej z nich zaatakowany został jesienią porastający już nieco kurzem problem kończącej jaskinię Szczeliny Strzygi. Niestety, po pokonaniu zacisku, okazało się podobno, że korytarzyk grzęźnie po kilku metrach w beznadziejnie wąskim syfonie, bez szans na dalszą eksplorację. Uzyskano w każdym razie nieznaczne pogłębienie jaskini - o około 5 m, czyli do około -356 m.

W grudniu 1991 r. miało miejsce treningowe nurkowanie w jaskini Dudnicy. Podczas powrotu, płynący jako pierwszy Wiktor Bolek odkrył we wstępnym syfonie odgałęzienie w kierunku Jaskini Bystrej. Wejście do doprowadzającego wodę zalanego korytarza przegrodzone było kamieniem, który przy pierwszym dotknięciu osunął się, odsłaniając możliwość przejścia. Eksploracji na razie nie kontynuowano.

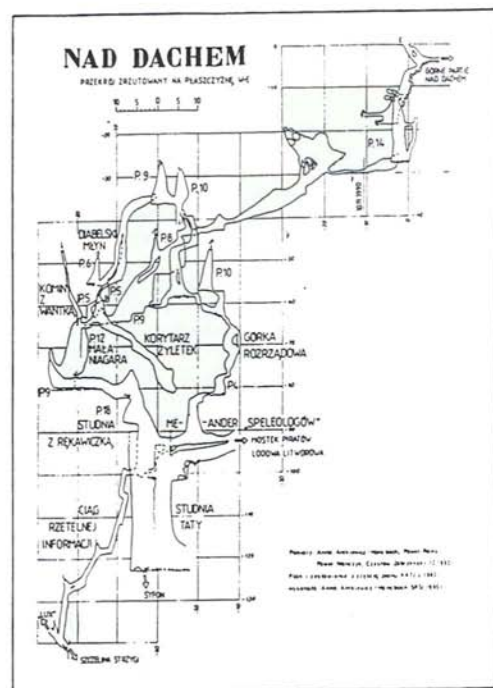
Nurkowali też wrocławscy w Jaskini Snieżnej, w syfonach doprowadzających wodę do V Wodospadu. W dniu 22 lutego 1991 r., za poznany już Syfonem Krakowskim, zaatakowany został odkryty podczas ich poprzedniego nurkowania (16 listopada 1990) Syfon Magdy. Jako pierwszy pokonał go Andrzej Stupak. Zalany wodą korytarz o przekroju średnio ok. 1,5 metra i długości ok. 35 m doprowadza do prostej szczeliny, której dnem płynie woda zasilająca syfony. Po kilkunastu metrach szczelina ta zwęża się w zacisk nie do sforsowania, co kończy praktycznie możliwości dalszej eksploracji. Zza zacisku słychać odgłos ogromnego wodospadu. Jednocześnie atakowano też obiecujący problem zaciskowy w Galerii Krokodyla. Kilka dni wcześniej (13 - 16 lutego) Grzegorz Jabłoński i Wojciech Skoczylas wyeksplorowali nowe połączenie pomiędzy Partiami Zakopiańskimi a korytarzem prowadzącym do Partii Wrocławskich (odkrycie 130 m). Pracowano również nad problemem w Salce Rysi.

Pewne próby podjęto również w Jaskini nad Kotlinami, gdzie 31 marca Wiktor Bolek i Oskar Orzechowski kontynuowali eksplorację w kominach ponad Studnią Szywały. Niestety, ku ich rozczarowaniu, zjazd doprowadził z powrotem nad wymienioną studnię. Dzięki powyższym odkryciom system Wielkiej Snieżnej osiągnął łączną długość ok. 9790 m.

Nie zapomniano także o mniejszych jaskiniach, czego wynikiem było kolejne kilkadziesiąt metrów odkryć poznaniaków w partiach nad Wielkim Kominem w Lodowej w Ciemińniku (styczeń - kwiecień). Z dokonanych pozatatrzańskich wspomnień należy ok. 220 m nowych korytarzy w Jaskini Wiernej koło Ostrężnika, stanowiących wynik eksploracji S. Heroda i T. Szczecińskiego (Jurański Klub Jaskiniowy) oraz Z. Rysieckiego i M. Wilka (KKS). W rezultacie tych odkryć w kwietniu 1991 r. Jaskinia Wierna wysunęła się na pierwszą pozycję wśród najdłuższych jaskiń Jury (1027 m). Odkrycia miały też miejsce w najgłębszym na obszarze Jury Studniisku, gdzie, po wykonaniu przekopu, członkowie Speleoklubu Częstochowa dotarli do nowego dna na głębokości -75,5 m (długość jaskini zbliżyła się już do 300 m).

### Zdobywcy podziemnych ścian

Znakiem czasów jest dalszy rozwój typowej polskiej konkurencji, jaką jest wspinaczkowe pokonywanie głębokich jaskiń od dna do otworu. Wyzwanie to, traktowane dotychczas raczej incydentalnie, podjęła na dużą skalę czwórka warszawskich grotolazów: Marcin Francuz, Krzysztof Guzek, Stefan Stefanski i Tomasz K. Pryjma. I to z rozmachem oraz świetnymi rezultatami, wyrażającymi się dwukrotnym pobiciem rekordu Polski (a być może i świata, oczywiście w odniesieniu do pokonywania jaskiń już znanych, a nie długotrwałej i wieloetapowej eksploracji jaskiń rozwinętych od dol-





nego otworu (w górę). Przebieg zmagania w Snieżnej Studni przedstawiliśmy w "Taterniku" nr 1 z 1991 r. (s. 34-35). Kolejny rekord to pokonanie 754 metrów pionu J. Wielkiej Snieżnej w 195 godzinnej wspinaczce (8-15 XII) o trudnościach V+, A3, 33e. Dodać należy, że autorzy przejść zostali odznaczeni brązowymi Medałami za Wybitne Osiągnięcia Sportowe.

### Wokół Polany Rogoźniczańskiej

Obozowisko PZA, działające pod miłym kierownictwem Zosi i Alka Chruścielów, stanowiło oparcie dla dwóch imprez ogólnopolskich, finansowanych przez KTJ PZA. Były to obozy unifikacyjne, pomyślane jako wsparcie działalności tatrzańskich grotolazów młodszego pokolenia. Pierwszym z nich, zorganizowanym w dniach 1-10 lipca przez członków KKTJ, kierował Roman Pitak. Drugi odbył się między 16 a 30 sierpnia, a organizacyjnie obsługiwany był przez członków Speleoklubu Dąbrowa Górnicza (kierownictwo sprawowali Andrzej Porębski i Zofia Chruściel). Udział w obozach wzięli przeważnie koledzy o niedużym stażu, stąd wśród licznych akcji jaskiniowych nie ma przejść wybitniejszych pod względem sportowym, ale i na te zapewne przyjdzie kolej. W każdym razie, jak relacjonują organizatorzy imprezy sierpniowej, "na uwagę zasługuje duża intensywność wyjść jaskiniowych, mimo generalnie niekorzystnych warunków atmosferycznych panujących w Tatrach w okresie trwania obozu. Dopiero szczególnie ciężkie załamanie pogody w ostatnich dniach (...) ograniczyło działalność (...). W akcjach brali udział członkowie różnych klubów, co wpływało korzystnie na wymianę informacji, technik i metod stosowanych w poszczególnych środowiskach."

Wydaje się, że powrót do zwyczaju organizowania ogólnopolskich imprez tatrzańskich jest w obecnej sytuacji koncepcją słuszną, a utrzymywanie relatywnie taniej bazy noclegowej PZA może mieć coraz istotniejsze znaczenie dla taterników jaskiniowych czasów kryzysu.

### 1992 Wielki trawers

Wytrwała ekipa weteranów eksploracji Lamprechtsofen miała w końcu swoje wymarzone święto: pierwsze przejście największego trawersu jaskiniowego świata - różnica wysokości pomiędzy otworami wynosi przecież 1473 m! Sprawny zimowy "blitzkriegiem" ekipy KTJ PZA kierował, jak zwykle, Andrzej Ciszewski, a całość przedsięwzięcia omówiona jest w osobnej notatce.

### Lato eksploratorów

Zgodnie z prognoząmi, najwartościowsze konkretne wyniki przyniosła wyprawa w Hoher Göll, zorganizowana wspólnie przez KTJ i środowisko katowickie a kierowana przez Piotra Kaizika. W spory system rozbudowano Windigshacht (K-1), pogłębiając ją oraz dołączając Radfahrerröhle (K-6) i 119-metrowej głębokości jaskinię K-19. Długość całości wynosi już 5435 m, zaś deniwelacja 821 m (-723,+98 m). W Koboldschacht (K-42) zrezygnowano z uciążliwego atakowania dna, wyszukano jednak w wyższych partiach ciąg otwierający nowe, ciekawe perspektywy eksploracyjne. Odkryto także 25 nowych jaskiń, z których największe rozmiary osiągnęły w obecnym stadium poznania: Schacht in der Klippe (K-20) - głębokość -290 m (pomiar do -250 m) i długość 850 m oraz Siebenhöhle (K-18) - odpowiednio -267 m i 623 m. Łącznie odkryto ok. 3160 m niezanych korytarzy.

Kolejny etap działań zmierzających do nadbu-

dowywania systemu Lamprechtsofen "od góry" rozpoczęła wyprawa krakowska (KKTJ) pod kierownictwem Andrzeja Ciszewskiego. Głównym obiektem ataków stała się leżąca kilkadziesiąt metrów wyżej niż górny otwór (i znacznie oddalona) jaskinia Vogelschacht (-761 m). Odkryto bardzo obiecujący, ale skomplikowany i trudny w eksploracji ciąg zmierzający we właściwym kierunku. Mimo zbadania przeszło 500 m korytarzy, perspektywy połączenia wydają się na razie dosyć odległe. Otworzono też dalsze możliwości, odkrywając kolejną, jeszcze wyżej położoną jaskinię (na razie ok. 100 m głębokości), mającą szansę na połączenie z Vogelschacht.

Rekonesansową wyprawę Sekcji Grotolazów KW Wrocław w maszyn Hockkönig poprowadził Grzegorz Jabłoński. Zmudna eksploracja odkrytej jaskini SG 1/1 (ciasnizny, przekopy) przyniosła osiągnięcie ok. -300 m (długość ok. 880 m), z dalszymi możliwościami. W wyniku działalności powierzchniowej znaleziono jeszcze 23 inne jaskinie, znacznie jednak płytsze (do -98 m).

Rozczarowanie spotkało nieliczną ekipę Sekcji Taternictwa Jaskiniowego KW Kraków (kierownik Artur Amirowicz), która zaatakowała swój nie dokończony w r. 1990 problem w Steinernes Meer - jaskinię GK-3 (-242 m). Pogłębienie, które udało się uzyskać, jest na razie nieznacznie (syfon na -280 m oraz w innym miejscu -246 m), pozostał jednak interesujący meander z wodą, który poznano do -159 m, z braku czasu nie kończąc eksploracji.

Rekonesans w Karawankach przeprowadzili grotolazi z Bielska-Białej, a starający się o uzyskanie zezwolenia na działalność w Totes Gebirge zespół kielecko-krakowski kartował jaskinię Trunkenboldschacht (859 m: -854, +5 m).

### Dzielną solistką i inni

Nie samą eksploracją człowiek żyje, nie zabrakło więc ekip pragnących w wakacje po prostu zmierzyć się z jakąś znaną, głęboką czełusią. Wśród nich wyróżnić należy niewątpliwie (a właściwie - jedynie) śmiałą akcję Anny Gajewskiej (Kielce, Speleoklub Warszawski) we włoskiej Abisso Olivifer. W znanej sobie z poprzedniego roku jaskini dokonała ona samotnego przejścia do końcowego syfonu na -1215 m, korzystając ze stałego oporęczowania (własną linę wieszała tylko na ostatnim 50-metrowym progu). Przejście zajęło jej 53 godziny - z dwoma biwakami na -900 m. Podczas wcześniejszych prób zabezpieczający jej akcję grotolazi z Katowic nie znając systemu nie zdołali dotrzeć do dna, pogubiwszy się w skomplikowanym terenie (jeden zespół osiągnął ok. -1100 m, drugi ok. -900 m).

Groźny wypadek na samym początku wyprawy przewrzał akcję bielszczan w drugiej jaskini Włoch, Complesso Figliera-Corchia (wg ostatnich zestawień deniwelacja 1182 m). Siedmiometrowy upadek Pawła Wojtasa spowodowany był ukruszeniem się chwytu podczas schodzenia z wyższego poziomu korytarza, co było konsekwencją pobłądzenia. Incydent nastąpił ok. 500 m od otworu Serpente, na głębokości ok. 50-60 m, podczas powrotu z akcji. Obrażenia były poważne (pęknięcie śledziony), jednak sprawna akcja ratunkowa zorganizowana przez Corpo Nazionale Soccorso Alpino (oczywiście z udziałem uczestników wyprawy) zakończyła się szczęśliwie. Największą osiągnięcią przez zespół głębokość stanowiło dojście do najniższego otworu do dna (-488 m?). Kierował wyprawą Wacław Michalski.



Pozostałe działania zaliczyć można raczej do kategorii turystyki jaskiniowej, np. objazd 6 maszywów Alp Salzburskich w 2 tygodnie, czy zwiedzanie jaskiń Słowackiego Krastu.

### I znowu Tatry

Najciekawsze wydarzenia związane były, zgodnie z tradycją ostatnich lat, ze Snieżną Studnią i systemem Ptasiej Studni. W pierwszej z nich ekipa zakopiańska zjechała na dno Studni Boskich Marmitów, napotykając na głębokości -675 m rzekę płynącą ze wschodu na zachód, zamkniętą syfonem. Dwukrotne nurkowanie w Syfonie Drzemianym doprowadziło zespół wrocławsko-zakopiański do osiągnięcia głębokości 13 m (Wiktor Bolek), co powiększyło deniwelację jaskini do 740 m (-703, +37 m).

W sezonie zimowym 1991-92 system miał już długość ok. 5 km, w tym 4800 m skartowane.

Wiele solidnej pracy włożyli znowu członkowie SKTJ (Anna Antkiewicz-Ilanbach, Czesław Zabrzeński, Marek Lorczyk i inni) w Partiach Szadeckich Ptasiej Studni. W wyniku odkryć długość tych ciągów wzrosła do ok. 2 km (1700 m skartowane), a cały system ma już zapewne ok. 5 km, chociaż podanie ostatecznych danych wymaga jeszcze żmudnych prac kartograficznych i obliczeniowych. Wykonanie pomiarów doprowadziło do weryfikacji szeregu danych głębokościowych.

W marcu 1992 r. w końcowych partiach Jaskini Miętsiej eksplorację prowadziła polsko-czeska ekipa, firmowana przez AGH Kraków (kierownik Jarosław Rogalski), w kilku miejscach odkrywając łącznie ok. 200 m nowych korytarzy. Wstępne zestawienie i konfrontacja z dotychczasową dokumentacją wykazują, że dzięki temu po raz drugi w Polsce przekroczono "magiczną granicę" 10 km, uzyskując długość ok. 10 010 m.

Z eksploracyjnych drobniaków wspomnieć można jeszcze wyszukanie nieznanej 20-metrowej studni w Wielkiej Litworowej (Speleoklub Warszawski), a z nowych pomysłów - pierwsze wspinaczkowe przejścia Wielkich i Ciasnych Kominów Miętsiańskich (Agnieszka Gajewska i Krzysztof Rieciński na przełomie stycznia i lutego 1992 r.).

\*\*\*

Rok 1992 zamknął Walnym Zjazdem Delegatów Klubów i Sekcji Tatarnictwa Jaskiniowego PZA kolejną kadencję KTJ, a zarazem i pewną epokę. W miarę normalnienia sytuacji Związku, czyniliśmy starania, aby pozbyć się niepotrzebnych już przepisów i stopni, modyfikować programy szkolenia. Drastycznie stopniła ilość możliwych do "zagospodarowania" środków z budżetu resortu sportu. Nastąpiło też wyraźne przewartościowanie motywacji i ograniczenie liczby osób gotowych sięgać po cele najambitniejsze. Znikło dopinające działanie poprzedniego systemu politycznego (codzienna szarżyzna i brak szerszych perspektyw - wobec możliwości atrakcyjnej przygody ze sportowym paszportem w kieszeni), można więc mniemać, że na popularyzacji zyska model wyjazdów turystyczno-poznawczych, rekreacyjnych, wakacyjno-rodzinnych. I choć lża się w oku kręci na wspomnienie kraczących po najatrakcyjniejszych regionach krasowych świata dobowych "zagonów" zdobywców podziemi, którzy nic, tylko załoić, pogłębić, połączyć itp., to bez wątpienia ogólny poziom ulegnie obniżeniu a obraz środowiska zmieni się na bardziej zachodni, bo iluz może być naprawdę wybitnych i "nawiedzonych" osobników wśród ok. 800 zrzeszonych w Polsce grotołazów (z czego tylko

część jest faktycznie aktywna). Przy niedostatku środków, centralna działalność sportowa ulegnie siłą rzeczy przejściowemu przynajmniej ograniczeniu na korzyść wyjazdów klubowych czy całkiem towarzyskich, finansowanych w każdym razie z własnej kieszy, a więc niezależnych programowo. Dla ambitniejszych zamiarów stanie ponownie (jak przed laty), lecz na innych oparty zasadach) problem sponsoringu. Sądzę, że w dobie kryzysu najważniejszymi zadaniami KTJ PZA będzie czuwanie nad sprawami szkolenia (podstawowego i instruktorskiego) oraz możliwościami działania na terenach chronionych, utrzymanie bazy tatrzańskiej i podtrzymywanie spójności środowiska (a także, co podkreślano w zjazdowej dyskusji - przyciągnięcie do PZA klubów niezrzeszonych). A reszta jakoś ułoży się sama.

Die Berichtsjahre 1991-92 waren in der polnischen Höhlenforschung bedeutend schwächer als die vorhergehende Zeitspanne. Die Erforschung der Karstgebiete des Hohen Göll (Österreich) ist fortgesetzt worden. Eine neue Höhle (-238 m) wurde entdeckt, im Koboldschacht und im Windigschacht ist es den Speleologen gelungen bis -677 und -821 m (-723, +98 m) vorzudringen. Eine im Hochkönig entdeckte Höhle konnte auf 300 m Tiefe und 8880 m Länge erforscht werden. In der Pantluchin-Höhle (Kaukasus) wurden 300 m Schächte entdeckt. In den Picos de Europa (Spanien) ist die A-30-Höhle bis auf 552 m Tiefe befahren worden. In der Westlichen Tatra sind neue Entdeckungen vor allem von Ptasia Studnia (Vogelschacht), Snieżna Studnia (Schneeschacht) und Wielka Jaskinia Snieżna (Grosse Schneehöhle) zu verzeichnen. Eine "Spezialität" der polnischen Höhlenforscher sind Befahrungen der Tiefsysteme - mit einem klettertechnischen Wiederaufstieg zur Oberfläche. Auf diese Weise wurde in einem mehrtägigen Einsatz die Wielka Jaskinia Snieżna befahren (754 m Vertikalerstreckung, Schwierigkeiten V A3 in grosser Ansammlung). Im Februar 1992 hat eine polnische Mannschaft die erste Durchgangsbefahrung des Lamprechtsofens durchgeführt (Bericht siehe Seite 52-53).

### "Lampo" w dół i w górę

## Największy trawers jaskiniowy świata

Efektownym podsumowaniem wieloletniej polskiej eksploracji w Lamprechtsofen (Leoganger Steinberge, Austria), w której wyniku powstał system o imponujących rozmiarach (-1484 m, od ok. +780 m względem dolnego otworu) rozbudowywany konsekwentnie przez Polaków, mogło być tylko pierwsze w historii światowego alpinizmu jaskiniowego podziemne trawersowanie o tak wielkiej deniwelacji. Trzecia co do głębokości jaskinia świata umożliwia dokonanie przejścia pomiędzy otworami położonymi na wysokościach 664 m i 2137 m np.m., a więc o różnicy poziomów 1473 m (a uwzględniając konieczność zejścia poniżej dolnego otworu -1479 m). Zajmująca drugie miejsce na liście największych trawersów jaskiniowych świata hiszpańska Sistema Badalona daje możliwości o 324 m mniej.

Sukces stał się hipem zasłużonej w eksploracji "Lampo" ekipy KTJ PZA, a całość wyjazdu zamknęła się



w granicach dwu tygodni (3-17 lutego 1992). Trawersowania dokonano w obu kierunkach, szybko i w dobrym stylu, całością składu wyprawy. Na podkreślenie zasługuje znakomity czas zespołu poruszającego się w górę jaskini.

Jest zrozumiałe, że tego typu przedsięwzięcie stwarza liczne problemy. Jednym z głównych jest wysokie położenie górnego otworu, usytuowanego w dnie karu (kwestia dotarcia, odnalezienia i ewentualnie odkopania w warunkach zimowych, kiedy niski poziom wody w jaskini daje największe szanse sukcesu). Pod ziemią ważną sprawą jest orientacja w skomplikowanym systemie, którego rozległość, trudności techniczne i zagrożenia obiektywne wymagają od ekipy nie tylko dobrej znajomości obiektu. Rozwiązaniem było zastosowanie współczesnej techniki oraz zestawienie składu wyprawy niemal wyłącznie z doświadczonych znawców Lamprechtsofen. Element hazardu stanowiło odnalezienie ok. 200-metrowej drogi przez bardzo ryzykowne zawałisko (ok. 100 m deniwelacji), pokonane dotychczas tylko raz: podczas operacji połączenia Verlorenweghöhle z Lamprechtsofen w sierpniu 1990 roku - zob. "Taternik-Binletyn" 3/90 s. 12-13. Za konieczne uznano też przeprowadzenie w nim pewnych prac stabilizujących pionową układankę bloków w najniebezpieczniejszym ciasnym pionowym przełazie. Pogoda tym razem szczęśliwie sprzyjała, górny otwór nie był zaspany, a komunikacja z jego okolicą przebiegała bez większych zakłóceń. Uczestnikami wyprawy byli: Andrzej Ciszewski (kierownik), Krzysztof Dubiel, Rafał Kardaś, Krzysztof Kuby, Krzysztof Lasoń, Artur Madej, Henryk Nowacki, Jan Orłowski, Wojciech Radecki, Jerzy Verey, Ewa Wójcik oraz Jerzy Zygmunt. A oto w wielkim skrócie przebieg akcji:

8 lutego - Ciszewski, Kardaś, Kuby i Ewa Wójcik lecą helikopterem w okolicę górnego otworu i około godz. 16 wchodzi do jaskini. Zespół uzupełnia oporęczowanie, transportuje sprzęt i zakłada biwak na głębokości ok. -200 m, wyznacza też drogę przez połączeniowe zawałisko, stabilizuje najbardziej wątpliwe miejsca i trawersuje do dolnego otworu jaskini. Pierwsze przejście zajmuje 48 godzin (z biwakiem na 200 m).

9 lutego - górnym otworem wchodzi Dubiel, Nowacki, Orłowski i Zygmunt. Podczas trawersowania wykonują dokumentację filmową (video) i fotograficzną prze-

jścia, które (z dwoma biwakami) trwa 60 godzin. Wraz z nimi porusza się niezależny zespół austriacko-niemiecki (Wolfgang Gademayr, Alfred Schlagbauer i Gerhard Zehenter).

Dolnym otworem wchodzi 3-osobowy zespół gości ze Speleoklubu Dąbrowa Górnicza (Aleksander Chrusciel, Andrzej Pajda i Waldemar Wowro), transportujący wyposażenie dolnego biwaku (w Allende-Halle: +665 m). Ich wycofanie następuje tym samym otworem.

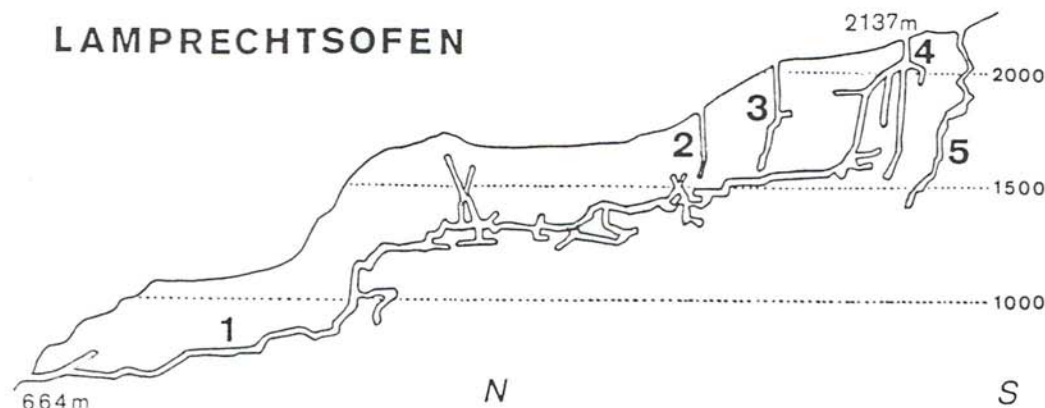
10 lutego - dolnym otworem wchodzi Lasoń, Madej, Radecki i Verey (zespół III) trawersujący w kierunku odwrotnym, niż pozostali. Wnoszą część ubezpieczeń z Verlorenweghöhle oraz wyposażenie górnego biwaku, na którym spią 2 godziny. Przejście trwa zaledwie 29 godzin! Jaskinię opuszcza dolnym otworem zespół I (Andrzeja Ciszewskiego).

11 lutego - górnym otworem wychodzi zespół III i zostaje przerzucony helikopterem do bazy. Dolny otwór opuszcza zespół II, wynosząc wyposażenie biwaku z Allende-Halle.

Przebieg trawersowania był śledzony przez austriackie mass media, znajdując szeroki oddźwięk w telewizji i prasie. Helikopter umożliwił reporterom TV dotarcie do górnego otworu i relacjonowanie "historycznych chwil", gdy w czeluści zagłębiał się zespół polsko-austriacko-niemiecki. Gratulacje w związku ze spektakularnym sukcesem przekazali uczestnikom Kanclerz Austrii, Franz Wranitzky (osobiście) oraz Premier Bawarii. Przynajmniej raz blask chwilowej sławy opromienił ponurych jaskiniowców, jak zwykle zresztą nie wtedy, kiedy najbardziej na nią zasługiwali.

**Rafał M. Kardaś**

*In den Leoganger Steinbergen ist polnischen Höhlenforschern die Entdeckung der Verbindung zwischen der Verlorenweghöhle (2137 m) und dem Höhlensystem des Lamprechtsofens (-664 m) in August 1990 gelungen. Mit einem Gesamthöhenunterschied von 1473 m ist diese Höhle nunmehr die drittieftste der Erde und zugleich das tiefste durchgängig befahrbare Höhlensystem. Vom 8. bis 11. Februar 1992 hat eine polnische Gruppe unter der Leitung von Andrzej Ciszewski aus Krakau die Durchgangsbefahrung in beiden Richtungen erfolgreich durchgeführt. An der Durchquerung hat sich auch ein deutsch-österreichis-*



ches Team beteiligt. Die erfolgreichen Höhlensportler wurden in ihrem Basislager vom Kanzler Franz Wranitzky besucht und beglückwünscht. Im sommer 1992 entdeckten die Polen in dem Vogelschacht eine Fortsetzung von 0,5 km Länge, die offenbar dem Lamprechtsofensystem zusteueret.

**Wiktor Bolek**

## Syfon Drzemiący

Po dwuletniej przerwie członkowie Sekcji Grotolazów KW Wrocław podjęli eksplorację Syfonu Drzemiącego w drugiej pod względem głębokości jaskini Polski - Śnieżnej Studni. Poprzednim razem (24 IV 1992 r.) uzyskali w nim głębokość -13 m. Zamieszczamy poniżej skrócony (ze względu na szczupłość miejsca w numerze) fragment relacji kierownika i głównego bohatera akcji. Zespół wszedł do jaskini 1 kwietnia 1994 r. w składzie: Wiktor Bolek, Wacław Kozieł i Marcin Przybyszewski (nurkowie) oraz Marcin Fretter i Rafał Bojdyś (ekipa pomocnicza). W transportach przed właściwą akcją uczestniczyli także Rafał Mateja i Michał Stajszczyk.

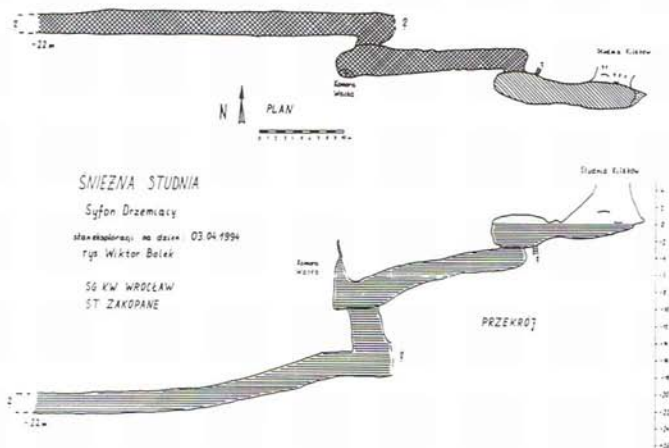
Redakcja

Nurkowanie rozpoczęliśmy rano o 7<sup>00</sup> 03.04.94. Sprzęt ubierałem stojąc na namiastce platformy - ale i tak był to duży postęp. Przynajmniej nie zapadałem się po kostki w gliniastej mazi. Pomimo szczególnej ostrożności nie udało się uniknąć początkowego zmaczenia wody. Po zakończeniu wszystkich niezbędnych czynności ruszyłem na drugą stronę jeziora. Byłem zbyt przeciążony - ledwo mogłem oddychać przez fajkę. Trzymałem się prawej strony, gdzie powinno być wejście do syfonu. W końcu, aby ułatwić sobie oddychanie, przeszedłem na automat. Po chwili przy dnie zobaczyłem otwór i chciałem do niego wpłynąć. Ze zdumieniem stwierdziłem, że jest bardzo ciasny i ledwie mieszczę się w nim razem z butlami. Pozostawało to w całkowitej sprzeczności z moją dotychczasową wiedzą o syfonie. Czyżby Wielka Woda naniosła aż tyle gliny i zamknęła praktycznie cały syfon? Korytarzyk opadał stromo w dół. Nie było miejsca by tam zawrócić. Butle i balast dociskały mnie w dół. Jednym silnym ruchem ramion wypchnąłem się na powierzchnię. Postanowiłem trochę odpocząć, pooddychać przez fajkę i znaleźć

właściwe wejście do syfonu. Okazało się to jednak zupełnie nierealne. Byłem zbyt ciężki i musiałem walczyć o każdy oddech. Zle zaniocowaną rurkę co chwilę zalewała woda. Aż dziw, że się nie zachłysnąłem. Mocno pracując pletwami maciłem coraz bardziej wodę. W dodatku zaplałałem się w poręczówkę. Jeszcze parę chwil takiej walki i stwierdziłem, że muszę wrócić do platformy i uporządkować sprzęt. Podpłynąłem do kolegów ciężko zdyszany. Poprawianie sprzętu trwało kilkanaście minut. Z ciężkimi butlami na plecach nie doznałem w tej glinie do platformy. Musiałem kłęczeć po szyję w wodzie. Po chwili poczułem ogarniające zimno. W końcu powiedziałem, że nic już z tego dzisiaj nie będzie. W kompletnie zmaczonej wodzie na pewno nie uda się znaleźć wejścia do syfonu. Jednak, gdy wszystko było już gotowe, postanowiłem jeszcze raz, li tylko pro forma, spróbować. Podpłynąłem do końca jeziora, zanurzyłem się i zacząłem szukać wejścia posuwając się z powrotem wzdłuż prawej ściany w miejscu, gdzie przechodzi ona w gliniaste dno. Widoczność pogorszyła się. Po chwili jednak udało mi się odczytać głębokość na komputerze. Byłem na -5 m. Musiałem wpłynąć do syfonu. W jezioru nie ma takiej głębokości. Podpłynąłem do góry i natrafiłem na strop. Tak - to był dobry algorytm na znalezienie wejścia do syfonu. Dalej płynąłem na zachód. Widoczność coraz to pogarszała się uniemożliwiając odczyt przyrządów. Nagle wpłynąłem w obszar klarownej wody. Brązowe tumany zmaczonej wody kłębiły się na prawo i po lewo. Poznałem, że jestem w Komorze Wacka. Ze zdumieniem stwierdziłem, że komora kończy się ślepo i wygląda analogicznie jak końcówka jeziora. Po krótkiej rozterce domyśliłem się, że wejście do dalszej części syfonu musi być wcześniej, po prawej stronie, w zmaczonej wodzie. Postanowiłem jeszcze raz posłużyć się nową taktyką odkrytą w jeziorze. Udało się. Zostawiłem po lewej wyraźną krawędź skalną. Byłem na -15, potem na -17 m. Dotarłem do czoła zmaczonej wody. Brązowe kłębiące się tumany posuwały się powoli naprzód. Byłem na -20, powietrza miałem dużo - 130 atm w osmiolitrowej butli, nie mówiąc o rezerwowej czwórce.

Syfon biegł dalej na zachód. Był poziomy, o regularnych kształtach, ale jakby mniejszy niż wcześniej. Osiągnąłem -22 m. Korytarz biegł dalej prosto. Pomimo sporego zapasu powietrza stwierdziłem, że nie mam już odwagi, by płynąć dalej. Cekał mnie jeszcze powrót w zmaczonej wodzie. Rozpocząłem odwrót. Trzykrotnym szarpnięciem dałem znać Wackowi o swojej decyzji.

Poręczówkę zbierałem powoli do ręki. Widoczność momentalnie zmniejszyła się do 30 - 40 cm. W tej sytuacji jedynie linka wskazywała mi kierunek powrotu. Po przepłynięciu sporego odcinka ze zdumieniem stwierdziłem, że linka wystaje bezpośrednio z dna. Szarpałem za nią do góry i wyrwałem z gliny. Zapewne była to krawędź Komory Wacka, w którą poręczówka musiała się głęboko wżąć przy zmianie nachylenia korytarza. Po chwili otarłem się po lewej o pionową krawędź skalną. Byłem na -7 m. Chyba wpłynąłem do końcowego odcinka syfonu. Wtem miękko o coś zaczepiłem - miałem nadzieję, że niegroźne. Naparłem mocniej - na szczęście puściło. Dalej zbierałem poręczówkę do ręki. Miałem już w dłoni





spory zwój. Sporo przepłynąłem w tym syfonie. Na komputerze odczytałem -1 m, czyli powinienem już być w jezioru. Wynurzyłem się i rzeczywiście w oddali zobaczyłem światła oczekujących kolegów. Odechnąłem z ulgą. Pomyślałem wtedy, że jeszcze raz udało się i że najtrudniejsze mam już za sobą. Miałem się dopiero przekonać, jak bardzo się myliłem.

Podpłynąłem do brzoju jeziora. Koledzy zdjęli mi butle i pas balastowy. Marcin zaczął klarować poręczówkę. Później, po jej zmierzniu okazało się, że wybrałem ok. 70 - 71 metrów. Co przy 17 metrowym jezioru daje 53 metry długości samego syfonu. Wpłynęliśmy na platformę. Było mi bardzo zimno. Zaczęliśmy trząść jak galareta, tak że miałem trudności ze zdjęciem sprzętu. To był chyba błąd, że nie zabraliśmy nad syfon naczynia do gotowania. Po spakowaniu szpejów i pozostawieniu części sprzętu w depozycie w miarę sprawnie pojąłaliśmy się na biwaki. Zespół pomocniczy miał od razu wychodzić, a my chcieliśmy jeszcze przepłynąć się przed wyjściem. Po dziesięciu godzinach snu i dwunastu godzinach wychodzenia zjawiliśmy się w otworze. Z pewnym zaskoczeniem zastaliśmy tam zespół pomocniczy. Powiedzieli, że na zewnątrz wieje bardzo silny wiatr, niosący ze sobą dużo śniegu. W takich warunkach bali się sami wracać. Była godzina 16<sup>00</sup> w poniedziałek. Podjąłem decyzję, że jednak będziemy schodzić. Widoczność była w sumie dobra - w porwach do 200 m. Nie mieliśmy karbidu ani gazu, by czekać w otworze na poprawę pogody. Szybko przebraliśmy się i zaczęliśmy wychodzić na powierzchnię. Wyjście po oblodzonej linie nad dwumetrową ekspozycją mocno deprymowało zawodników. Na powierzchni rzeczywiście wiał huraganowy, przyniatający do ziemi wiatr. Bezlitośnie zawiewał śniegiem wszystkie otwory w niedopiętych anorakach. Wiatr, który dwa tygodnie wcześniej zalał ekipę, był po prostu zelfikiem, w porównaniu z tym co się teraz działo. Nawalo sporo śniegu. Trzeba było torować powyżej kolan. W tej sytuacji o wiele mniej wyczerpująca technika poruszania się było chodzenie na czworakach. Mając większą powierzchnię kontaktu z podłożem, nie zapadaliśmy się tak głęboko w śnieg. Zaiste, czułem niezmierną pokorę wobec gór, gdy tak wiatr przewracał nas na kolana, a potem pelziliśmy na czworakach setki metrów. Wydarłiśmy wnętrzu góry część jej sekretów, a teraz ona nadal broniła się, nie dając nam uciec z życiem. Do zmierzchu pokonaliśmy najniebezpieczniejszy odcinek - zeszliśmy do Wyżniej Świstówki. Myśleliśmy, że teraz będzie łatwiej. Jednak wiatr nie zelżał ani o jotę. Przy kamieniu nad Przechodem postanowiliśmy porzucić plecaki. Pomimo to przez śniegi Niżniej Świstówki brnęliśmy ponad dwie godziny. Torowanie czekało nas do samego wylotu doliny. Już na szlaku, poniżej źródła, zauważyłem, że Rafał przestaje konkretnie odpowiadać na pytania. Na koniec stwierdził, że chce, żeby go zostawić, bo musi odpocząć. Wobec tego postanowiłem pobiec przodem i zawiadomić TOPR. Na Groniku byłam o 13<sup>30</sup> rano. Ratownicy TOPR po sprawniej akcji zabrali Rafała w toboganie skutermem śnieżnym i odwieźli do szpitala. Na szczęście nie miał poważniejszych obrażeń. Był tylko wyczerpany i wychłodzony. Pozostali zawodnicy doszli do Gronika o czwartej rano. W sumie schodziliśmy od otworu 11 godzin - co jest swoistym rekordem. Wacek i Marcin zainkasowali "tylko" pomniejsze odmrożenia. Góry długo i zaciekle broniły swej tajemnicy. Za jej wydarcie musieliśmy zapłacić słoną cenę - na szczęście nie była

to cena najwyższa.

W wyniku akcji pogłębił Syfon Drzemiaczy do -22 m. i przedłużył go do około 53 m. Szybko mącąca się woda uniemożliwiła precyzyjne określenie przebiegu korytarza. Stąd też duże rozbieżności w opisach podawanych po kolejnych nurkowaniach. Problem jest nadal otwarty. W tej chwili Śnieżna Studnia ma 752 m<sup>3</sup> deniwelacji. Wystarczy pogłębić Syfon Drze miący o kolejne 24 m by wyrównać rekord Polski.

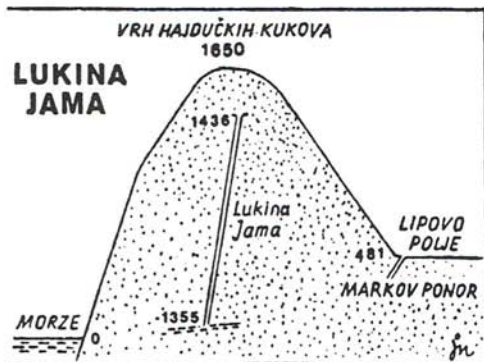
\* / Podaną tu głębokość należy traktować z pewną ostrożnością. Autor nie podaje skąd taka rozbieżność w stosunku do publikowanych poprzednio danych. Wg. zamieszczonej w Jaskiniach 1/1992 na s. 24 relacji z nurkowań i opublikowanej w tym samym numerze dokumentacji (s. 12-13), poziom wody w syfonie znajduje się na -690 m, co dawałoby głębokość -712 m i deniwelację 749 m. Możliwość korekty głębokości systemu była już sygnalizowana (porównaj T.1/91, przypis redakcji na s. 35) jednak dotychczas nie została oficjalnie potwierdzona przez opracowującego dokumentację jaskini Grzegorza Albrzykowskiego. Na ostateczny werdykt w tej kwestii trzeba więc poczekać. Ze względu na termin składania numeru i aktualność relacji publikujemy dane w tej wersji, wyjaśnienie problemu odkładając do następnego numeru.

R. Kardaś

## Sensacja w Velebicie

Jedną z sensacji ostatniego okresu jest wiadomość o odkryciu jaskini liczącej 1355 m głębokości, tym razem w Chorwacji, w północnej części nadmorskich gór Velebit. Jaskinię odkryli grotolazi słowaccy w lecie 1992 roku. Jesienna wyprawa oddziału "Kolejarz" (Żeljeznica) z Zagrzebia osiągnęła wielce obiecującą głębokość 230 m. Wlot jaskini znajduje się na wysokości 1436 m pod szczytem Vrh Hajdučkih Kukova (1650 m). Latem 1993 Komisja Jaskiniowa Chorwackiego Związku Alpinistycznego (Hrvatski Planinarski Savez) zorganizowała obóz mający na celu eksplorację jaskini. Międzyklubowa wyprawa składała się z przeszło 50 ludzi, a kierował nią Branko Jalžić z Zagrzebia.

Badaniami objęto 19 obiektów, w większości stanowiących otwarte problemy. Główne siły skoncentrowano jednak na Lukinej jamie. Nikt nie spodziewał się tak niezwykłych wyników - w trakcie eksploracji trzeba było sprowadzać z Zagrzebia posiłki ludzkie i dodatkowy sprzęt. Jaskinia schodzi w dół seriami wspaniałych studni. W dolnych partiach osiąga ogromne roz-





miary: II biwak założono na głębokości 958 m w sali 100x50 m. Cała operacja trwała zaledwie kilka dni. Wieczorem 7 sierpnia 1993 speleologom udało się zejść na głębokość 1355 m, gdzie - ok. 80 m nad poziomem morza - napotkali jezioro syfonu z dużym przepływem podziemnego potoku. Do dna zeszło 9 ludzi - jako pierwszy dotarli tam D. Lacković, S. Rešetar i R. Dado. Badania będą kontynuowane - katalog problemów jest już spory, tak np. na głębokości 1100 m odchodzi boczny ciąg, którym wieje zimny wiatr.

Jest to najgłębsza jaskinia Chorwacji - dotychczasowy rekord należał do Jama u Hrvatskoj Stara Škola na Biokovu, liczącej 576 m głębokości. Jaskinia ma wybitne pionowe rozwinięcie - w rzucie poziomym jej długość nie przekracza 400 m, wśród światowych 1000-metrowek należy więc do najbardziej zbliżonych do pionu. Jest przy tym łatwo dostępna - 30 minut od drogi jezdnej, a jej otwór leży stosunkowo nisko. Nadała jej nazwę Lukina jama na pamiątkę inż. Ozrena Lukica (1965-1992), alpinisty i speleologa, w sierpniu 1992 zabitego przez czelników na Velebicie. Wydzielony zespół przeprowadził pomiary jaskini, a jej przekrój opublikował "Hrvatski Planinar" (9-10/93). Na aktualnej światowej liście Lukina jama zajmuje 11 miejsce. Duże zainteresowanie budzi u geologów, jest też cenną zdobyczą dla chorwackich grotolazów, o których dotąd niewiele było słychać. "Osiągnięty wynik ma rangę światową - pisze kierownik wyprawy. - Potwierdza on kompetencje, umiejętności i poziom sportowy chorwackich badaczy jaskiń, którzy teraz zajmą w świecie miejsce, na jakie zasługują".

*Józef Nyka*

(Przedruk artykułu ze "SPORT-u" - Katowice, 26 stycznia 1994)

**Rafał M. Kardaś**

## **Lamprechtsofen '94 - pokonani przez wodę**

Letnia wyprawa Krakowskiego Klubu Tatarnictwa Jaskiniowego (z udziałem uczestników z Częstochowy i Warszawy), kierowana przez Andrzeja Ciszewskiego, dzięki dokonaniom odkryciom znacznie przybliżyła możliwość połączenia wielkiego systemu Lampo z Voğelschacht. Dołączenie kolejnego górnego otworu powiększyłoby największy w świecie jaskiniowy trawers do 1531 m (obecnie deniwelacja trawersowania 1473 m, przy głębokości całkowitej 1485 m).

Z zamiarem przybliżenia perspektywy spodziewanego podczas następnego letniej wyprawy połączenia, wyruszyła w Leoganger Steinberge kolejna centralna wyprawa KTJ PZA (6 II-3 III 1994). Ekipa w składzie: Krzysztof Bańbura, Artur Chorabik, Aleksander Chruściel, Andrzej Ciszewski (kierownik), Marcin Czart, Krzysztof Dubiel, Robert Fiszler, Marek Freus, Witold Jokiel, Piotr Kaizik, Rafał Kardaś, Jan Kućmierz, Robert Matuszczak, Waldemar Mucha, Henryk Nowacki, Zbigniew Rysiecki, Piotr Szupński, Włodzimierz Szymanowski, Jerzy Wieczorek i Ewa Wójcik, działała podzielona na dwa "turnusy".

Początek był nawet obiecujący. Po sprawnie zrealizowanych wejściach przygotowawczych (transport, wymiana części lin), zdecydowano się na wstępne rozpoznanie możliwości eksploracji działając ze starego

biwaku w Perlenhalle (+840 m), dosyć odległego od wytypowanych jako właściwy obiekt ataku partii zwanych Fortuna Geschmack. Braki w zaopatrzeniu biwaku (karbid!) ograniczyły czas i możliwości pierwszego bazującego na nim zespołu. Udało się jednak "wymontować" dojsię do problemu (Kardaś, Szymanowski) oraz (po pokonaniu niezwykle uciążliwego błota i desperackiej w takich warunkach wspinaczce) rozpocząć eksplorację obszernych partii położonych powyżej Fortuny. Odkrywcy - Freus i Jokiel - dotarli do wielkiej sali będącej dnem studni z licznymi oknami w ścianach i silnym przewiewem.

Druga zmiana ekipy wyprawowej podjęła trud przesunięcia biwaku dalej - do Windeandra. Zajęli się tym Chruściel i Rysiecki oraz Nowacki z Muchą. Próba eksploracji podjęta w rejonie nowego biwaku przyniosła również interesujące rezultaty. W górnych piętrach Windeandra odkryto ciąg nieznanych korytarzy. Pozostała część ekipy transportowała w tym czasie wyposażenie potrzebne do kontynuowania eksploracji. Niestety - kres rozwijającej się akcji położyło załamanie pogody, którego rezultatem był silny przybór wody zamykający syfony w dolnych (przyotworowych) ciągach jaskiń. Odcięte zostało wyposażenie biwaków, sprzęt, a nawet (na szczęście tylko chwilowo) wracająca z góry dwójka biwakowiczów. Po ich wyjściu woda podniosła się ostatecznie i uniemożliwiła kontynuowanie wyprawy.

**Tomasz K. Pryjma**

## **Total Caving - Meksyk '94**

Wreszcie! Na przekór wszystkim niedowiarkom lecimy na Nowy Kontynent. 9 osób: Maciej Adamski (Speleoklub Warszawski), Cezary Białek (niezrzesz. kier. bazy), Marcin Francuz (Speleoklub Warszawski), Tomasz Gajda (Speleoklub Bielsko-Biała), Rajmund Kondratowicz (Speleoklub "Boby"), Oskar Orzechowski (Speleoklub Głogów), Tomasz K. Pryjma (kierownik, Speleoklub Warszawski), Jacek Wiśniowski (Speleoklub "Boby"), Krzysztof Zajdański (niezrzesz.).

Kalejdoskop Meksyku przewija się przed naszymi oczyma. Kolejne dni wypełnione przygotowaniami, zakupami i kontaktami. Przyjazna ambasada organizuje konferencję prasową. Niesłuchanie dociekliwi dziennikarze pamiątką sięgają nawet 1980 roku i polskich przypadków w tamtejszych górach. Spotkanie przynosi miły akcent. Rozwiązany zostaje podstawowy problem - to znaczy transport. Sympatyk Polaków uczestnik himalajskich wypraw, ofiaruje się zawieźć nas góry.

Ustalony termin wyjazdu pozwala na chwilę wytchnienia. Szybko zdobywamy pobliski wulkan Popocatepetl (5452 m) i sprawdzamy jak wyglądają jaskinie systemu Cuetzalan. Ostatnie chwile spędzamy w Los Dinamos - podmiejskim ogródku skalnym. Trudny wspinaczki wyparowują podczas wieczornej konfrontacji z policją. Pod łufami karabinów, z rękami nad głową, pod ścianą - gęsto się tłumaczymy.

Naszym celem jest wspinaczkowe pokonanie najgłębszej jaskini półkuli zachodniej - Sistema Cheve\* - wyjaśniamy. Chyba to wystarczy, bo nagle zostajemy sami.

\* w publikacjach występuje też pod roboczą nazwą Sistema Cuicateca.





jest w stanie zatrzymać nas głód stopięćdziesiątki, olbrzymi wodospad, rozbite okulary czy nos. Duża ilość klasycznego wspinania przyspiesza znacznie przebieg akcji - nieważne jak trudne są pasaże, zawsze krócej to trwa niż wiszenie w ławkach. Kolejne natarcie przybliża nas zasadniczo do otworu. Tomek i Marcin pędem uciekają w jego stronę, my zaś statecznie z resztą wyposażenia wychodzimy za nimi.

Dawno już powinien być otwór, wokół jednak cały czas panują ciemności. Olbrzymie rozmiary otaczającej przestrzeni nie pozwalają zorientować się czy już wyszliśmy z jaskini. Nareszcie zielona witka krzewu uświadamia położenie. Nie jesteśmy już w Cheve!

- Rekord, mamy rekord! - krzycząc siadając na mokrej murawie.

Uspokojony i usatysfakcjonowany zespół zmienia nastroj ze sportowego na eksploracyjny. Możemy teraz wykopać najgłębszą dziurę na świecie! Wysłany rekonesans nie przysyła jednak dobrych wieści. Wapienie nie wyglądają tego, a tamtejsze władze nie kwapią się do pomocy.

Dopiero po wstawieniu miejscowego lekarza - stażysty ze stolicy, prezydent miasteczka Jocotipac ustępuje. Eksplorować możemy dowolnie, spać musimy na terenie przychodni zdrowia. Bardzo nas to cieszy.

Zmieniamy więc góry. Nowy teren jest całkowicie dziewiczy - nie było tutaj żadnego alpinisty jaskiniowego. Szybkie rozpoznanie przynosi pierwsze problemy. Nowe jaskinie są małe i szybko się kończą. Czy osiągniemy tu sukces? Będzie w końcu tysiąc czy nie?

Niecałe dwa tygodnie pracy przynosi nam odpowiedź: 14 jaskiń, z których trzy w sumie osiągnęły ponad 1000 m głębokości.

Zbliżające się święta wielkonoce wyganiają nas do Cuetzalan. Jesteśmy tam uwięzieni na wspólną eksplorację z Brytyjczykami. W trakcie przejazdu urywa się piątka uczestników, by zaliczyć najwyższy szczyt kraju - Orizabę (5700 m). Robią to szybko, bo pragną spędzić święta z całą ekipą.

Cuetzalan nie jest jednak dla nas szczęśliwe. Mist-rzowie eksploracji patrzą podejrzliwie na sportowców. Przypuszczają, że chcemy im podkosić problemy. Wypadek śmiertelny jednego z nurków nie ułatwia rozmów. Darujemy sobie. Za radą Meksykanów udajemy się kilka kilometrów dalej. Będziemy badać schędy po Amerykanach.

Typowa dżungla i olbrzymie otwory, robią wrażenie. Rozpalone umysły chłodzi woda (+20°C). Amok eksploracji powstrzymują realia. Zbliżająca się pora deszczowa oraz przybory jaskiniowych rzek o 100% w ciągu kilkunastu minut wcale nie zachęcają do działań. Opuuszczamy, gdy wodny żywioł kradnie nam sprzęt i więzi dwuosobowy zespół na kilka godzin w pułapce jaskini. Zajmujemy się filmem - niech inni także mogą zaznać tego, co my mamy w nadmiarze.

A teraz konkretnie:

1. Masz Sierra Juarez Orient - stan Oaxaca  
- działalność sportowa prowadzona była w jaskini Sistema Cheve o łącznej głębokości 1386 m. Używaliśmy dolnego otworu na odcinku do syfonu, ciąg ma 1242 m głębokości. Osiągnięto - 1215 m

- największym osiągnięciem jest wspinaczkowe przejście głównego ciągu jaskini - będące rekordem świata we wspinaczce jaskiniowej. Zespół Francuz - Gajda i Orzechowski - Pryjma przebyli około 1000 m progów o trudnościach VI. A2, 33 e, miejscami nadzwyczaj krucho i gliniasto. Czas 200 h, w tym

wspinaczki ok. 120 h.

- 4 uczestników dokonało przejść sportowych po ubezpieczeniach. Czas od 70 do 80 h.

- Cezary Białek - alpinista - inwalida osiągnął głębokość ok. 650 m.

- odkryto 60 m korytarzy.

2. Masz Sierra Juarez Oest - stan Oaxaca

- działalność eksploracyjna przyniosła odkrycie 14 jaskiń o łącznej głębokości 1224 m i długości 2230 m.

- największe obiekty to:

a. jaskinia Duszna - głęb. -473,5 m; dług. 898,5 m

b. jaskinia Czarnej Wdowy - głęb. -337 m; dług. 612 m

c. jaskinia Nietoperzowa - głęb. -200 m; dług. 380 m

3. Rejon Cuetzalan i Jonotla - stan Puebla

- działalność poznawcza i filmowa prowadzona w jaskiniach:

a. Cueva Zoquilapan

b. Sumidero de Jonitla - odkryto 50 m korytarzy.

- we wstępnej fazie wyprawy realizacja prac poznawczo-eksploracyjnych przyniosła odkrycie w jaskini Sistema Cuetzalan 600 m korytarzy.

4. Wejścia na Popocatepetl i Orizabę.

5. Realizacja filmów 16 mm i video

Jako kierownik wyjazdu miałem niesłychaną przyjemność obserwować rozwijającą się akcję. Z pełną odpowiedzialnością można określić ją za pasmo sukcesów. Po pierwsze wspinaczkowe przejście poważnej tysiączmetrowki - stanowiące rekord świata. Duże trudności i rewelacyjnie krótki czas. Więcej chyba nie trzeba tego komentować. Po drugie rozpoznanie całkowicie dziewiczego rejonu krasowego. Dokładny opis i opracowana koncepcja sieci hydrologicznej - nie tylko podziemnej. W ciągu krótkiego okresu czasu, lokalizacja i poznanie 14 jaskiń, z czego trzech raczej dużych. Łączna sumaryczna głębokość i długość odkryć powinna dać do myślenia. Po trzecie rozpoznanie terenów właściwych być może dla naszej dalszej działalności w stanie Puebla. Porzucone przez Amerykanów jaskinie, rzucają niezwykle możliwości.

Wszystko to jest dziełem ekipy ludzi o bardzo wyrównanych możliwościach fizycznych i psychicznych. Ambicja każdego z uczestników wyjazdu podporządkowana została wspólnym celom. Dało to, jak myślę, znakomite rezultaty.

Bariery, które zostały pokonane przy organizacji tego wyjazdu, były znaczne. Gdyby nie pomoc wielu życzliwych ludzi.

Chciałbym im w tym miejscu serdecznie podziękować.

**Tomasz K. Pryjma**

## Meksykańskie realia

Aktualnie w Meksyku działają 2 organizacje speleologiczne. Sociedad Mexicana de Exploraciones Subterráneas - pod przewodnictwem Ramona Espinazy Perezy, oraz Sociedad Espeleologia Union z Jose Palacios Vargasem na czele. Należy dodać, że obydwie grupy nie znoszą się i wyznają inne cele.

Ilości osób zainteresowanych jaskiniami nie da się dokładnie ocenić. Pretendujących do miana grotolazów jest może pięćdziesięciu. Zaś faktycznie czynnych około dziesięciu Meksykanów.

W kontekście tego faktu nie dziwi obecność innych



nacji. W speleokrajobrazie na stałe zadomowili się Amerykanie i Brytyjczycy. Bliscy tego są Belgowie i Australijczycy. Można spotkać i tak egzotycznych zawodników, jak choćby Serbowie czy Rosjanie.

Historycznie rzecz biorąc zainteresowanie jaskiniami datuje się od Majów. Około 1960 roku Meksykanie organizują zręby formalnej działalności i przystępują do czynnej eksploracji. Nie unikają współpracy z obcokrajowcami. Duże znaczenie dla poznania krasu ma Association for Mexican Cave Studies z Teksasu.

Obserwowany pęd do eksploracji musi dać efekty. Lista największych jaskiń puchnie zatrważająco, problemów nie ubywa, a wręcz przeciwnie. Możliwości tamtejszego krasu są po prostu zadziwiające. Poznanie rejonów jaskiniowych jest zaledwie w zarodku. Nawet tereny uczęszczane od lat kryją jeszcze wiele tajemnic. Ułatwieniem w systematycznej pracy nie są bynajmniej mapy i plany - wielokrotnie wykonane niestarannie i błędnie. Oficjalna geologia krasu zawiera wiele pomyłek i przeinaczeń. W takich oto warunkach przychodzi działać.

Jednakże, przy odrobinie szczęścia, w ciągu jednej wyprawy można naprawdę dużo odkryć. Również wypadki weekendowe, preferowane głównie przez niejeskowców, przynoszą wymierne rezultaty. Działalność polegająca na łączeniu jaskiń także daje świetne wyniki. Zespoły poświęcające się wybranym problemom pracują sprawnie - na efekty nie muszą długo czekać. Przykładem jest choćby Sistema Cuetzalan czy Cheve. Sukcesy świadczy szybkość.

Bolesny jest fakt dużej liczby wypadków śmiertelnych. Statystycznie uzasadniony, budzi jednak naturalny sprzeciw. Czyżby uczestnicy wielu wypraw nie byli właściwie dobiegani? Palmę pierwszeństwa bezprzecznie dźwierz wypadki nurków. W pierwszym kwartale tego roku zdarzyły się dwa.

W Meksyku największym niebezpieczeństwem jest woda. Wielkie podziemne rzeki i wodospady, szerokość, głębokość i prąd - wszystko to wymusza szacunek. Przepływy normalnie sięgają 20 m<sup>3</sup>/s, potrafią się jednak powiększyć o ponad 100%.

Reasumując, Meksyk jest niesłychanie ciekawym i perspektywicznym rejonem działalności eksploracyjnej i sportowej. Po pokonaniu podstawowych barier droga stoi otworem. Jest naprawdę w czym wybierać.

Krótką charakterystyką wybranych rejonów krasowych:

1. Sierra Zoquitlan - stan Puebla - kras od typu alpejskiego w partiach górnych do tropikalnego w dolinach. Teren badany od 1985 roku przez Meksykanów i Belgów, wysokość do 2500 m n.p.m.; sprawdzone przepływy wodne pomiędzy jaskiniami położonymi w partiach górnych i dolnych maszyn; przepływy wodne do 15 m<sup>3</sup>/s - najciekawsze obiekty:

a. Akemati - głęb. 1200 m, odkrycie w 1985 przez Belgów. b. Ocotempa - głęb. 1070 m, odkrycie w 1985 przez Belgów, wys. otworu ok. 1700 m n.p.m. c. Akema bis - głęb. 1015 m (podawane też 1050 m - red.). d. Covalatl - długi, 19 km. e. Atlaxicalla - długi, 11,7 km.

2. Rejon Chilchotla - stan Oaxaca - kras od typu alpejskiego w partiach górnych, do tropikalnego w dolinach; teren badany od 1985 roku przez Australijczyków; wysokość do 2500 m n.p.m.; najciekawsze obiekty:

a. Guizani Ndia Guinjao - głęb. 940 m b. Sonyance - głęb. 745 m

3. Rejon Huatla - stan Oaxaca - kras typu tropikalnego górskiego - teren badany od 1969 roku przez

Amerykanów - wysokość do 2500 m n.p.m. - aktualnie wielki boom działalności wielu nacji, znaczne sukcesy; najciekawszy obiekt: Sistema Huatla - "budowany" od połowy lat sześćdziesiątych (ze znanych jaskiń dołączono np. Solano San Agustín, Li Nita, La Grieta), 15 otworów, długość 52,6 km, 1353 m głębokości

4. Rejon Cuicatana - stan Oaxaca - kras typu alpejskiego - teren badany od 1984 roku przez Amerykanów - wysokość do 1350 m n.p.m.; zbadano przepływy pomiędzy Sistema Cheve a Cueva Agua del Mano na odcinku ponad 30 km i deniwelacji 2800 m - aktualnie działający w tym rejonie Amerykanie przewidują połączenie jaskiń w jeden system. Działając poprzez odkryte niedawno pośrednie otwory mają nadzieję osiągnąć sukces już niedługo. Utworzony w ten sposób najpotężniejszy twór na świecie o głębokości ponad 2600 m. Długość ciągu głównego wyniosłaby wówczas ponad 35 km - najciekawszy obiekt: Sistema Cheve - głęb. 1386 m, długi, 22,5 km, otwór znany od dawna Indianom, eksplorację rozpoczęto w 1986 roku; napotkano w niej stanowiska archeologiczne, wys. i otworów od ok. 3000 m n.p.m.

5. Rejon Purificación - stan Tamaulipas - kras typu tropikalnego górskiego - teren badany od 1970 roku przez Amerykanów; wysokość do 2000 m n.p.m. - najciekawsze obiekty:

a. Sistema Purificación - 8 otworów, głęb. 954 m, bardzo ciekawy trawers pomiędzy Cueva del Brinco, wys. otworu 1900 m n.p.m. a Cueva del Infernillo, wys. otworu 1098 m n.p.m., deniwelacja 852. b. Cueva de Diamante - odkryta w 1974 przez Amerykanów, wys. otworu 1800 m n.p.m., 621 m głęb. c. Cueva Tecolote - 32 km długi, 424 m głęb.

6. Macizo Karstico de Xilitla - stan San Luis Potosí - kras typu tropikalnego górskiego - wysokość do 2300 m n.p.m.; najciekawsze obiekty:

a. Sotano de Trinidad - odkryta w 1977 roku przez Kanadyjczyków, wys. otworu 1880 m n.p.m., głęb. 834 m. b. Sotano de las Golondrinas - 512 m głęb.

7. Sierra Gorda - stan Querétaro - kras typu tropikalnego górskiego - wysokość do 2100 m n.p.m.; znanych ponad 500 jaskiń - najciekawsze obiekty:

a. Sotano de Tilaco - głęb. 649 m b. Sotano del Barro - 455 m głęb.

8. Rejon de Cuetzalan - stan Puebla - kras tropikalny, teren badany od 1975 roku - wysokość do 1300 m n.p.m.; najciekawsze obiekty:

a. Sistema Cuetzalan - działalność w kolejno łączonych jaskiniach rozpoczęto w 1978 r., poważne akcje eksploracyjne zaczęli Brytyjczycy w 1989 r., w pracę włączyli się także Meksykanie. W tym roku planowane jest dołączenie kolejnych jaskiń i rozbudowa systemu do długi, ponad 80 km i głębokość ok. 900 m. Aktualne parametry wynoszą - 32 km długi, i 567 m głęb. b. Sumidero Santa Elena - głęb. 400 m i długi, 7,8 km. c. Sumidero de Jonotla - długi, 6,3 km

Wykaz największych obiektów Meksyku:

Jaskinie najgłębsze:

|                                 |            |      |
|---------------------------------|------------|------|
| 1. Sistema Cheve (S. Cuicatana) | Oaxaca     | 1386 |
| 2. Sistema Huatla               | Oaxaca     | 1200 |
| 3. Akemati                      | Puebla     | 1200 |
| 4. Kijahe Xotoja                | Oaxaca     | 1070 |
| 5. Sistema Ocotempa             | Puebla     | 1070 |
| 6. Akema bis                    | Puebla     | 1015 |
| 7. Sistema Purificación         | Tamaulipas | 954  |
| 8. Sonconga                     | Oaxaca     | 943  |
| 9. Guizani Ndia Guinjao         | Oaxaca     | 940  |
| 10. Nita Cho                    | Oaxaca     | 894  |

|                            |              |       |
|----------------------------|--------------|-------|
| 47. Duszna                 | Oaxaca       | 473.5 |
| <b>Jaskinie najdłuższe</b> |              |       |
| 1. Sistema Purificacion    | Tamaulipas   | 79099 |
| 2. Sistema Huanilla        | Oaxaca       | 52653 |
| 3. Cueva del Tecolote      | Tamaulipas   | 32031 |
| 4. Sistema Cuetzalan       | Puebla       | 32000 |
| 5. Sistema Cheve           | Oaxaca       | 22500 |
| 6. Coyatlal                | Puebla       | 19000 |
| 7. Kijah Xontoja           | Oaxaca       | 18500 |
| 8. Sistema Naranjal        | Quintana Roo | 15850 |
| 9. Nohoch Nah Chich        | Quintana Roo | 13381 |
| 10. Atlixcalla             | Puebla       | 11700 |

#### Najgłębsze studnie

|                               |                 |     |
|-------------------------------|-----------------|-----|
| 1. Sotano del Barro           | Queretaro       | 410 |
| 2. Sotano de las Golondrinas  | San Luis Potosi | 376 |
| 3. Sotano de Tomasa Kiahua    | Veracruz        | 330 |
| 4. Sotano de Ahuastle         | Puebla          | 329 |
| 5. Nita Xonga                 | Oaxaca          | 310 |
| 6. Sotano de Ahuacatlin       | Queretaro       | 288 |
| 7. Sotano del Arroyo Grande   | Chiapas         | 283 |
| 8. Sima don Juan              | Chiapas         | 278 |
| 9. Resumidero del Pozo Blanco | Jalisco         | 233 |
| 10. Sotano del Aire           | San Luis Potosi | 233 |

**Dane za:** 1. Peter Sprouse - A.M.C.S.;

2. Ramon Espinaza Derena - S.M.E.S.

Aktualność - kwiecień 1994

## 600 Metrów plus

Grotta della Mottera nad doliną Corsaglia w Alpe degli Stanti jest jedną z tych nielicznych jaskiń, których głębokość wyraża się ze znakiem "plus". Podobnie

jak w Lamprechtsofen, od wylotu i zarazem dna na wysokości 1355 m chodniki dźwigają się ku górze. Odkryta w r. 1969 według wskazań przygodnego turysty, w r. 1985 miała 9 km długości. Dziś ma już 12 km przy czym pomierzonych i 3 km odkryte ale czekające na pomiary. Deniwelacja w południowym ciągu sięga +600 m, w ciągu południowo-wschodnim - +288 m. Istnienie 4 wylotów (jeden dostępny hakówką) powoduje zimne przeciągi i silne zalodzenie części korytarzy. Grotolazi liczą na dalsze odkrycia, obecnie koncentrują się na poszukiwaniu górnych otworów. "Jaskinia dopiero zaczyna odsłaniać swoje tajemnice" - piszą w jej monografii Carlo Balbiano i Fabrizio Michelis w "La Rivista del CAI" 11-12/1993 (plany i przekroje). Prace koordynuje Speleo Club Tanaro. (jn)

## Jaskinie lodowe

Janot Lambertson jest speleologiem wyspecjalizowanym w badaniu cześci w lodowcach. Od r. 1986 działa głównie na Grenlandii, gdzie jego partnerem był kiedyś niezapomniany Jean Marc Boivin (pamiętamy ich wspólny film z festiwalu w Katowicach). Zoná Janota, Janine, zesłała wraz z Dmką Anette Grondgard na głębokość 110 m, co jest rekordem kobiecym w jaskiniach lodowych. Sam Lambertson wraz z synem Maelem i Sergem Aviotte ustanowił rekord męski: -173 m. Przynieśli stamtąd mikroskopijne żyjątka, pasjonujące uczonych. Ich kuzynostwo znajdują oni z pustyni i głębin oceanów. Zasiadzone, mogą przetrwać bez szkody setki lat, zamrożone do zera absolutnego (-273 st.) po odtażeniu żyją nadal, nie zdradzając żadnych uszkodzeń. (jn)

# Co nowego w Tatrach

**Maciej Pawlikowski**

## Sezon zimowy 1993/94

Zima 1993/94 w Tatrach Polskich była nadzwyczaj uboga w dokonania taternickie. W Morskim Oku tylko 200 wyjść zespołów, z czego 38% to wycofy. Połowa wyjść w tym rejonie to "czoiówki" filarów i "podnoże" Mnicha. Pamięć zdecydowana niechęć do dłuższych podejść i wyznaczania odległych celów. Konsumpcyjny styl bycia taternikiem (krótka wspinaczka, weranda, dziewczyna + piwo) już kiedyś opisywany, zaczyna obowiązywać także zima.

Około 100 zespołów wspiniało się na Hali Gąsienicowej, a w Pięciu Stawach Polskich - śladowe ilości taterników. W Tatrach Zachodnich było około 40 zespołów, a działali tam głównie zakopiańczy dokonyując kilku wartościowych przejść.

Pogoda do 23 stycznia była mroźna, z niewielką ilością śniegu, a potem tygodniowy opad i od 10 lutego dobre warunki do końca kalendarzowej zimy. Większy ruch w górach zanotowano w okolicy Sylwestra i w połowie lutego. Od 15 marca taternicy praktycznie zniknęli z gór. W niektórych rejonach Tatr nikt nie wspiniał się przez parę miesięcy.

Mimo tych krytycznych uwag, kilkanaście przejść z tej zimy ma swoją jakość docenianą przez środowisko wspinaczkowe.

#### Nowe drogi

\* **DLUGI GIEWONT** - pn.śc. lewym ograniczeniem Komina z dziurami. "Mamy złe w głowach". V, AI: 18.02.1994 r.

"zakopiańczy".

\* **ZAGONNA TURNIA** - śr.pn. śc. - "Kaprysta aury". Szymon Kapeniak i Maciej Rysuła, 7.02.1994 r.

#### Powtórzenia

\* **Twarde Spady** - dr. Bednarza-Kozaczekiewicz - Paweł Bujakiewicz, Jacek Jania, Jan Muskat, 14.02.1994

\* **Wielka Turnia** - "monolit" dr. Dąsala - Szymon Kapeniak i Maciej Rysuła, 25.02.1994 r.

\* **Mięguszwiecki Szczyt** - filarem - Romuald Murawski i Jarosław Zdanowicz, 15.02.1994 r.

\* **Kazalnica** - filarem z prostowaniem - Krzysztof Gnutek i Tomasz Kohler, 19 - 21.02.1994 r.

\* **Kazalnica** - dr. Długosza - Michał Wiśniewski i Wojciech Wiwatowski, 13.02.1994 r.

\* **Kazalnica** - filarem - Piotr Czajkowski i Wojciech Ignatowski, 1 - 4.03.1994 r.

\* **Kazalnica** - filarem - Michał Wiśniewski i Wojciech Wiwatowski, 6 - 7.03.1994 r.

\* **Zadnia Bednarzowa Turnia** - pn. filarem - Paweł Bujakiewicz, Jacek Jania i Arkadiusz Kubicki, 19 - 20.02.1994 r.

#### Łańcuchówki

\* **Kozie Czuby** - "zetka" - Zmarzłe Czuby - pn. grzęda - Zmarzła Przełęcz Wyżnia - "Honoratka" - w zejściu Mały Kozł Wierch - śr. zleb pn. śc. A. Lejczak i M. Pawlikowski, 20.01.1994 r.

\* **Cubryna** - prawy filar - Mięguszwiecki Szczyt pn. śc. - Kazalnica dr. Korosadowicza, Wojciech Ignatowski, 24.02.1994 r.



# Wypadki taternickie i jaskiniowe w Tatrach Polskich w sezonie zimowym 1993/4

## Wypadki taternickie

Wyjątkowo spokojnie minął ten sezon zimowy.

Ratownicy TOPR tylko dwa razy wyruszyli na pomoc taternikom. W dniu 10.02.94 r. ze schroniska na Chocholowskiej na Grań Tatrz. wyruszyła dwójka młodych taterników z Katowic. W dniu 11.02. ze względu na trudne warunki atmosferyczne, postanowili oni w rejonie Raczkowej Przeł. zejść z grani. Idący do tej pory razem, taternicy rozdzielili się. Jeden z nich dotarł do schroniska na Chocholowskiej natomiast po jego partnerze ślad zaginął. Wieczorem zawiadomiono TOPR. Dwunastu ratowników całą noc przeszukiwało grań Ornaków, Dol. Starej Roboty i górne piętra Dol. Koscieleckiej. Poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Następnego dnia rano zadzwoniono do domu poszukiwanego do Katowic. Okazało się, że poszukiwany taternik cały i zdrow przebywa w domu i ani przez moment nie przypuszczał, że jego partner może się o niego niepokoić i ktoś może go w górach poszukiwać. Okazało się, że poszukiwany K. H. idąc z Raczkowej Przeł. zszedł Granią Ornaków na Ornak i dalej prosto na dworzec w Zakopanem, skąd czym prędzej odjechał do Katowic.

W dniu 27.03.94 r. ze wspinaczki na filarze Świnicy nie powrócił zespół P. N. i R. S. z KW Jastrzębie. O godz. 22.00 z Hali Gąsienicowej wyruszył zespół poszukiwaczy z B. Słomą na czele. Równocześnie z Centrali TOPR na poszukiwania udała się grupa ratowników. Przeszukiwano grań od Liliowego po Świnicką przeł. Świnicką Kotlinkę i rejon Zawratu. Poszukiwania trwające do godz. 5.00 nie przyniosły rezultatu. W dniu 28.03. wznowiono poszukiwania z udziałem śmigłowca. Z chwilą rozpoczęcia poszukiwań otrzymano informację, że poszukiwani cali i zdrowi powrócili do Bettejki.

W wyniku przeprowadzonych rozmów ze "zgrupami" okazało się, że biwakowali oni po stronie Dol. Cichej. W nocy słyszeli nawoływania i sygnały ratowników ale podobno bali się ujawnić, by nie płacić za akcję poszukiwawczą.

## Wypadki jaskiniowe

W dniu 17.02. wszedł do jaskini Ptasia Studnia, z zamiarem powrotu z dna jaskini metodą wspinaczkową, Stefan Stefański z Warszawy. W centrali TOPR zostawił wiadomość o swoich zamiarach oraz podał godzinę alarmową na południe w dniu 23.12.93 r. Przy wejściu do jaskini zostawił kartkę z informacją, że trwa samotna eksploracja jaskini i prosi by do dnia 23.12. nie wychodzić, by mu nie przeszkadzać w sportowym wyczynie. Gdy do godz. alarmowej S. S. nie powrócił z jaskini, rozpoczęto wyprawę ratunkową. Ratownicy pod kierownictwem R. Kubina weszli do jaskini. Na głębokości -200 m natrafiono na S. Stefańskiego. Jak się okazało, podczas schodzenia w dół, czyli w dniu 17.12. podczas przenoszenia sprzętu przez zacisk zgubił on kask z oświetleniem. (Kask spadł do dość głębokiej szczeliny). Ponieważ nie posiadał on przy sobie dodatkowego oświetlenia, został uwięziony w tej części jaskini. Mając przy sobie śpiwór, 2 litry wody i trochę jedzenia, przez tydzień oczekiwał na przyście pomocy.

Należy przyznać, że przyświecała mu pomoc doczekał w miarę dobrej formie psychicznej i fizycznej tak, że o własnych siłach wyszedł z ratownikami z jaskini.

W nocy z 12/13.02.94 r. jeden ze speleologów z KKTJ Kraków poinformował Centralę TOPR, że w Jaskini Miętusiej zasląbia ich koleżanka tak, że nie jest w stanie wyjść o własnych siłach. Wraz z nią pozostało kilka osób, ale nie są w stanie sami jej pomóc.

Do jaskini wyruszyła grupa ratowników pod wodzą R. Kubina. Na głębokości -100 m spotkano Magdę G. wraz z kolegami. Okazało się, że stan jej zdrowia na tyle się poprawił, że o własnych siłach pokonała ona ciasne partie jaskini. Na przeszkodzie w wyjściu na powierzchnię stanął im brak światła. Rola ratowników ograniczyła się tylko do użyczenia im karbidu.

Profilaktyk TOPR Adam Marasek

## Zawody w skialpinizmie PZA

Zawody narciarskie PZA, organizowane przez KW Zakopane, odbyły się za zgodą Dyrekcji TP'n w Dol. Pięciu Stawów Polskich w dniach 1-2.05.94.

1.05. -skialpinizm, na trasie: start - schronisko PTTK w Pięciu St. Polskich-Zadni Staw - pd.-wsch. śc. Świnicy (poręczówki) -Świnica - Skrajna Prz. - "Murowaniec" - Zawrat - meta: schronisko w Pięciu.

2.05.94 - zjazd terenowy spod Kołowej Czuby - na Wielki Staw.

Wyniki z dwóch dni były liczone do klasyfikacji generalnej. Trasa skialpinizmu bardzo urozmaicona długa i trudna, wymagała dużych umiejętności narciarskich i wspinaczkowych. Regulamin przewidywał posiadanie raków, czekana, uprząży itp. podstawowego sprzętu wspinaczkowego. Pogoda tego dnia z opadami i burzą dodatkowo skomplikowała trasę zawodnikom. Całą trasę przebyło 14 zawodników, a pozostali zostali sklasyfikowani na trasie krótszej. Po pierwszym dniu wśród kobiet prowadziła Zofia Bachleda, a wśród mężczyzn Piotr Konopka.

Drugiego dnia po mroźnej nocy, przy dużo lepszej pogodzie, odbył się zjazd terenowy spod Kołowej Czuby. Wśród kobiet zwyciężyła Marta Krzeptowska - Pięć



A. Lejezak podczas "prac" nad przygotowaniem trasy zawodów.  
Fot. P. Konopka

Stawów, a wśród mężczyzn Bogumił Paluszek - TOPR. W klasyfikacji generalnej decydujący był udział w pierwszym dniu zawodów.

W zawodach wzięło udział 29 zawodników.

Nagrody zostały ufundowane przez: Urząd Miasta Zakopanego, Zarząd PZA, sklep "Alpin Sport" i "Berg-sport".

Impreza ta była nadzwyczaj udana zarówno pod względem sportowym jak i towarzyskim. Zapraszamy do liczniejszego udziału w przyszłym roku.

Maciej Pawlikowski

## Klasyfikacja generalna

### Kobiety

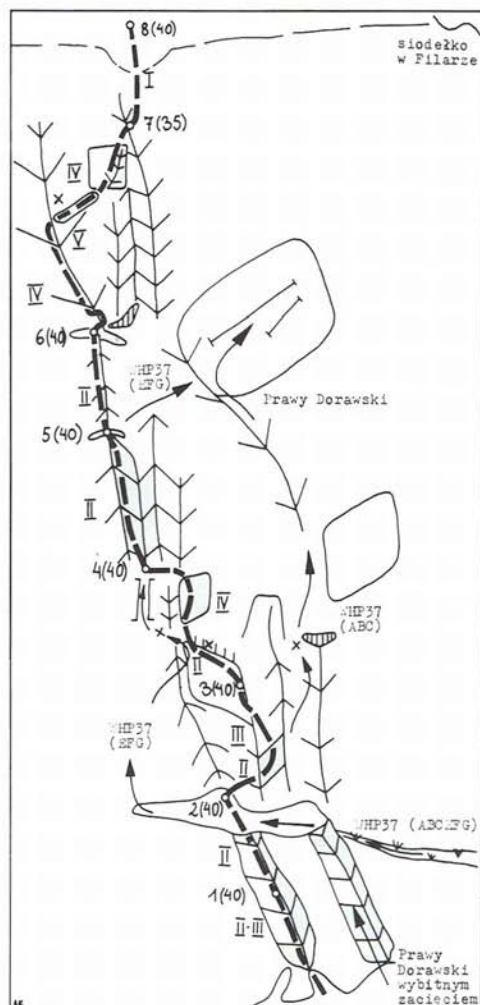
1. Zofia Bachleda KW Zakopane; 2. Krystyna Suchocka KW Zakopane; 3. Małgorzata Gładkowska KW Warszawa; 4. Elżbieta Pawlikowska KW Zakopane; 5. Mał-

gorzata Kot TPN; 6. Marta Krzeptowska Pięć Stawów; 7. Maria Krzeptowska Pięć Stawów; 8. Agnieszka Bachleda; 9. Agnieszka Jończyk.

### Mężczyźni

1. Piotr Konopka KW Zakopane; 2. Andrzej Lejczak KW Zakopane; 3. Tomasz Ostrowski KW Warszawa; 4. Tomasz Czarski KW Warszawa, Emil Mikulski KW Wrocław, Ryszard Skurmiak KW Rzeszów; 7. Michał Chruściel KW Rzeszów; 8. Andrzej Ostrowski KW Warszawa; 9. Roman Kuźniar KW Warszawa, Krystian Ignas KW Rzeszów; 11. Aleksander Niżnikiewicz KW Opole; 12. Adam Chruściel KW Rzeszów; 13. Marcin Chlebowski KW Wrocław; 14. Michał Parocki KW Kraków; 15. Maciej Pawlikowski KW Zakopane; 16. Marek Kot TPN; 17. Bogumił Paluszek TOPR; 18. Jakub Marusz TOPR; 19. Andrzej Krzeptowski TOPR; 20. Jan Tybor TOPR

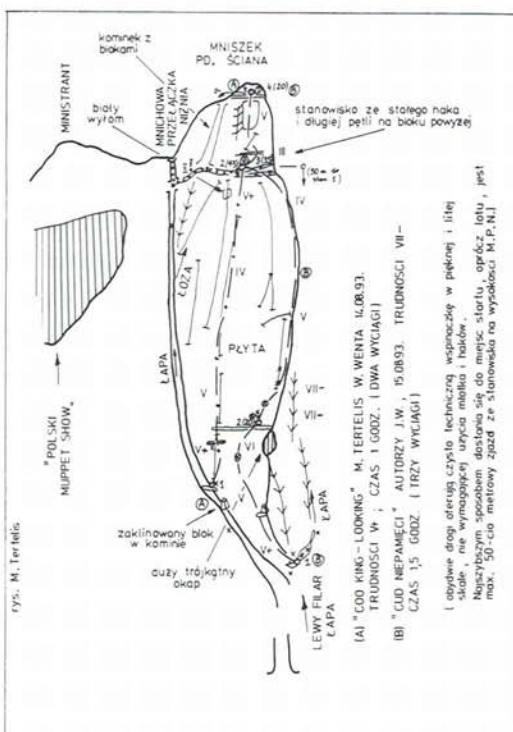
# Nowe drogi w Tatrach



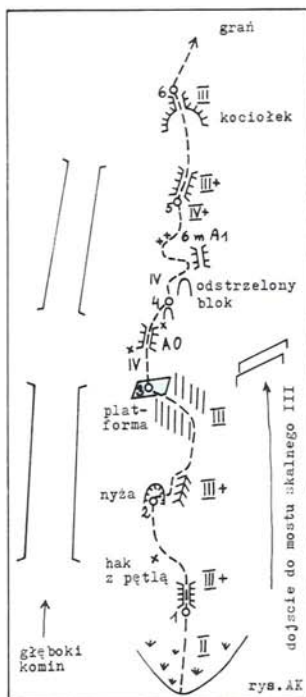
## Swinica

Swinica, pn-wsch ścianą, wariant nazwany "Jajusie sadzone". 16.II.1994 r. Maciej Tertelis, Wojciech Wentta, V, A0. Czas pierwszego przejścia 6 godzin. Droga przebiega ciągiem płytowych zacięć, średnio 30 metrów w lewo od drogi Dorawskiego (WIIP 37 ABC), płyty wyciąg pokrywa się z wariantem WIIP 37F.

Maciej Tertelis







## Sprzęt

Jesienne targi ISPO w Monachium przyniosły kilka interesujących innowacji, stanowiących, jak to podkreślono na konferencji prasowej, "nowy krok w stronę bezpieczeństwa". I tak SALEWA - tym razem jako importer - zaprezentowała serię rosyjskich śrub lodowych z tytanu. Śruby "made in CIS" od paru lat były już obecne na zachodnich rynkach, nowością polega na tym, że teraz pojawiły się z atestem UIAA, uzyskanym na koszt SALEWY. Jak wykazują badania, śruby "Titan I" (15 mm, 100 g) i "Titan II" (22 mm, 112 g) wytrzymują w lodzie obciążenia od 1100 do 2000 kp. Przy okazji zrealizowano też pożyteczny pomysł: średnice śrub dopasowano do siebie, tak że cienisz mieści się we wnętrzu grubszej, co znakomicie upraszcza ich transport. SALEWA wystawia też raki tytanowe "made in CIS" - o połowę cięższe od tradycyjnych i dwukrotnie od nich silniejsze. Kolejną nowością ISPO to "plecak z komórką". Alpinista nie musi się już troszczyć o to, gdzie podziąć kołzaste raki czy włożyć na wstrząsy aparat fotograficzny. W plecak firmy "Deuter" wbudowano słuchawki, dostępne z zewnątrz pudełko, które łatwo można zdemontować. Plecak "Safebox" o pojemności 40 lub 45 l kosztuje 180-190 DM.

I trzecia nowinka z ISPO, najważniejsza, gdyż decydująca o życiu wspinacza: karabinek "Genius" zasłużonej wytwórni STUBAI. Ogólnie wiadomo, że nowoczesne karabinki są w stanie sprostać maksymalnym obciążeniom występującym przy wspinaniu. Maja jednak - a o tym wie mało kto - dwa słabe punkty, które ujawniły się w sposób dramatyczny (wypadki śmiertelne), kiedy na drogach sportowych odpadnięcia stały się praktyką powszechną. Ulegają mianowicie zerwaniu lub rozciąganiu, przy obciążeniu poprzecznym i b. Jeśli języczek nie jest domknięty, nowa konstrukcja eliminuje obte te pułapki. Trwale umocowanie ślasy ekspresu umożliwia boczne ustawienie karabinka zaś jego języczek otrzymał przemysłowe urządzenie, które blokuje go w pozycji "zamkniętej" już przy obciążeniu 3 kp. Karabinek "Genius" nie znalazł się jeszcze w sprzedaży, ale pracownia Sicherheitskreis DAV już zdążyła wziąć za "warsztat". Opinia Pita Schubertha jest pozytywna: blokada włącza się samoczynnie przy podaniu w normie obciążeniu, a mechanizm działa bez zarzutu. Sprawdzono go do 1500 kp, co się równa sile działającej przy 30-metrowym upadku. Na wspinaczkę karabinek jest poręczny, to znaczy nie wymaga żadnych innych manipulacji, niż tradycyjny. Ma nawet dwie dodatkowe zalety: języczek można zablokować w pozycji "otwarte", co jest istotne przy maksymalnym wysiłku w skale, zaś taśmę ekspresu przy jej zużyciu lub uszkodzeniu można wymienić samemu. "Genius" waży bez taśmy 50 g i ma gwarancję do 2100 kp. Cień ustalono na poziomie 20 DM. "Możemy stwierdzić - pisze H. Schuberth - że w sprzęcie ciągle jeszcze możliwe są istotne innowacje. Tym razem mamy je przy karabinkach, które już w połowie lat sześćdziesiątych wydawały nam się być konstrukcyjnie dojrzałe. Produkcji wprowadzają naprawdę dalsze udogodnienia, np. zębel języczek, ale miały one jednak wpływ na bezpieczeństwo wspinania. A o to chodzi nam w pierwszym rzędzie. (JN)

## Dziurawa Baszta

Środek wschodniej ściany Dziurawej Baszty w otoczeniu Małej Świstówki w Dolinie Miętusiej. Droga prowadzi depresją tuż na prawo od olbrzymiego, częściowo przewieszzonego komina. Na drugim wyciągu znaleziono stary hak z pętlą. Prawdopodobnie poztawili je warszawscy speleolodzy poszukujący jaskiń.

Pierwsze przejście 13.XII.1993 roku: Andrzej Kurowski i Stefan Stelański. Trudności IV A1, trawy o nachyleniu 60-80°. Wysokość ściany 170 m. Czas pierwszego przejścia 13 godzin.

## Akademiczne Mistrzostwa Polski we Wspinaczce Sportowej '94

Już po raz czwarty Szczeciński Klub Wysokogórski był organizatorem zawodów wspinaczkowych na luku teatru letniego.

W tym roku odbyły się one w dniach 4-5 czerwca i miały formułę Akademickich Mistrzostw Polski we wspinaczce sportowej.

W tym roku dzięki dużej ilości sztucznych chwytów otrzymanych od firmy ART Rocher Artura Zborowskiego, drogi eliminacyjne ustawione zostały na obydwu stronach luku. Niemal równocześnie rozgrywane były na nich eliminacje.

W zawodach startowali reprezentanci klubów z całej Polski, oczywiście jak co roku najliczniej był reprezentowany klub Korona Kraków, gościli również w Szczecinie członkowie KW Częstochowa, KW Trójmiasto, KW Katowice, KW Warszawa, KW Nowy Sącz. W zawodach wystartowali również reprezentanci Szczecińskiego Klubu Wysokogórskiego.

Na zaproszenie organizatorów po raz pierwszy w szczecińskich zawodach poza konkurencją startował niemiecki zawodnik Olaf Herenkind - mieszkaniec Berlina.

Wszystkie drogi wspinaczkowe zostały ułożone przez Stanisława Piecucha, którego wysoka forma i wszechstronność sportowa jest godna podziwu.

W eliminacjach startowało 27 zawodników. Do finału przeszło 13 zawodników i 3 zawodniczki.

Impreza finałowa rozpoczęła się w niedzielę 5 czerwca o godz. 11.00 rozegranie finału kobiet na drodze o trudnościach 7b+.

Startowały w nich trzy panie: Ula Wróbel, Renata Piszczek i Monika Niedbalska - wszystkie z KS Korona Kraków. Mistrzynią Polski została Renata Piszczek, drugie miejsce zajęła Monika Niedbalska a trzecie Urszula Wróbel. Oprócz rozgrywek sportowych zawierała bogaty program artystyczny pod hasłem "sport i zabawa", w którym brały udział zespoły młodzieżowe i dziecięce.

Niezwykłą ciekawostką było rozegranie, po raz pierwszy w Polsce, dziecięcych zawodów wspinaczkowych w dwóch grupach wiekowych: 6-9 lat oraz 9-14 lat.

Dzieci 6-letnie - wychowankowie "Niepublicznego Przedszkola preferującego pogodny i zdrowy styl życia" ze Szczecina, od 3 miesięcy uczestniczyły w zawodach wspinaczkowych, które odbywały się na ścianie wspinaczkowej w lokalu SKW.

Dzieci starsze zostały wybrane spośród tych, które

najlepiej wspinają się pod okiem instruktorów z klubu. Trzeba przyznać, że zaciecie sportowe, odwaga i predyspozycje małych zawodników, a także gorący doping rodziców spowodowały, że przez moment rozgrywki sportowe dzieci przyciągnęły większe zainteresowanie niż zmagania w przewieszanej strefie luku "zawodowych finalistów".

Wszystkie dzieci, bez względu na wyniki w zawodach zostały obdarowane podarunkami od firmy A'S'S' oraz sztucznymi chwytnymi od firmy ART ROCHER, które sprawiły im szczególną radość. Koszulki firmowe zawodów przekazane dzieciom są z dumą noszone tak do przedszkola, jak i do szkoły.

W czasie, gdy na dole luku trwała sportowa zabawa, na drodze finałowej rozgrywała się zacięta walka pomiędzy czterema zawodnikami. Jacek Jurkowski, Renard Stachnik, Grzegorz Kimla i Sebastian Zasadzki ukończyli drogę i doszli do superfinału.

Pierwsze miejsce, i tytuł Akademickiego Mistrza Polski zajął Jacek Jurkowski z KW Nowy Sącz, drugie Renard Stachnik z KS Korona a trzecie Grzegorz Kimla z KW Częstochowa.

Imprezę sportową zakończyło tradycyjnie, jak co roku, spotkanie w lokalu klubu, na którym ugoszczono zawodników specjalnie przygotowanymi kanapkami i piwem.

Podsumowując szczecińskie zawody trzeba powiedzieć, że z całą pewnością są to najlepiej zorganizowane zawody we wspinaczce sportowej rozgrywane w Polsce. Wysoki poziom sportowy, sprawna organizacja, wysoka pula nagród i ogromne możliwości obiektu, jakim jest huta Teatru Letniego, rokitują nadzieję na zorganizowanie w przyszłym roku zawodów międzynarodowych.

Organizatorzy liczą na szczególne poparcie w tej gestii władz zarówno Miasta Szczecina jak i Polskiego Związku Alpinizmu oraz całego środowiska wspinaczkowego.

#### Klasyfikacja końcowa

##### Kobiety

1. Renata Piszczek KS Korona; 2. Monika Niedbalska KS Korona; 3. Ula Wróbel KS Korona; Aleksandra Tomkiewicz KW Katowice; Oliwia Bechyne KW Częstochowa.



##### Mężczyźni

1. Jacek Jurkowski KW Nowy Sącz; 2. Renard Stachnik KS Korona; 3. Grzegorz Kimla KW Częstochowa; 4. Sebastian Zasadzki KS Korona; 5. Grzegorz Pleśniak KS Korona; 6. Marcin Wróbel KS Korona; 7. Jacek Trzemzałski KS Korona; 8. Piotr Kruczek KS Korona; 9. Leszek Milczarek SGSP Warszawa; Piotr Drobot KS Korona; 11. Jakub Rozbicki KW Trójmiasto; 12. Wojciech Wiwatowski KW Toruń; 13. Andrzej Stano - niezrzeszony.

Bernadeta Szczepańska

## Get High Magazine...

mountain sports

**Regular monthly articles on: Rock Climbing (Home and abroad), Mountaineering, Serious Hill Walking, Gear Reports, Personality Profiles, Basic Techniques, BMC news, Letters, plus occasional features on mountain based paragliding and ski - mountaineering.**

FOR  
"WORLDWIDE  
MOUNTAIN INFO"

I wish to subscribe to "HIGH" monthly, at £27 UK, (plus £2.50 if BMC membership required, UK only), £32 overseas

I authorise you to debit my ACCESS/VISA/MASTERCARD account with the amount of £

I enclose my remittance for UK £

My card no. is  Expiry Date

Transfer to High Magazine Ltd. credit cards are easier for overseas subscribers

Cardholder name and address

Name  Delivery address

BMC membership required £2.50 extra (UK only) YES/NO

Most back issues are available @ £2.30 UK, £3.30 Overseas.

Send to: HIGH MAGAZINE LTD, 164 BARKBY ROAD, LEICESTER LE4 9LF, ENGLAND



**Wojciech Świecicki**  
**Komisja Szkolenia PZA**

## Instruktorzy PZA

Trzeba przyznać, że regulamin stopni instruktorskich w PZA zmienia się stosunkowo często. Poprzednie, wcale zresztą udane, rozwiązanie zostało zainicjowane na Walnym Zjeździe w 1983 roku, i po raptem 10-cio letnim żywocie przyszła pora na wprowadzenie zasadniczych przeróbek. Można by nawet złośliwie sądzić, że zmiana systemu stopni instruktorskich jest sprawą ambicji każdej ekipy tworzącej Komisję Szkolenia PZA. Wbrew pozorom jednak, to nie zapędy administracyjno-biurokratyczne, a tzw. samo życie wskazywało konieczność zasadniczej przebudowy dotychczas istniejących rozwiązań.

Najważniejszą przyczyną wprowadzenia zmian (które nawiasem mówiąc część naszego środowiska w ogóle nie chciała dostrzec, i to zdaje się głównie z powodów ideologicznych) było powstanie, wyodrębnienie i usamodzielnienie się nurtu wspinaczki skałkowej i wspinaczki po obiektach sztucznych. Oznaczało to konieczność przygotowania kadry instruktorskiej dla tej dyscypliny wspinaczkowej, przynajmniej o tyle specyficznej, że instruktorzy szkolący w skałkach nie muszą mieć za sobą kariery wysokogórskiej. Po wtóre, dał się zauważyć niepokojący dość fakt, że część znakomitych wręcz instruktorów tatrzańskich po prostu źle szkolili w skałkach, co miało swoją przyczynę w ewidentnych brakach programowych kursów instruktorskich. Po trzecie wreszcie, zaistniała konieczność dopasowania polskiego systemu szkolenia instruktorów do założeń UIAA, bowiem unifikacja stopni i programów kursów instruktorskich w skali międzynarodowej daje w sposób oczywisty większe szanse pracy szkoleniowej za granicą.

Prace nad nowym systemem stopni instruktorskich miały zrazu charakter eksperymentalny. Dopiero na drodze prób i błędów udało się wypracować zadowalającą formułę szkolenia instruktorów w nowy sposób, co z kolei stanowiło podstawę do ustanowienia nowych stopni instruktorskich. Komisja Szkolenia PZA rozszerzona o grono kompetentnych instruktorów z różnych środowisk, po dwudniowej debacie w Chatce Wielkanocnej (9-10 października 1993 r.) zaproponowała wprowadzenie następujących stopni instruktorów:

- \* instruktor wspinaczki skalnej,
- \* instruktor wspinaczki sportowej,
- \* instruktor taternictwa,
- \* instruktor alpinizmu,
- \* instruktor senior.

Jak widać, nowy system stopni odzwierciedla kolejne szczeble kariery instruktorskiej. Każdy kandydat na



instruktora musi rozpocząć swoją edukację od ukończenia kursu instruktora wspinaczki skalnej i tygodniowego stażu w skałkach, co daje uprawnienia do szkolenia na sztucznych obiektach oraz w rejonach o charakterze skałkowym. Wybitni wspinacze (traktując rzecz dwustopniowo) mogą ubiegać się po ukończeniu odpowiedniego kursu na AWF o nadanie stopnia instruktora wspinaczki sportowej, a więc stopnia bardzo zbliżonego do uprawnień trenerskich.

Szkolenie w terenie wysokogórskim różni się, co oczywiste, od szkolenia skałkowego. Kandydaci na instruktorów taternictwa muszą, po pierwsze, posiadać stopień instruktora wspinaczki skalnej. Po drugie, mieć za sobą przeszłość taternicką (w najlepszym znaczeniu tego słowa) oraz, po trzecie, ukończyć stosowny kurs i 4 tygodniowy staż w COS PZA. Przy okazji warto zauważyć, że w szkoleniu instruktorskim wszystkich stopni znacznie wzrosła ranga stażu, bo jak uczy doświadczenie, właśnie aspirantura stanowi z praktycznego punktu widzenia najważniejszy element szkolenia instruktorskiego.

Instruktorzy taternictwa, jeśli mają dorobek zimowy oraz doświadczenia z gór lodowcowych, mogą ubiegać się o stopień instruktora alpinizmu w podobnym trybie tj. poprzez ukończenie kursu i 2 tygodniowego stażu zimowego w COS PZA oraz dodatkowo, co istotne, po przeprowadzeniu co najmniej 2 turnusów na kursach zimowych. Wszelkie odstępstwa od przyjętej procedury muszą uzyskać akceptację Komisji Szkolenia PZA.

Żupelną nowością jest stopień instruktora seniora, który ma nie tylko usatysfakcjonować instruktorów z wieloletnim stażem szkoleniowym, ale też umożliwić zgodne z nowymi przepisami szkolenie w miarę sił i możliwości. Warunkiem uzyskania stopnia instruktora jest ukończenie 50 lat i udokumentowana działalność szkoleniowa przez okres przynajmniej 10 sezonów.

Kolejną innowacją wartą szerszego omówienia jest zniesienie (na razie tylko tytułem eksperymentu) obowiązku odnawiania uprawnień instruktorskich poprzez szkolenie co 3 lata na kursach centralnych. Za-



POLSKI ZWIĄZEK ALPINIZMU

## LICENCJA INSTRUKTORSKA

nr .....

upoważnia do szkolenia  
w roku 1994

.....  
Imię i nazwisko instruktora

miast tego, przynajmniej dość uciążliwego obowiązku, wprowadzono system licencji ważnych przez 1 rok, a przyznawanych przez Komisję Szkolenia PZA. Innymi słowy instruktor, który szkoli źle, lub którego wiedza po prostu trochę zardzewiała, w celu otrzymania wspomnianej licencji będzie musiał spełnić wcześniej warunki postawione przez Komisję Szkolenia PZA. Udzielanie licencji zgodnie z naturą tego dokumentu jest odpłatne, a na podstawie decyzji Zarządu PZA kwoty pochodzące z tego źródła mogą być wykorzystywane wyłącznie na szeroko rozumiane cele szkoleniowe.

W dniach 11 i 12 grudnia 1993 r., a potem w drugiej turze w dniach 17 i 18 kwietnia 1994 r. odbyły się posiedzenia Komisji Weryfikacyjnej powołanej przez Zarząd PZA do przeprowadzenia akcji nadawania nowych stopni instruktorskich. W wyniku dość żmudnej procedury nadano: 20 osobom stopień instruktora wspinaczki skalnej, 46 stopień instruktora taternictwa, 63 stopień instruktora alpinizmu i 34 osobom stopień instruktora seniora.

Nowo mianowani instruktorzy otrzymali nowe książeczki instruktorskie oraz nowe odznaki zaprojektowane przez wspinającą się plastyczkę, p. Jolantę Górnicką-Mościcką. Poniżej prezentujemy kompletną listę zweryfikowanych do tej pory instruktorów tzw. powierzchniowych, a w następnym numerze Taternika opublikujemy listę zweryfikowanych instruktorów taternictwa jaskiniowego.

#### Zweryfikowani instruktorzy taternictwa

|                         |                 |     |
|-------------------------|-----------------|-----|
| 1. Konstanty Bahuciński | KW Wrocław      | 103 |
| 2. Jacek Banasiak       | AKG Łódź        | 104 |
| 3. Jerzy Budkowski      | KW Szczecin     | 105 |
| 4. Jarosław Caban       | KW Łódź         | 106 |
| 5. Stefan Domagała      | AKG Łódź        | 107 |
| 6. Krzysztof Dzinbek    | KW Kraków       | 108 |
| 7. Lech Flaczyński      | KW Toruń        | 109 |
| 8. Maciej Gazicki       | AKG Łódź        | 110 |
| 9. Szczepan Głogowski   | KW Warszawa     | 111 |
| 10. Mariusz Gólkowski   | KW Kraków       | 112 |
| 11. Emanuel Hornowski   | KW Łódź         | 113 |
| 12. Wiesław Ignatowski  | KW Toruń        | 114 |
| 13. Sławomir Jabłoński  | KW Szczecin     | 115 |
| 14. Jacek Jachymski     | AKG Łódź        | 116 |
| 15. Rafał Kardaś        | Speleoklub W-wa | 117 |
| 16. Kazimierz Kiszka    | Krakowski KA    | 118 |
| 17. Dariusz Kopczyński  | KW Toruń        | 119 |
| 18. Przemysław Kosek    | KW Łódź         | 120 |
| 19. Ewa Kuczaj          | KW Kraków       | 121 |
| 20. Andrzej Machnik     | KW Gliwice      | 122 |
| 21. Wiesław Madejczyk   | KW Rzeszów      | 123 |
| 22. Paweł Michalak      | KW Warszawa     | 124 |
| 23. Waldemar Niemiec    | KW Kraków       | 125 |
| 24. Jacek Ostaszewski   | KW Kraków       | 126 |
| 25. Piotr Panufnik      | KW Warszawa     | 127 |
| 26. Joanna Piotrowicz   | KW Poznań       | 128 |
| 27. Zbigniew Piotrowicz | KW Poznań       | 129 |
| 28. Zbigniew Płatek     | Krakowski KA    | 130 |
| 29. Marek Pokszan       | KW Warszawa     | 131 |
| 30. Jan Roj             | KW Zakopane     | 132 |
| 31. Janusz Ryszewski    | KW Toruń        | 148 |
| 32. Andrzej Skwirzyński | KW Kraków       | 133 |
| 33. Stefan Stefański    | Speleoklub W-wa | 134 |
| 34. Wiesław Stefański   | KW Kraków       | 135 |
| 35. Mariusz Sygnet      | AKG Łódź        | 136 |
| 36. Jarosław Swiderski  | AKG Łódź        | 137 |

|                         |             |     |
|-------------------------|-------------|-----|
| 37. Zbigniew Tatarczuch | KW Kraków   | 138 |
| 38. Maciej Tertelis     | KW Warszawa | 139 |
| 39. Tomasz Tokarz       | KW Warszawa | 140 |
| 40. Jan Tybor           | KW Katowice | 141 |
| 41. Ryszard Urbanik     | KW Warszawa | 142 |
| 42. Krzysztof Witkowski | KW Gliwice  | 143 |
| 43. Joanna Wolf         | KW Warszawa | 144 |
| 44. Andrzej Zieliński   | PKG         | 145 |
| 45. Jerzy Zontek        | KW Bielsko  | 146 |
| 46. Waldemar Żmurko     | KW Szczecin | 147 |

#### Zweryfikowani instruktorzy alpinizmu

|                                |               |    |
|--------------------------------|---------------|----|
| 1. Janusz Baranek              | KW Gliwice    | 41 |
| 2. Jacek Bilski                | KW Zakopane   | 42 |
| 3. Andrzej Blacha              | KW Zakopane   | 43 |
| 4. Wiesław Burzyński           | KW Kraków     | 44 |
| 5. Jacek Czyż                  | KW Rzeszów    | 45 |
| 6. Andrzej Dulkiewicz          | KW Warszawa   | 46 |
| 7. Wojciech Dzik               | KW Katowice   | 47 |
| 8. Jacek Fluder                | KW Katowice   | 48 |
| 9. Arkadiusz Gąsienica Józkowy | KW Katowice   | 49 |
| 10. Ryszard Gos                | KW Warszawa   | 50 |
| 11. Józef Goździk              | AKG Łódź      | 51 |
| 12. Piotr Henschke             | KW Szczecin   | 52 |
| 13. Krystian Ignas             | KW Rzeszów    | 53 |
| 14. Bogdan Jankowski           | KW Wrocław    | 54 |
| 15. Jacek Jasiński             | KW Kraków     | 55 |
| 16. Wojciech Jedliński         | AKG Sopot     | 56 |
| 17. Włodzimierz Jeżak          | KW Poznań     | 57 |
| 18. Andrzej Klos               | KW Olsztyn    | 58 |
| 19. Jacek Kmin                 | AKG Łódź      | 59 |
| 20. Ryszard Knapczyk           | Krakowski KTJ | .. |
| 21. Michał Kochanczyk          | KW Trójmiasto | 60 |
| 22. Piotr Konopka              | KW Zakopane   | 61 |
| 23. Bogdan Kowalczyk           | KW Łódź       | 62 |
| 24. Leszek Kozik               | KW Kraków     | 63 |
| 25. Krzysztof Królikowski      | KW Lublin     | 64 |
| 26. Janusz Kubica              | KW Kraków     | 65 |
| 27. Andrzej Kaluga             | Krakowski KA  | 66 |
| 28. Jacek Luniak               | KW Warszawa   | 67 |
| 29. Piotr Malinowski           | KW Zakopane   | 68 |
| 30. Władysław Malinowski       | KW Warszawa   | 69 |
| 31. Andrzej Marczak            | KW Warszawa   | 70 |
| 32. Andrzej Matuszyk           | KW Kraków     | 71 |
| 33. Bogdan Mazurkiewicz        | KW Kraków     | 72 |
| 34. Henryk Mierzewski          | KW Warszawa   | 73 |
| 35. Jan Orłowski               | Krakowski KTJ | 74 |
| 36. Jacek Patrzykont           | UKA Warszawa  | 75 |
| 37. Andrzej Paulo              | TPNoZ Kraków  | 76 |
| 38. Maciej Pawlikowski         | KW Zakopane   | 77 |
| 39. Ryszard Pawłowski          | KW Katowice   | 78 |
| 40. Jerzy Pepol                | KW Olsztyn    | 79 |
| 41. Adam Potoczek              | KW Kraków     | 80 |
| 42. Piotr Pustelnik            | AKG Łódź      | 81 |
| 43. Juliusz Rudziński          | AKG Łódź      | 82 |
| 44. Andrzej Samolewicz         | Krakowski KA  | 83 |
| 45. Andrzej Skłodowski         | KW Warszawa   | 84 |
| 46. Janusz Skorek              | KW Gliwice    | 85 |
| 47. Bogumił Słama              | KW Warszawa   | 86 |
| 48. Tadeusz Shipski            | UKA Warszawa  | 87 |
| 49. Wacław Sonelski            | KW Gliwice    | 88 |
| 50. Wojciech Szymandera        | Krakowski KA  | 89 |
| 51. Wojciech Święcicki         | AKG Łódź      | 90 |
| 52. Piotr Tabakowski           | TPNoZ Kraków  | 91 |



|                            |             |     |
|----------------------------|-------------|-----|
| 53. Krzysztof Treter       | KW Katowice | 92  |
| 54. Zbigniew Trzmiel       | KW Poznań   | 93  |
| 55. Zbigniew Wach          | KW Katowice | 94  |
| 56. Wojciech Wajda         | KW Wrocław  | 95  |
| 57. Włodzimierz Waligóra   | KW Poznań   | 96  |
| 58. Ludwik Wilczyński      | KW Toruń    | 97  |
| 59. Władysław Wisz         | KW Kraków   | 98  |
| 60. Krzysztof Zdzitowiecki | KW Warszawa | 99  |
| 61. Mieczysław Ziach       | KW Zakopane | 100 |
| 62. Marek Zierhoffer       | KW Poznań   | 101 |
| 63. Adam Zyzak             | KW Katowice | 102 |

### Zweryfikowani instruktorzy seniorzy

|                          |                 |    |
|--------------------------|-----------------|----|
| 1. Marian Bała           | KW Kraków       | 1  |
| 2. Janusz Bagsik         | KW Kraków       | 2  |
| 3. Andrzej Bara          | KW Katowice     | 3  |
| 4. Janusz Baryla         | KW Kraków       | 4  |
| 5. Waldemar Betlejowski  | Bielski KA      | 5  |
| 6. Zbigniew Burczak      | Bielski KA      | 6  |
| 7. Jan Chmielewski       | KW Lublin       | 7  |
| 8. Władysław Cywiński    | KW Zakopane     | 8  |
| 9. Janusz Ferenski       | KW Wrocław      | 9  |
| 10. Robert Janik         | KW Zakopane     | 35 |
| 11. Jacek Jaworski       | KW Kraków       | 10 |
| 12. Zygmunt Kieć         | KW Wrocław      | 11 |
| 13. Marek Koziński       | KW Kraków       | 12 |
| 14. Feliks Kohler        | Bielski KA      | 13 |
| 15. Bogdan Krauze        | KW Toruń        | 14 |
| 16. Tadeusz Laukajtys    | KW Toruń        | 15 |
| 17. Leszek Łacki         | PKG             | 16 |
| 18. Mogdan Mac           | KW Łódź         | 17 |
| 19. Ignacy Nendza        | KW Katowice     | 18 |
| 20. Kazimierz Opyrchal   | Bielski KA      | 19 |
| 21. Andrzej Paczkowski   | KW Warszawa     | 20 |
| 22. Paweł Pallus         | KW Katowice     | 21 |
| 23. Maciej Popko         | Speleoklub W-wa | 22 |
| 24. Andrzej Popowicz     | KW Katowice     | 23 |
| 25. Władysław Prokopenko | KW Bielsko      | 24 |
| 26. Tadeusz Rewaj        | KW Szczecin     | 25 |
| 27. Jacek Rusiecki       | KW Kraków       | 33 |
| 28. Antoni Sidorowicz    | KW Wrocław      | 26 |
| 29. Andrzej Sobolewski   | KW Warszawa     | 27 |
| 30. Jerzy Wala           | KW Kraków       | 28 |
| 31. Jan Weigel           | Bielski KA      | 29 |
| 32. Andrzej Wilczkowski  | KW Łódź         | 30 |
| 33. Stanisław Worwa      | KW Kraków       | 31 |
| 34. Leszek Zabdyr        | KW Kraków       | 32 |

### Zweryfikowani instruktorzy wspinaczki skalnej

|                               |               |     |
|-------------------------------|---------------|-----|
| 1. Janusz Bartos              | KW Trójmiasto | 151 |
| 2. Włodzimierz Comporek       | KW Trójmiasto | 152 |
| 3. Piotr Dębski               | AKG Łódź      | 153 |
| 4. Ryszard Emilewicz          | KS Korona     | 154 |
| 5. Robert Kaźmierski          | KW Poznań     | 155 |
| 6. Marek Kujawiński           | AKG Łódź      | 156 |
| 7. Wojciech Leder             | AKG Łódź      | 157 |
| 8. Andrzej Łata               | KW Olsztyn    | 158 |
| 9. Wojciech Mateja            | KW Zakopane   | 159 |
| 10. Jan Muskat                | KW Zakopane   | 160 |
| 11. Monika Niedbalska         | KS Korona     | 161 |
| 12. Stanisław Piecuch         | KW Szczecin   | 162 |
| 13. Kazimierz Ruszala         | KW Rzeszów    | 163 |
| 14. Krzysztof Sas-Nowosielski | KW Katowice   | 164 |

|                          |             |     |
|--------------------------|-------------|-----|
| 15. Michał Szczepanik    | KW Łódź     | 165 |
| 16. Aleksandra Tomkowicz | KW Katowice | 166 |
| 17. Danuta Wach          | KW Katowice | 167 |
| 18. Robert Wollek        | KW Kraków   | 168 |
| 19. Grzegorz Zieliński   | KW Kraków   | 169 |
| 20. Norbert Ziobier      | AKG Łódź    | 170 |

## Kurs instruktorów taternictwa

Tradycyjnie w kwietniu odbyła się druga z kolei edycja kursu instruktorów taternictwa, organizowana według nowych zasad i nowego programu. Kadre kursu stanowili: A. Blacha, K. Bałuciński, A. Kłos, J. Rudziński, W. Sonelski oraz W. Świąćicki (kierownik). Słuchaczy było mniej niż "szeryfów", co z punktu widzenia skuteczności nauczania ma same zalety. Na kurs przybyli: D. Wach z KW Katowice, J. Muskat i W. Mateja z KW Zakopane, M. Kujawiński z AKG Łódź i S. Piecuch reprezentujący od niedawna Szczeciński KW. W programie kursu znalazły się następujące wykłady i ćwiczenia:

- Przepisy PZA i TPN.
- Topografia szczegółowa rejonu działania.
- Terenoznawstwo.
- Drogi kursowe jako narzędzie pracy.
- Taktyka prowadzenia.
- Miejsce instruktora w zespole.
- Bezpieczeństwo własne instruktora.
- Bezpieczeństwo kursanta.
- Łączność radiowa.
- Higiena i fizjologia.
- Medycyna gór wysokich.
- Autoratownictwo i pierwsza pomoc.
- Transport rannego.
- Współpraca z TOPR.
- Repetytorium z zagadnień technicznych.
- Metodyka nauczania asekuracji.
- Metodyka nauczania autoratownictwa.
- Metodyka nauczania odwrotu.
- Metodyka nauczania wspinaczki.
- Współpraca z innymi instruktorami.
- Sytuacje konfliktowe w szkoleniu.
- Problemy aspirantury.
- Gra wojenno-instruktorska.

Przy okazji warto przypomnieć wszystkim zainteresowanym, że kursy instruktorskie odbywają się w cyklu dwuletnim, tzn.: kursy instruktorów wspinaczki skalnej organizowane są w latach nieparzystych, a kursy instruktorów taternictwa w latach parzystych. O wszystkich szczegółach informują komunikaty Komisji Szkolenia PZA rozsyłane do klubów na początku roku.

W.Ś.



# Śmierć w szczelinie - sprostowanie

W ostatnim numerze "Taternika" 1/93, w artykule "Śmierć w szczelinie", wkładły się pewne nieścisłości i przekłamania wypaczające w zasadniczy sposób prawdę o tym tragicznym wydarzeniu. Mam nadzieję, że zostały one sprowadzone nieumyślnie przez redagującego notatkę, który oparł się najprawdopodobniej na zasłyszanych nieścisłych informacjach. Artykuł opisywał zdarzenia, w wyniku których poniósł śmierć w lodowej szczelinie u podnóża Koenigspitze mój długoletni przyjaciel i wspinaczkowy partner z Klubu Wysokogórskiego w Bielsku-Białej, Rysiek Kastelik.

Nieprawdą jest - jak pisał autor artykułu - że po pokonaniu północnej ściany Koenigspitze schodziliśmy na stronę południową w kierunku schroniska Cassati. Faktycznie poszliśmy w przeciwnym kierunku, na stronę północną, do schroniska Schaubachhütte poprzez przełęcz Koenigsjoch. Wypadek miał miejsce gdy do schroniska pozostało nam jeszcze 30 minut marszu, a chwilę po tym, jak rozwiązaliśmy się, uważając (co okazało się tragiczne w skutkach), że znajdujemy się już na bezpiecznym terenie. Ze szczeliny wydołałem się o własnych siłach, nie doznając żadnych obrażeń, a nie, jak sugeruje autor, wyciągnęli mnie po kilku godzinach ekipy ratunkowe. Następnie poinformowałem ratowników o wypadku i wskazałem jego dokładne miejsce. Niestety, pomimo szybko przeprowadzonej akcji, Ryśka nie udało się uratować. Nieprawdziwa jest również informacja, w której autor zarzuca nam, że nie zebraliśmy wiadomości o drodze powrotnej.

Do wyjazdu przygotowaliśmy się kilka miesięcy, zbierając szczegółowe informacje o terenie, między innymi bezpośrednio od Jerzego Wali oraz księdza Josefa Hurtona, naczelnika służb ratowniczych w rejonie Ortlera. Na temat wspinaczki na Koenigspitze i dróg zejściowych rozmawialiśmy z nim przez kilka godzin, bezpośrednio przed wyruszeniem w góry.

Chciałbym również dodać, że nie nazywam się Trywałt, jak błędnie nazwał mnie autor, lecz Maciej Krywałt. Muszę zaznaczyć, że moje sprostowanie nie ma oczywiście istotnego wpływu na zasadniczy sens artykułu. Śmierć Ryśka wstrząsnęła środowiskiem klubowym, dlatego chciałem, jeśli jest to możliwe, o zamieszczenie na łamach Waszego pisma przedstawionych przeze mnie faktów.

Z poważaniem  
Maciej Krywałt

## Zamiast polemiki

Oświadczam, że dalszej dyskusji na łamach "Taternika" z Aleksandrem Lwowem prowadzić nie będę. Sprawę kieruję do sądu.

Krzysztof Łoziński

## Jednorazowe oświetlenie awaryjne i alarmowe SNADLIGHT

w sprzedaży hurtowej oferuje  
firma RETTING II, 90-964 Łódź 9  
skr. poczt. 9049, tel: 56-93-34  
lub 57-20-61 w godz. 8<sup>00</sup>-10<sup>00</sup>

## CONTENTS

- 1- Andrzej Paczkowski - President of PZA
- 5- Arch Wall in winter (J. Gołąb)
- 9- Norway Route in winter  
(Z. Krośkiewicz)
- 11- Expeditions: Cho Oyu and Shisha  
Pangma (P. Pustelnik)
- 16- Pictures from the mountains  
- part two (J. Pelech)
- 21- Rock anchors (M. Pokszan)
- 25- Forgotten routes in the Tatras  
(K. Łoziński)
- 31- Bolting (M. Tertelis)
- 34- Three times in Buczynowa Valley...  
Short story (A. Potoczek)
- 40- News from the mountains
- 49- News from the caves (R. Kardaś)
- 60- New routes in the Tatras
- 63- Competitions in Poland  
(B. Szczepańska)
- 65- Instructors of PZA (W. Święcicki)

## T A T E R N I K

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU  
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA,  
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu,  
ul. Erasma Ciołka 17, p. 208; 01-445 Warszawa,  
tel. 36 36 90  
Redaktor: Andrzej Kłos, ul. Murzynowskiego 7/14,  
10-684 Olsztyn, tel. domowy 42 85 92  
Realizacja wydawnicza (skład, kłamanie, przygotowanie do  
druku, druk):  
Wydawnictwo TEXT, ul. Herbsta 1,  
02-784 Warszawa, tel. 641 53 28  
Rozpowszechnianie: Antykwariat FILAR,  
skr. poczt. 398, 25-001 Kielce 1, tel. (041) 66 37 63  
Redakcja techniczna i skład komputerowy programem  
GnuXpRes 3.1 I. Dębowska i K. Łoziński (TEXT).  
W przygotowaniu numeru uczestniczyli: Rafał Kardaś,  
Andrzej Kłos, Wojciech Święcicki, Krzysztof Łoziński.  
Redakcja prosi tych autorów, którzy piszą teksty na kom-  
puterze, o przekazywanie ich w formie dyskietek (zwraca-  
my) a nie tylko wydruku (oszczędzamy wiele czasu).

ISSN 0137-3155





**Sklepy turystyczno -  
- narciarsko -  
- wspinaczkowe**

Zakopane, ul. Zborowskiego 4  
Tel./ fax 638 87  
ul. Piłsudskiego 4  
Tel. 144 23

**Atrakcyjne ceny  
fachowa obsługa  
bogaty asortyment**

# H I M A L S P O R T

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR FIRM:

**Scarpa (Włochy)** - obuwie turystyczne, wspinaczkowe

**EPI gas (Anglia)** - kuchenki turystyczne, lampy, pojemniki  
z gazem

**Northland (Austria)** - śpiwory (sztuczny puch),  
odzież zimowa

**North Cape (Szkocja)** - "sucha" bielizna, kurtki - polar-fur

**Grivel (Włochy)** - raki, czekany

**Rivory-Joanny (Francja)** - liny, taśmy.

**Ferrino (Włochy)** - śpiwory, namioty

**Sprzedaż hurtowa:**

Al. Niepodległości 214, 43-100 Tychy, tel. 03/127 83 42

**Sprzedaż detaliczna:**

ul. Krasickiego 14 (Centrum Handlowe - Rotunda) 43-100 Tychy,  
tel. 03/117 59 75

# Centralny Ośrodek Szkolenia Polskiego Związku Alpinizmu na Hali Gąsienicowej "Betlejemka"

**oferuje gruntowne szkolenie taternickie latem i zimą:**

- licencjonowani instruktorzy PZA,
- najlepszy sprzęt renomowanych firm zachodnich: Edelweiss, Beal, Salewa, Charlet, Camp, Petzl,
- wykłady i prelekcje ilustrowane przeźroczami,
- bogaty księgozbiór,
- własny samochód terenowy,
- wspinaczki w rejonie Morskiego Oka i na Słowacji,
- bezpieczny system łączności radiowej,
- noclegi, koce, gaz do gotowania.

**Zgłoszenia za pośrednictwem klubów lub indywidualnie:**

**COS PZA, skr. poczt. 399, 34-500 Zakopane tel: (165) 124-01**

## Zamiast recenzji książek Andrzeja Machnika



fot. Krzysztof Łoziński. Zdjęcie pochodzi z początku lat siedemdziesiątych. Tabliczkę wykonał i umieścił przed namiotem Andrzeja Machnika Stanisław Gorgoń